JAK KOMUNIŚCI CHCIELI KUPIĆ BROŃ OD... NATO

POKÓJ Z BOLSZEWIKAMI – ZA JAKĄ CENĘ?

Nr 3–4 (94–95)
MARZEC–KWIECIEŃ 2021
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

Śmierć za pomoc Żydom

POLACY W POTRZASKU

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

UPC — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

W 100-LECIE KONSTYTUCJI MARCOWEJ

„W Imię Boga Wszechmogącego! My, Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas z półtorawiekowej niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały, nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja – dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku, a pragnąc Jej byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekuistych zasadach prawa i wolności, pragnąc zarazem zapewnić rozwój wszystkich Jej sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość, a pracy poszanowanie, należne prawa i szczególną opiekę Państwa zabezpieczyć – tę oto Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy".

Powyższa preambuła konstytucji została napisana przez posła Związku Ludowo-Narodowego (czyli narodowej demokracji) i wiceprzewodniczącego Komisji Konstytucyjnej Sejmu Ustawodawczego ks. Kazimierza Lutosławskiego (1880–1924), słynnego kapłana i wychowawcy, harcerza, twórcy Krzyża Harcerskiego, polityka i publicysty, zdecydowanego antykomunisty, ze słynnej rodziny ziemiańskiej z Drozdowa koło Łomży. Był w sejmie jednym z aktywniejszych posłów, członkiem także komisji oświaty i spraw zagranicznych; świetny polemista, szczególnie zadziorny w dyskusjach z posłami koła żydowskiego. Miał w swojej biografii również tragiczne wątki związane z jego pobytem w Rosji wraz z rodziną, w tym z braćmi, którzy zostali aresztowani przez bolszewików i brutalnie zamordowani. W wojnie 1920 r. został kapelanem żołnierzy garnizonu warszawskiego. Był jednym z najwybitniejszych polskich narodowców, jak pisze jego biograf Mikołaj Kwiatkowski, autor hasła „Słownika biograficznego polskiego obozu narodowego" (wyd. IDMN – Neriton, 2021), którego marzeniem było „nasiąknięcie przez nacjonalizm polski uniwersalistycznym duchem chrześcijaństwa, który zwalczałby egoizm narodowy". Ks. Kazimierz był przecież przede wszystkim kapłanem rzymskokatolickim, który dbał o to, by szczególnie młodzież, czy to narodowa, czy z KSMA „Odrodzenie", zawsze umacniała związek między katolicyzmem i polskością.

Powyższa preambuła oddaje całą głębię polskiego dziedzictwa, którego nosicielami stali się twórcy konstytucji marcowej z 1921 r. Dla pokolenia ks. Lutosławskiego bohaterami byli bowiem twórcy Konstytucji 3 maja i kolejni patrioci polscy, którzy na wszelkie sposoby, mężnie, oddawali swe talenty i życie na rzecz niepodległości Polski. Pokolenie posłów SU mogło im wreszcie oddać należne honory, ale także żyć wedle pozostawionych przez nich drogowskazów. Ks. Lutosławski sam stał się kolejnym drogowskazem, gdy umierał nagle 5 stycznia 1924 r. w swoim dworze w Drozdowie na szkarlatynę, zarażony od dzieci, którym niósł pomoc i pociechę w Boże Narodzenie.

Konstytucja marcowa 1921 r. słusznie nosi nazwę demokratycznej i republikańskiej. Była jedną z najnowocześniejszych w ówczesnej Europie, wzorowaną na rozwiązaniach zachodnioeuropejskich, w tym głównie francuskich z 1875 r. Była owocem kompromisu politycznego, na który było stać przede wszystkim posłów prawicy – czyli właśnie obozu narodowego, najliczniej reprezentowanego w pierwszym sejmie po odzyskaniu niepodległości. To dzięki nim została uchwalona niemal w przededniu plebiscytu na Górnym Śląsku z 20 marca 1921 r., tak by dać dodatkowy oręż Polakom decydującym o przynależności tej najbogatszej z ziem Polski odrodzonej. Dzisiejszy porządek prawny jest oparty także na założeniach tamtej konstytucji. Obyśmy mogli zrozumieć, kto jest suwerenem: my, Naród Polski, ze swoją historią!

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Autopromocja

eprasa.pl 91408

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 3–4 (94–95) MARZEC–KWIECIEŃ 2021

16 GDY ROZPOCZĘTO MASOWĄ LIKWIDACJĘ GETT I DEPORTACJĘ DO OBOZÓW ZAGŁADY, ŻYDOWSCY UCIEKINIERZY ZACZĘLI LICZNIE POJAWIAĆ SIĘ NA OBSZARACH WIEJSKICH. NIEMCY STWORZYLI WARUNKI MAJĄCE UNIEMOŻLIWIAĆ POLAKOM EWENTUALNĄ POMOC – WSKAZUJE ROMAN GIEROŃ

24 WYDAWAŁOBY SIĘ, ŻE POCZĄTEK 1971 r. POWINIEN BYĆ – PO KRWAWYM STŁUMIENIU REWOLTY GRUDNIOWEJ – SPOKOJNY. TAK JEDNAK NIE BYŁO, BO ROBOTNICY POSTANOWILI DALEJ WALCZYĆ O SWOJE PRAWA, O SWĄ GODNOŚĆ – PISZĄ SŁAWOMIR LIGARSKI I GRZEGORZ MAJCHRZAK

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

MIĘDZYMORZE

9 TRÓJMORZE – WIZJA, ILUZJA CZY RACJA STANU?
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 POLACY RATUJĄ ŻYDÓW NA WĘGRZECH
ZBIGNIEW IZDEBSKI

14 ANTYSEMITYZM STALINA
MACIEJ MACIEJOWSKI

16 „BYLIŚMY ZAKŁADNIKAMI…" NIEMIECKI SYSTEM NA PERYFERIACH ZAGŁADY
ROMAN GIEROŃ

19 POLSKI ANTYSEMITYZM CZY IZRAELSCY AGENCI?
NORBERT PATALAS

22 CZY BISKUP GAWLINA BYŁ ANTYSEMITĄ?
JACEK ŻUREK

IPN

24 NIESPOKOJNY ROK 1971
DODATEK SPECJALNY

WEHIKUŁ CZASU

32 MARZEC, KWIECIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

36 PRZYWRACANIE PAMIĘCI O MIESZKAŃCACH KRESÓW WSCHODNICH
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

38 POLSKA DYPLOMACJA – W SŁUŻBIE ŻYCIA – W CZASACH ZAGŁADY
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DAWNO TEMU

40 ŚLĄSKI APELLES
ANDRZEJ WĄSOWSKI

FELIETONY

43 „PRAWDZIWYCH MĘŻCZYZN NAM POTRZEBA"
GRZEGORZ GÓRNY

69 1953 – ROK SPLĄTANEJ KARIERY PREMIERA
PAWEŁ SKIBIŃSKI

75 LITWIN ZNAD WARTY
MAREK JUREK

81 CZERWONA DYNASTIA
ANTONI DUDEK

61 BABCIA CZARNECKA I DZIECI Z GETTA…
RYSZARD CZARNECKI

88 DZIECIĘCY PAMIĘTNIK CZASÓW WOJNY
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

94 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

DUSZA KONTUSZA

44 FABIAN BIRKOWSKI – Z UNIWERSYTETU NA AMBONĘ I POLE BITWY
HENRYK LITWIN

WŁADCZYNIE

47 ANNA JAGIELLONKA
MAREK BARAŃSKI

ZDARZYŁO SIĘ

48 JAN GOTFRYD TEMLER
WACŁAW LESZCZYŃSKI

50 CZYM BYŁ DLA POLSKI POKÓJ RYSKI?
JAN ŻARYN

53 NIEDZIELA NA GŁÓWNYM, NA GŁÓWNYM NIEDZIELA…
PIOTR ŚWIĄTECKI

56 OLECHNOWICZE
JERZY DĄBROWSKI

58 POLSKOŚĆ – LEK NA NAJTRUDNIEJSZE CZASY
BARTOSZ ŻYCIŃSKI

61 NIE TAKI ANTYKOMUNISTA… ROZMOWY SB Z BP. HENRYKIEM GULBINOWICZEM, CZ. III
RAFAŁ ŁATKA

eprasa.pl 914682253b

FOT. NAC

66 PUBLICZNE INSTYTUCJE, KTÓRE MOGĄ SIĘ POCHWALIĆ WIELOLETNIĄ, NIEPRZERWANĄ DZIAŁALNOŚCIĄ, NIE SĄ W POLSCE CZĘSTYMI PRZYPADKAMI. ISTNIEJE JEDNAK W WARSZAWIE DOM DZIECKA IM. KS. BAUDOUINA, KTÓRY POMIMO ROZBIORÓW, WOJEN I POWSTAŃ FUNKCJONUJE BEZ PRZERWY OD NIEMALŻE 300 LAT – PISZE RAFAŁ KOWALCZYK

IDMN

64 **CYKLICZNE LEKCJE DLA POKOLEŃ**
MARTA CYWIŃSKA

66 **DOM DZIECKA IM. KS. GABRIELA PIOTRA BAUDOUINA**
RAFAŁ KOWALCZYK

POLONIA

70 **FATALNA POMYŁKA**
KRZYSZTOF TARKA

ZIEMIAŃSTWO

72 **OD KRESOWYCH LATYFUNDIÓW PO LEGIĘ CUDZOZIEMSKĄ**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

NARRACJA USPL

76 **WSZYSCY LUDZIE WICEPREZYDENTKI**
MAREK JAN CHODAKIEWICZ

PEŁNA KULTURA

78 **BERLIŃSKIE REPORTAŻE EMIGREJTANA**
WOJCIECH OSIŃSKI

82 **ACHILLE RATTI – PAPIEŻ PIUS XI – W POLSKIEJ KULTURZE ARTYSTYCZNEJ**
JERZY MIZIOŁEK

85 **RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z DR. HAB. PAWŁEM SKIBIŃSKIM**

86 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

DIABEŁ NIE MÓGŁ

90 **KSIĘŻNA Z ROBÓTKĄ W SEJMIE**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

92 **OCULUS VITAE SAPIENTIA**
KRZYSZTOF ŻARYN

NAC PREZENTUJE

94 **TABLICE TCHORKA**
ŁUKASZ KAROLEWSKI

CZYM STRZELAĆ

95 **PECHOWY PANCERNIK**
KACPER GROCHOCKI

HISTORIA OKŁADKI

96 **ZABÓJCZY TERROR NIEMCÓW**
MICHAŁ KORSUN

ZE ZBIORÓW MPW

99 **RYNGRAF „ABIKA"**
MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Koncepcja: Projekt: Michał Korsun, Fotografie: Andrzej Wiktor, Rekonstruktorzy: Andżelika Buza, Michał Barszczewski, Piotr Konatowski, Rafał Mączka, Sylwia Najah, Dariusz Serhiej, Edward Szambelan, Charakteryzacja: Klaudyna Pabudzińska-Kosseł, Kostiumy i rekwizyty: Agencja Retro-Pasje, Reko-Waw, Podziękowania dla Joanny i Piotra Klayborów z Baru Forteczna za pomoc przy realizacji sesji

eprasa.pl 914682253b

Debata o książce na temat Henryka Sławika

3 lutego w kanałach internetowych Instytutu Pamięci Narodowej odbywała się debata poświęcona książce „Henryk Sławik 1894–1944. Biografia socjalisty", w której udział wzięli: autor dr Tomasz Kurpierz, dr Wojciech Frazik z OBBH IPN Kraków i dr hab. Gábor Lagzi, dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie. Dyskusję poprowadził dr Michał Przeperski z OBBH IPN Gdańsk. Publikacja przedstawia społeczną, zawodową i polityczną działalność Henryka Sławika. Obejmuje m.in. okres jego pracy w charakterze robotnika, walki w armii niemieckiej, zsyłki na Syberię, udziału w powstaniach śląskich. Sporo miejsca poświęcono działalności bohatera w Polskiej Partii Socjalistycznej, a także uchodźstwu na Węgry i tamtejszej działalności w komitecie polskim. Opisana została również rola Sławika na rzecz ratowania Żydów przed Zagładą, co zakończyło się jego śmiercią z rąk niemieckich zbrodniarzy w 1944 r.

Powszechny Uniwersytet Nauczania Chrześcijańsko-Społecznego zaprasza słuchaczy!

6 lutego Instytut Myśli Schumana uruchomił działalność Powszechnego Uniwersytetu Nauczania Chrześcijańsko-Społecznego im. Jana Pawła II i Roberta Schumana. Uniwersytet podejmuje się ambitnej misji formowania ludzi i różnych rodzajów organizacji w zakresie kształtowania kompetencji i potencjału do wdrażania zasad myśli chrześcijańsko-społecznej, do praktyki funkcjonowania instytucji i organizacji społeczno-gospodarczych. Pierwszy etap edukacji obejmuje poznanie i pogłębienie idei myśli chrześcijańsko-społecznej w kontekście formowania i budowania środowiska animatorów takiej idei, a kolejnym etapem jest przyswajanie umiejętności i metod umożliwiających wdrażanie nauki społecznej do praktyki różnych instytucji, w tym przedsiębiorstw gospodarczych czy spółek. Do grona słuchaczy w szczególności mogą aspirować: samorządowcy, kierownictwo i pracownicy organizacji, instytucji oraz przedsiębiorstw i spółek państwowych, a także posłowie, członkowie partii, pracownicy ochrony zdrowia, nauczyciele, dziennikarze, pracownicy uczelni, działacze społeczni, administracja państwowa oraz pełnoletnia młodzież. Wykładowcami są wybitni naukowcy oraz praktycy z różnych dziedzin i obszarów życia społecznego i gospodarczego, w tym założyciel Uniwersytetu prof. Zbigniew Krysiak oraz pracownicy Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. Zajęcia obejmują sześć modułów tematycznych, które realizowane są przez dwa semestry. Więcej informacji o inicjatywie można znaleźć na stronie internetowej: www.PUNCS.pl. Honorowy patronat nad inicjatywą sprawuje minister edukacji i nauki prof. Przemysław Czarnek.

100. rocznica urodzin Krzysztofa Kamila Baczyńskiego

22 stycznia, w 100. rocznicę urodzin Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, na budynku przy ul. Solec 85 na warszawskim Powiślu odsłonięto mural upamiętniający poetę. W uroczystości wziął udział wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński, który podkreślał: „Nieprzypadkowo ten mural jest w tym miejscu, gdzie go doskonale widać z okien pociągów jadących wiaduktem kolejowym przez Powiśle. Wpisujemy w ten sposób wielkiego polskiego poetę w Warszawę, gdzie się urodził i zginął. Przypominamy go Polsce, także młodemu pokoleniu". Inicjatorem powstania tej formy miejsca pamięci było Narodowe Centrum Kultury.

W ramach rocznicy różnego rodzaju przedsięwzięcia związane z upamiętnieniem poety zorganizowały również inne instytucje kultury. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza zaprezentowało wydawnictwo „Cudowne przygody pana Pinzla Rudego" autorstwa Baczyńskiego oraz zorganizowało poświęconą mu wystawę online. Muzeum Historii Polski udostępniło szkołom materiały edukacyjne dotyczące „pokolenia Kolumbów", a także zaprosiło na warszawskie spacery historyczne śladami Norwida i Baczyńskiego. Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" udostępnił grę mobilną o życiu i twórczości Baczyńskiego. Natomiast Muzeum II Wojny Światowej wydało specjalną ulotkę oraz przygotowało kampanię w mediach społecznościowych. Decyzją Sejmu RP 2021 został ogłoszony Rokiem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Animowana mapa niemieckich obozów koncentracyjnych

Na 76. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau, w ramach akcji #GermanDeathCamps, przygotowana została animowana mapa niemieckich obozów koncentracyjnych zakładanych w latach 1933–1945 w całej Europie. Animacja pokazuje, że pierwszy obóz koncentracyjny został wybudowany w Dachau w 1933 r., zaraz po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech. Po rozprawieniu się z partiami politycznymi, ich działaczami i politycznymi przeciwnikami, którzy albo wyjechali, albo zginęli, albo zaprzestali wykazywać postawę opozycyjną, okazało się, że obozy ok. 1936 r. nie były już potrzebne, jednak budowano kolejne. Przed wybuchem wojny powstała cała sieć niemieckich obozów koncentracyjnych gotowa na przyjęcie więźniów III Rzeszy. Po wybuchu II wojny światowej kolejne takie miejsca były organizowane na terenie okupowanej Polski. Początkowo budowane były z przeznaczeniem dla Polaków. Pierwszy masowy transport do Auschwitz I miał miejsce 14 czerwca 1940 r. Pociągami z Tarnowa przewieziono wówczas 728 więźniów politycznych. Byli to Polacy i kilku polskich Żydów. Budowa obozu Auschwitz II Birkenau rozpoczęła się w październiku 1941 r. Birkenau było miejscem masowej eksterminacji Żydów. Celem animacji było ukazanie rozmachu tego zbrodniczego przedsięwzięcia Rzeszy Niemieckiej. Mapa jest dostępna na stronie internetowej: www.germandeathcamps.net.

eprasa.pl 914682253b

Dokumentalista Robert Kaczmarek na czele Rady PISF

FOT. FRATRIA

7 stycznia wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński wręczył akty powołania na trzyletnią kadencję członkom nowego składu Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Przewodniczącym tego gremium został Robert Kaczmarek – reżyser, scenarzysta i producent wielu ważnych filmów dokumentalnych odkrywających nieznane karty historii Polski i świata, m.in. „TW Bolek", „Errata do biografii", „Towarzysz generał", „Betar" czy „New Poland", laureat Nagrody MKiDN w kategorii „Film" za rok 2019. W skład Rady PISF, oprócz przedstawicieli świata filmu, wszedł również inny twórca dzieł poświęconych polskiej historii Paweł Nowacki – reżyser takich filmów jak „Niepodległy. Opowieść o Januszu Krupskim", „Solidarność wg Wyszkowskiego" czy „Media III RP".

CO BĘDZIE

Seminaria IDMN

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego

Wraz z początkiem 2021 r. Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego zainaugurował dwa cykle seminariów naukowych, na które składają się wykłady oraz konwersatoria poświęcone ideom oraz historii polskiego obozu narodowego i katolicyzmu społecznego. W swoich założeniach seminaria mają na celu w sposób klarowny przybliżyć młodzieży, studentom, doktorantom, nauczycielom, pracownikom naukowym oraz osobom zainteresowanym tematyką najnowsze ustalenia badawcze z zakresu kompetencji IDMN, przedstawiane przez znanych prelegentów. Pierwszy z cyklów, zatytułowany „Ruch i myśl katolicko-społeczna wobec wyzwań XIX i XX w.", zainaugurowany został 12 stycznia wykładem prof. Pawła Skibińskiego poświęconym specyfice koncesjonowanych organizacji katolickich w PRL. W ramach swojego wystąpienia naukowiec uczestnikom seminariów przybliżył dzieje organizacji, takich jak Stowarzyszenie PAX, Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych. Podczas kolejnego wykładu 11 lutego prof. Rafał Łatka przedstawił słuchaczom biografię kard. Stefana Wyszyńskiego oraz jego dokonania. Drugi z cyklów seminaryjnych zatytułowany został „Różnorodność obozu i nurtu narodowego w XIX i XX w.". W jego ramach 28 stycznia prof. Jan Żaryn wygłosił wykład poświęcony wybranym biografiom działaczy ONR–ABC, szczególnie tym, którzy przeżyli II wojnę światową i znaleźli się na emigracji. Na kolejne miesiące przewidziane zostały m.in. wykłady prof. Krzysztofa Kawalca o stosunku Romana Dmowskiego do Rosji, Michała Drozdka o relacji personalizmu chrześcijańskiego do kwestii narodowej, ks. prof. Roberta Skrzypczaka o żywocie i myśli Jana Pawła II czy prof. Pawła Skibińskiego o piśmie „Nowe Horyzonty". Osoby zainteresowane wysłuchaniem wykładów mogą odnaleźć nagrania audio z wykładów na stronie internetowej www.idmn.pl. Zainteresowani mogą również skontaktować się z organizatorami poprzez wysłanie wiadomości e-mail na adres: seminaria@idmn.pl.

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"

Album o „Pługu"

Z okazji 112. rocznicy urodzin Adama Borysa ps. Pług, dowódcy batalionu AK „Parasol", oraz 77. rocznicy udanego zamachu na dowódcę SS i policji w dystrykcie warszawskim Franza Kutscherę, którego dokonali jego żołnierze, dzięki współpracy Wojskowego Instytutu Wydawniczego i Archiwum Akt Nowych w Warszawie ukazał się album poświęcony tej postaci, którego autorami są Hubert Borys, syn bohatera, oraz Mariusz Olczak, dyrektor AAN. Publikacja zawiera starannie wybrane fotografie, dokumenty i szkice pochodzące ze zbiorów rodziny Borysów, Archiwum Akt Nowych, Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej oraz od witkowskiego historyka Grzegorza Musidlaka. Album przedstawia postać Wielkopolanina z dziada pradziada, inżyniera rolnika, harcerza, oficera Wojska Polskiego, cichociemnego, żołnierza Armii Krajowej, organizatora słynnych akcji bojowych przeciwko niemieckiemu okupantowi, powstańca warszawskiego, jeńca niemieckiego oflagu oraz więźnia Urzędu Bezpieczeństwa w czasach stalinowskich i jednego z twórców polskiego przemysłu mięsnego po wojnie. Wydawnictwo albumowe ukazuje na tle XX-wiecznej historii Polski ciekawe i nietypowe życie Adama Borysa. Setki zdjęć z archiwum rodzinnego oraz reprodukcji dokumentów archiwalnych Kedywu w połączeniu z barwnymi wspomnieniami o ojcu autorstwa Huberta Borysa, profesora warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, tworzą interesujący obraz życia prywatnego, społecznego, zawodowego, legalnego i konspiracyjnego tytułowego bohatera. Patronami medialnymi projektu są: Polskie Radio, magazyn „wSieci Historii", portal historykon.pl, TVP Historia i kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia".

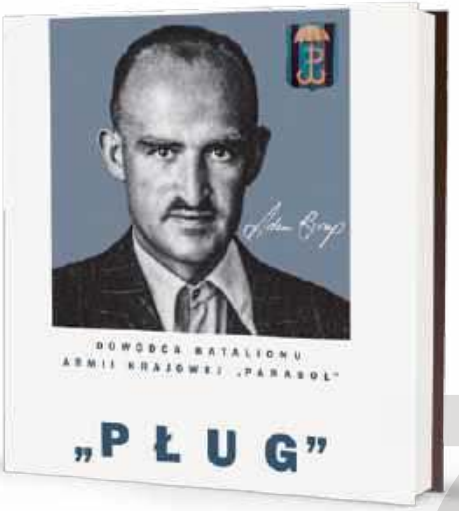

eprasa.pl 914682253b

CO BĘDZIE

Obchody Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych"

Jak co roku, począwszy od 2011, Społeczny Komitet Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych zaprasza do udziału w uroczystościach upamiętniających bohaterów powstania antykomunistycznego. W tym roku będą one jednak miały ograniczony charakter z powodu sytuacji epidemicznej, a częściowo przeniosą się do internetu. Planowane są m.in. następujące wydarzenia stacjonarne:

BRÓDNO, 27 lutego (sobota) – koordynator Solidarni 2010

- **godz. 12** – apel pamięci i modlitwa przed pomnikiem więźniów politycznych straconych w latach 1944–1956 (cmentarz Bródnowski, kwatera 45 N).

SŁUŻEW, 28 lutego (niedziela) – koordynator: Stowarzyszenie Polska Jest Najważniejsza

- **godz. 11.30** – złożenie kwiatów i modlitwa pod Krzyżem pamięci w płd.zach. narożniku cmentarza przy ul. Wałbrzyskiej, a następnie przy Kapsule Czasu na Starym Cmentarzu przy ul. Fosa;
- **godz. 12.30** – msza św. w kościele św. Katarzyny;
- **godz. 13.30** – złożenie kwiatów pod pomnikiem Męczenników Terroru Komunistycznego 1944–1956.

ŁĄCZKA, 1 marca (poniedziałek) – koordynator: Związek Strzelecki Strzelec

- **godz. 12** – uroczystość przed Panteonem Żołnierzy Wyklętych w kwaterze na „Łączce" cmentarza wojskowego na Powązkach.

PRAGA-PÓŁNOC, 1 marca (poniedziałek) – organizatorzy: Urząd Dzielnicy Praga-Północ, Instytut Pamięci Narodowej oddział w Warszawie oraz Towarzystwo Miłośników Polskiej Tradycji i Kultury.

- **godz. 12–14** – przejazd pojazdów historycznych szlakiem miejsc kaźni Żołnierzy Wyklętych (w przypadku złagodzenia obostrzeń związanych z pandemią może być zorganizowany przemarsz);
- **godz. 12–12:10** – ul. 11 Listopada 68 (Wojskowy Trybunał Wojenny);
- **godz. 12:20–12:30** ul. Strzelecka 8 (dawna Kwatera Główna NKWD w Polsce, następnie WUB);
- **godz. 12:35–12:50** – ul. Namysłowska (pomnik Ku Czci Pomordowanych w Praskich Więzieniach w latach 1944–1956). W tym miejscu złożenie wieńców i uroczystości dzielnicowe, odśpiewanie hymnu;
- **godz. 13–13:10** – ul. Cyryla i Metodego 4 (dawniej Miejski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego Warszawa Praga; ostatecznie Urząd Bezpieczeństwa Publicznego na m.st. Warszawę);
- **godz. 13:20–13:30** – ul. Jagiellońska róg al. Solidarności, Liceum Władysława IV;
- **godz. 13:40–13:50** – ul. Sierakowskiego 7 (dawna siedziba NKWD 1944–1946, a następnie Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego 1946–1954);
- **godz. 13:55–14** – Tablica pamiątkowa Sierakowskiego 9 (Szkoła im. Rotmistrza Witolda Pileckiego).

Pełny harmonogram uroczystości można znaleźć na profilu Społecznego Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych na Facebooku.

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

20 lutego (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa

22 lutego (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**29 zł** (3 wydania)	**54 zł** (6 wydań)
SIECI	**75 zł**	**139 zł**	**245 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**158 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 914682253b

Trójmorze – wizja, iluzja czy racja stanu?

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

U zarania ostatniej dekady XX stulecia, w wyniku gospodarczego bankructwa systemu komunistycznego oraz idącego w ślad za nim upadku Związku Sowieckiego (a później jego rozpadu), nastąpiła emancypacja dotychczasowych satelitów „czerwonego Kremla" w Europie Środkowo-Wschodniej oraz odzyskanie niepodległości przez republiki nadbałtyckie, Białoruś i Ukrainę. Doszło też do wycofania jednostek armii sowieckiej, stacjonujących w ich granicach, a w 1991 r. rozwiązany został Układ Warszawski.

Minister spraw zagranicznych Bronisław Geremek podpisuje dokumenty akcesyjne Polski do NATO, 12 marca 1999 r.

FOT. EAST NEWS

Nowa sytuacja geopolityczna wymagała od politycznych i intelektualnych elit Rzeczypospolitej wypracowania modelu podmiotowych relacji zarówno z sąsiadami, jak i z innymi państwami oraz organizacjami międzynarodowymi. Najważniejszymi zadaniami polskiej polityki zagranicznej, zrealizowanymi z powodzeniem, stały się: nawiązanie sąsiedzkiej współpracy politycznej i gospodarczej z państwami Europy Środkowo-Wschodniej, m.in. Czechosłowacją (po 1993 r. Czechami i Słowacją), Węgrami czy Rumunią oraz republikami nadbałtyckimi, Białorusią i Ukrainą; ustanowienie satysfakcjonujących relacji z państwami zachodnimi oraz Europejską Wspólnotą Gospodarczą (od 1993 r. Unią Europejską) i NATO; wreszcie – współpraca z partnerami w regionie w celu wspólnego akcesu do Paktu Północnoatlantyckiego (traktowanego jako gwarant bezpieczeństwa) oraz Unii Europejskiej (postrzeganego jako klucz do rozwoju gospodarczego, awansu cywilizacyjnego i dobrobytu).

Wysiłki Warszawy zaowocowały w 1991 r. utworzeniem Grupy Wyszehradzkiej, w której znalazły się Węgry i Czechosłowacja (później Czechy i Słowacja). Powstała ona z myślą o skoordynowaniu działań gospodarczych i politycznych, mających ułatwić i przyspieszyć wspólne dołączenie tych państw do gospodarczych struktur Europy Zachodniej, ale także do NATO. Rok później sygnatariusze Wyszehradu podpisali Środkowoeuropejskie Porozumienie o Wolnym Handlu, a na progu XXI w. utworzyli Międzynarodowy Fundusz Wyszehradzki. Równocześnie polska dyplomacja realizowała program strategicznego partnerstwa z Nadbałtyką – wspierając jej dążenia do wejścia w skład NATO i UE – oraz pogłębienia zbliżenia z Kijowem i Mińskiem (w stosunku do tych dwóch stolic proces ten był skomplikowany z racji „wahadłowej" polityki zmieniających się władz nad Dnieprem, przyjmujących na przemian kurs na zbliżenie z Zachodem i Rosją, oraz prorosyjskiej postawy rządzącego autorytarnie Białorusią od połowy lat 90. prezydenta Łukaszenki). Działania te określa się niekiedy jako rewitalizację „polityki jagiellońskiej".

W latach 1999–2004 starania Polski, jej partnerów z Grupy Wyszehradzkiej i republik nadbałtyckich o przyjęcie do Paktu Północnoatlantyckiego oraz Unii Europejskiej zakończyły się sukcesem. Państwa te zarówno w ramach NATO, jak i UE ściśle ze sobą współdziałają. Tworzą bowiem z jednej strony tzw. wschodnią („frontową" wobec prób odbudowy przez Rosję pozycji mocarstwowej i wpływów w regionie) flankę Paktu Północnoatlantyckiego, z drugiej – grupę partnerów w ramach zainicjowanego przez Warszawę, przy wsparciu Waszyngtonu, gospodarczo-politycznego projektu Trójmorza (określanego też mianem „ABC", czyli „Adriatyk–Bałtyk-Morze Czarne"), którego sygnatariuszami stały się również Rumunia, Bułgaria, Chorwacja, Słowenia i Austria.

Czy Trójmorze, które zrodziła realna wspólnota interesów ekonomicznych państw członkowskich, a zarazem świadomość potrzeby zbudowania bloku mogącego skutecznie negocjować w obliczu rozbieżności interesów gospodarczych, ale i politycznych ze „starą Unią", okaże się strukturą trwałą? Czy nowa „polityka jagiellońska" przyniesie umocnienie pozycji Polski na wschodzie Starego Kontynentu? Zależy to m.in. od determinacji elit politycznych i dyplomacji Rzeczypospolitej. Jednak w świetle historycznych doświadczeń nietrafne wydaje się stawiane niekiedy pytanie: czy polskie koncepcje integracji Europy Środkowo-Wschodniej są wielką wizją, czy tylko iluzją? Są one bowiem po prostu wyrazem polskiej racji stanu.

eprasa.pl 9146822536

Od lewej: József Antall i Henryk Sławik

POLACY RATUJĄ ŻYDÓW NA WĘGRZECH

ZBIGNIEW IZDEBSKI

SZACUJE SIĘ, ŻE PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ NA WĘGRZECH PRZEBYWAŁO ŁĄCZNIE 120–130 TYS. POLSKICH UCHODŹCÓW I ŻOŁNIERZY. WŚRÓD NICH BYŁO WIELE OSÓB POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO

eprasa.pl 914682253b

Wspólny atak Niemiec i ZSRS na Polskę we wrześniu 1939 r. spowodował likwidację II Rzeczypospolitej. Członkowie rządu i wódz naczelny przedostali się na terytorium Rumunii. Olbrzymia liczba Polaków przekroczyła granicę z Węgrami, co stało się poważnym wyzwaniem dla węgierskich i polskich organizacji humanitarnych. Problemem wymagającym natychmiastowego działania było zapewnienie uchodźcom dachu nad głową oraz wyżywienia.

Świetnie zorganizowani Polacy

Już 21 września zawiązał się Węgiersko-Polski Komitet Uchodźczy, który reprezentowały znane osobistości z kręgu węgierskiej nauki i kultury. W grudniu 1939 r. powstał Węgiersko-Polski Komitet Opieki nad Uchodźcami. Z pomocą przybyło również Poselstwo i Konsulat Polski w Budapeszcie. Niemal w tym samym czasie Polacy założyli Komitet Obywatelski ds. Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech, którego szefem został dawny powstaniec śląski Henryk Sławik. Komitety nawiązały współpracę. Zajmowały się ewidencją, opieką socjalną i zdrowotną, pośrednictwem pracy, zbiórką pieniędzy i leków. Pod koniec 1939 r. premier Węgier Pal Teleki powołał Biuro Pełnomocnika Rządu Królestwa Węgier ds. Uchodźców, będące częścią węgierskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Szefem Biura został dr József Antall. Wśród wielu organizacji, które pomagały uchodźcom z Polski, były Węgierski Czerwony Krzyż i polski oddział MCK.

Równoległe działania podjął rząd gen. W. Sikorskiego we Francji, który powołał do życia dwie struktury. Pierwsza oficjalna to Przedstawicielstwo Internowanych Żołnierzy Polskich w Królestwie Węgier, podporządkowane Ministerstwu Honwedów, czyli węgierskiemu odpowiednikowi MON. Szefujący mu gen. Stefan Dembiński pozostawał w kontakcie z węgierskim resortem obrony, co szczególnie ułatwiło ewakuację żołnierzy polskich do Francji. Drugą jednostką tajną, powołaną przez Rząd na Uchodźstwie, była wywiadowcza Placówka W w Budapeszcie dla podtrzymania łączności z okupowaną Polską. Jej szefem został Edmund Fietz, używający nazwiska Fietowicz.

Przerzut sekretarki premiera Mikołajczyka

Bliskim współpracownikiem Edmunda Fietza (Fietowicza), delegata rządu na Węgry, został Wacław Felczak. Urodził się on w 1916 r. niedaleko Łęczycy. Dzięki doskonałej znajomości języka węgierskiego wojnę spędził głównie na Węgrzech, gdzie odegrał kluczową rolę w powstaniu i funkcjonowaniu Placówki W w Budapeszcie. Pełniła ona funkcję głównego punktu łączności na trasie Kraj–Budapeszt–Londyn. Stąd Felczak znał kulisy licznych i ważnych wydarzeń. Był kilkakrotnie więziony, uciekał w brawurowy sposób oraz walczył w partyzantce.

Odegrał ogromną rolę jako kurier i emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego do Londynu, m.in. brał udział w przerzucie z okupowanej Polski na Węgry Marii Hulewicz. We wrześniu 1942 r. zwróciła się ona o pomoc do Stanisława Mierzwy, wskazując na aresztowania w konspiracji i zagrożenia wynikające z jej żydowskich korzeni. Jej matka Maria Sachs została osadzona w getcie, a ojca wywieziono do Auschwitz, gdzie został zamordowany. Od Stanisława Mierzwy dostała nowe dokumenty i korzystając ze znajomości z Felczakiem, wysłała prośbę o przerzut na Węgry. Felczak w porozumieniu z Fietowiczem wysłał po nią kuriera „Tomka", który przewiózł ją do Nowego Sącza. Stamtąd trasą przez Kieżmark, Rożnawę poprowadził ją dalej Roman Stramek „Romek". Do Budapesztu przybyli 27 października 1942 r. Zmieniono jej tożsamość – jako Helenę Rutkowską umieszczono w obozie uchodźców niedaleko stolicy i zapisano na uniwersytet, co dawało jej swobodę poruszania się. Po przerzuceniu do Londynu Maria Hulewicz została sekretarką wicepremiera, a potem premiera Stanisława Mikołajczyka.

„...NIEMAL 80 PROCENT ŻYDOWSKICH RODZIN ŻYJĄCYCH WSPÓŁCZEŚNIE NA ŚWIECIE MOŻE ODNALEŹĆ SWOJE KORZENIE W DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ, WOBEC KTÓREJ MAJĄ DŁUG WDZIĘCZNOŚCI" – PROF. NORMAN DAVIES

FOT. NAC

Premier Węgier Pál Teleki

Pomoc Żydom z Generalnego Gubernatorstwa

Lata 1942–1943 przyniosły kolejne wyzwania dla instytucji polskich na Węgrzech. W okupowanym kraju trwała akcja likwidacji gett i wywożenia ludności żydowskiej do obozów zagłady. Część Żydów z Generalnej Guberni uciekła i została przerzucona przez zieloną granicę na Węgry. Polskie organizacje udzieliły uciekinierom pomocy, a ze względu na skalę tej akcji i kolaborację Węgier z III Rzeszą było to ogromnym wyzwaniem. Coraz większy nacisk Berlina na Budapeszt, rosnące wpływy Gestapo i Abwehry powodowały duże zagrożenie dla bezpieczeństwa i swobody »

FOT. ALBUM K.I.G. ŁUBCZYKÓW: „PAMIĘĆ: POLSCY UCHODŹCY NA WĘGRZECH 1939-1946"

eprasa.pl 914682253b

» działania Polaków, a tym bardziej Żydów, na Węgrzech.

Problem bardzo dobrze naświetla list delegata rządu na Węgry Edmunda Fietza do ministra MSW w Londynie z 7 grudnia 1943 r. W liście, mającym charakter relacji i opisu, przytoczone są dane 2,5 tys. polskich uchodźców z GG, z czego 95 proc. to Żydzi, którzy zostali przerzuceni na Węgry w 1943 r. Autor wskazuje na trudną sytuację i problemy wywołane napływem tak dużej liczby Żydów do kraju sprzyjającego Niemcom; szczególnie negatywne nastawienie biurokracji węgierskiej, niepoprawne zachowanie Żydów i ich wzajemne konflikty. Opisuje formy pomocy Żydom przez Polaków, analogiczne do tych, jakich udzielano innym uchodźcom z Polski bez względu na narodowość i religię. Jedynym ograniczeniem były pozostające w dyspozycji polskich organizacji środki finansowe. Pomimo obiektywnych trudności, relacjonuje delegat, sytuacja części Żydów była lepsza od położenia innych uchodźców z Polski. Młodzież żydowską wysłano do polskich ośrodków młodzieżowych, m.in. do polskiego liceum i gimnazjum, gdzie ich liczba wyniosła 8 proc. i ciągle rosła. Dokument ujawnia również współpracę polskich organizacji na Węgrzech i polskiego MSW w Londynie z Agencją Żydowską w Palestynie.

Napływ Żydów z GG na Węgry przez Słowację znajduje potwierdzenie w ściśle tajnej korespondencji Żydowskiego Komitetu Narodowego w Warszawie z przedstawicielem mniejszości żydowskiej w Radzie Narodowej w Londynie dr. Ignacym Szwarcbardem. List datowany na 15 listopada 1943 r. i podpisany przez Cywię Lubetkin oraz Icchaka Cukiermana jako reprezentantów Żydów potwierdza współpracę i kontakty z Placówką W w Budapeszcie. W świetle tych dokumentów rząd emigracyjny w Londynie, któremu podlegały Placówka W i organizacje polskie na Węgrzech oraz Polskie Państwo Podziemne, udzielały szerokiej pomocy Żydom zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech.

Henryk Sławik – heros i polski sprawiedliwy

Najważniejszą rolę w tym dziele odegrał Henryk Sławik. Były powstaniec śląski i działacz PPS został prezesem Komitetu Obywatelskiego na Węgrzech ds. Opieki nad Uchodźcami polskimi, a następnie także delegatem ministra opieki społecznej rządu w Londynie. Nawiązał kontakt z delegatem węgierskiego rządu Józsefem Antallem. Ten polsko-węgierski duet pomógł kilkudziesięciu tysiącom uchodźców, w tym uratował życie 4–5 tys. Żydów. Komitet Sławika był finansowany regularnie z funduszy polskiego MSW i przez rząd węgierski. Zdobyte środki przeznaczał na poprawę warunków bytowych, na opiekę socjalną i zdrowotną, opiekę duszpasterską oraz na działalność oświatową. Do marca 1944 r. działacze komitetu dysponowali dużą swobodą działalności i przemieszczania się na terytorium Węgier. Ogromnym sukcesem okazało się utworzenie sieci szkół, gimnazjów i liceum polskiego w Balatonboglar.

Budynek polskiej szkoły w Balatonboglár

FOT. TOMASZ KURPIERZ/IPN

Jednak największym wyzwaniem dla Henryka Sławika było utworzenie i utrzymanie w warunkach konspiracyjnych sierocińca dla dzieci żydowskich. Oficjalnie nazwano go Domem Sierot Polskich Oficerów. W rzeczywistości większość dzieci pochodziła z Małopolski Wschodniej i dotarła na Węgry z kilkutysięczną falą żydowskich uciekinierów w pierwszej połowie 1943 r. Polacy i Węgrzy stworzyli żydowskim dzieciom bezpieczną przystań w ogarniętej Zagładą Europie.

Jedna z sierot Cyla Ehrenkrantz wspominała: „W Vacu jestem od lipca 1943 r., to jest pięć miesięcy. Wiele się od początku zmieniło. Stworzono nam tu szkołę, ja chodzę do klasy siódmej. W pierwszych wolnych miesiącach współżycie koleżeńskie było stanowczo lepsze, ale to może dlatego, że wtedy było nas tylko 23, a teraz chwała Bogu 71 osób. Tu jesteśmy w internacie Hirszfelda, mamy P. Dyrektora (polski pedagog Franciszek Świder) bardzo porządny człowiek. P. Dr Bratkowski vel Izaak Bretler tak samo, lekarz również. Z dziewcząt jedna jest mi szczera i wierna jak siostra – jest nią Gizia Steiner".

Dalej Cyla pod datą 26 stycznia 1944 r. pisze: „Był dziś dr Antall, prezes Sławik z gościną u nas. Wszystko było w najlepszym porządku. Mamy doskonałą opinię i musimy ją nadal trzymać. Ja przemówiłam do Sławika. Najważniejsze, że odnieśli dobre wrażenie i chwała Bogu, że jest już po wszystkim".

W tym czasie na Węgrzech dokonywał się przełom w polityce wewnętrznej. W marcu 1944 r. Węgry zostały całkowicie podporządkowane Niemcom, którzy zażądali wydania wszystkich Żydów i wysłania ich do Auschwitz. W tych warunkach Sławik i Antall podjęli ogromne osobiste ryzyko. Dom sierot był pod nieustanną obserwacją szpicli i najmniejsze potknięcie groziło zdemaskowaniem tożsamości wychowanków. Wizyty nuncjusza Angela Rotty, hrabiego Szapary, Sławika i Antalla miały przekonać otoczenie i Niemców, iż są tam mali Polacy. Po wkroczeniu Niemców w marcu 1944 r.

eprasa.pl 914682253b

Sierociniec w Vácu

FOT. TOMASZ KURPIERZ/IPN

dzieci wywieziono i ukryto w domach dziecka, klasztorach oraz u prywatnych osób. Wszystkie dzieci przeżyły wojnę, co potwierdza również Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Henryk Sławik wraz z żoną i współpracownikami zostali aresztowani przez Gestapo. Żona została wysłana do obozu Ravensbrück, gdzie doczekała się oswobodzenia. Henryk Sławik, Edmund Fietz oraz trzej współpracownicy zostali uwięzieni w obozie Mauthausen-Gusen. Po ciężkim śledztwie zostali powieszeni 23 sierpnia 1944 r.

Pomoc Kościoła katolickiego i Watykanu

Kościół katolicki, Watykan, polscy i węgierscy księża zapisali piękną kartę, niosąc pomoc uchodźcom z Polski, szczególnie Żydom. Zaangażował się także nuncjusz Angelo Rotta, działając w porozumieniu z papieżem i często z inspiracji polskich duchownych. W 1942 r., kiedy zaczęły słabnąć wpływy propolskie w węgierskiej elicie władzy, nuncjusz Rotta roztoczył szczególną opiekę nad Polakami. Po uzgodnieniach z Watykanem w 1943 r. odwiedził wszystkie polskie obozy wojskowe i cywilne. Skutecznie organizował pomoc materialną dla potrzebujących. Tylko w 1943 r. zdobył w Watykanie równowartość 60 tys. pengo (ówczesna węgierska waluta), przeznaczając je na utrzymanie polskich studentów. Arcybiskup wiedział, że wśród wrześniowych uchodźców z Polski jest wielu Żydów. Posiadał informacje o wystawianiu im przez polskich i węgierskich księży świadectw chrztu. Bez potwierdzenia, że Żydzi są katolikami, Komitet Obywatelski nie mógł wyrobić im nowych dokumentów tożsamości, niezbędnych wówczas do przeżycia w Europie. Nawiązał więc kontakt z zaufanymi przedstawicielami ambasad państw neutralnych, takich jak Szwecja, Szwajcaria i Portugalia oraz Hiszpania. Poprzez węgierską delegaturę MCK zainicjował wydawanie wiz państw neutralnych, które umożliwiały wyjazd z Węgier. Nuncjusz Rotta odwiedzał obozy, w których przebywali Polacy żydowskiego pochodzenia. By zmylić niemieckich agentów, ostentacyjnie modlił się z nimi, żeby stworzyć wrażenie, że wszyscy obozowicze są katolikami. Wspierali go polscy duchowni. Mając swobodę poruszania się po kraju, brali udział w ewakuacji żołnierzy, pomagali w ucieczkach z obozów, dostarczali dokumenty, bilety kolejowe, pieniądze i cywilne ubrania. Osobom żydowskiego pochodzenia wystawiali fałszywe metryki chrztu. Działalność polskich księży była śledzona przez wywiad niemiecki. Zajęcie Węgier przez wojska niemieckie 19 marca 1944 r. wytworzyło nową sytuację polityczną i zapoczątkowało masowe prześladowania Żydów i ich opiekunów, w tym polskich księży. Kilkunastu kapłanów aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych w Dachau i Mauthausen. Pozostali ukryli się w klasztorach i na plebaniach.

Polityka pomocy uchodźcom żydowskim z GG była energicznie wspierana przez ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej Kazimierza Papéego. Ambasador już 23 sierpnia 1940 r. skierował ustne oświadczenie w sprawie prześladowania Żydów w Polsce. We wrześniu 1942 r. prowadził korespondencję z generałem zakonu jezuitów Włodzimierzem Ledóchowskim w sprawie pomocy dla Polaków i Żydów w Rumunii. Ambasador Papée w grudniu 1942 r. osobiście wręczył notę sekretarzowi stanu kardynałowi Tardiniemu. Nota dotyczyła systematycznej eksterminacji Żydów w Polsce. Gdy wiosną 1944 r. Niemcy opanowali Węgry i rozpoczęli wywożenie Żydów do obozów zagłady, część ludności żydowskiej uciekła na Słowację. W odpowiedzi ambasador Papée, poprzez dyplomację watykańską, nawiązał kontakt z nuncjuszem apostolskim na Słowacji, aby udzielić schronienia i opieki prześladowanym Żydom. Swoje działanie potwierdził, wysyłając tajny list do polskiego MSW w Londynie poprzez brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Polski ambasador był nie tylko aktywny, lecz również skuteczny. 7 maja 1943 r. osobiście interweniował u sekretarza Jego Świątobliwości kard. Maglione w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa napływającym do Włoch Polakom oraz Żydom i już następnego dnia uzyskał pozytywną odpowiedź.

Polski Rząd na Uchodźstwie, Polskie Państwo Podziemne i polska dyplomacja oraz organizacje społeczno-obywatelskie prawdopodobnie uczyniły wszystko, co było możliwe, dla ratowania i ochrony społeczeństwa polskiego od biologicznej zagłady, bez względu na wyznanie i pochodzenie społeczne. Dlatego zasadna jest opinia prof. Jana Żaryna, że jednym z celów rządu i Polskiego Państwa Podziemnego była pomoc Żydom.

Polskie losy na Węgrzech to losy bohaterów bezinteresownie ratujących bliźnich niezależnie od wyznawanej religii, narodowości i pochodzenia. Bohaterowie często płacili najwyższą cenę życia. Ten wyjątkowy polski etos powinien się stać jednym z symboli stosunków polsko-żydowskich XX w.

eprasa.pl 914682253b

ANTYSEMITYZM STALINA

TAK JAK NIEGDYŚ POSTAĆ LENINA, TAK DZISIAJ STALIN JEST MITOLOGIZOWANY. I – CO CIEKAWE – NIE TYLKO W ROSJI, LECZ TAKŻE WŚRÓD ŻYDÓW. CI OSTATNI WIDZĄ W NIM WYBAWCĘ PRZED NIEMCAMI. CZY SŁUSZNIE?

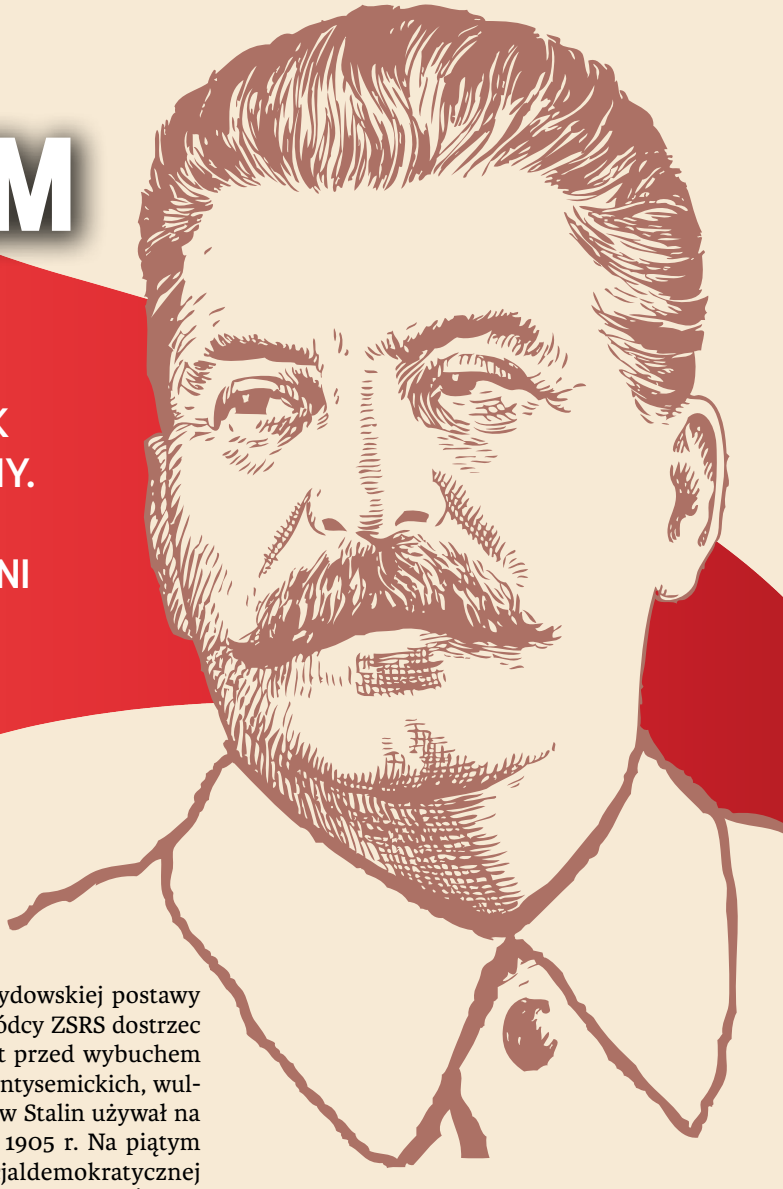

MACIEJ MACIEJOWSKI

W zalewie medialnych informacji przemknęła ostatnio mocno niepokojąca wiadomość. Według badań niezależnego od władz ośrodka badań opinii publicznej w Rosji (Centrum Jurija Lewady) aż 70 proc. Rosjan oceniło pozytywnie rolę Stalina (1878–1953) w historii własnego kraju. Jest to o tyle zdumiewające, że właśnie obywatele ZSRS ucierpieli najbardziej w okresie stalinowskich rządów. Do dziś niemal w każdej rosyjskiej rodzinie można znaleźć przodków, którzy zostali wówczas zamordowani bądź poddani bezlitosnym represjom. Źródeł wzmożonej popularności Stalina upatruje się przede wszystkim we wskrzeszeniu jego zasług jako pogromcy Hitlera i twórcy światowego imperium. Pojawiły się również głosy postulujące uhonorowanie Stalina za uratowanie Żydów przed Zagładą ze strony Niemców. Ten ostatni argument z wielu względów jest dyskusyjny.

Przed rewolucją

Ważnym elementem kwestionującym „zbawczą" rolę Stalina w Holokauście jest jego osobisty antysemityzm. Pierwsze przejawy antyżydowskiej postawy u przyszłego przywódcy ZSRS dostrzec można już wiele lat przed wybuchem rewolucji w Rosji. Antysemickich, wulgarnych argumentów Stalin używał na wiecu w Batumi w 1905 r. Na piątym zjeździe partii socjaldemokratycznej w 1907 r., wskazując na przewagę Żydów w konkurencyjnej frakcji mienszewików (w rzeczywistości było ich nie więcej niż 20 proc.), cytował innego bolszewika, który „żartował" o potrzebie dokonania pogromu. Stalin wyraźnie podkreślił wówczas, że mienszewicy to „frakcja żydowska", bolszewicy zaś „prawdziwie rosyjska". Nie widział też w Żydach narodu. Pogląd ten uzasadniał brakiem wyraźnie wyodrębnionej żydowskiej warstwy chłopskiej, zwartego obszaru osadnictwa i rzekomo zanikającym językiem. Jednocześnie obawiał się wzmocnienia ruchów syjonistycznych wśród Żydów.

W 1913 r. Stalin z inspiracji Lenina (1870–1924) opublikował w trzech częściach artykuł „Kwestia narodowa a socjaldemokracja", w którym po raz kolejny odmawiał Żydom posiadania wspólnoty i świadomości narodowej. Dla Stalina Żydzi byli „papierowym narodem". Jako komunista podważał również znaczenie judaizmu dla konsolidacji żydowskiej społeczności. Pisał na ten temat m.in. „Ale jak można poważnie twierdzić, że skostniałe obrzędy religijne i zanikające pozostałości psychologiczne wpływają na »los« wspomnianych Żydów silniej niż otaczające ich żywe środowisko społeczno-ekonomiczne i kulturalne? A przecież tylko wychodząc z takiego założenia, można mówić o Żydach w ogóle jako o jednolitym narodzie".

Antysemityzm Stalina pogłębiał się wraz z narastaniem kompleksu wobec bolszewickich intelektualistów żydowskiego pochodzenia, nierzadko gruntownie wykształconych, obytych w świecie, znających języki obce. Historyk angielski Alan Bullock (1914–2004) słusznie zwracał uwagę, że „Stalin głęboko odczuwał swoje upośledzenie społeczne i intelektualne. Rzadko zapominał lekceważenie lub wybaczał okazywaną protekcjonalność".

eprasa.pl 914682253b

Od rewolucji do Wielkiego Terroru

W okresie rewolucji i wojny domowej Stalin wszedł w ostry konflikt z tworzącymi kierownictwo Wojskowej Rady Rewolucyjnej Republiki komunistami żydowskiego pochodzenia: Lwem Trockim (1879–1940) i jego zastępcą Efraimem Sklanskim (1892–1925). Spór zaognił się do tego stopnia, że antysemickie poglądy Stalina zostały dostrzeżone na szczytach bolszewickiej władzy. Stalin, dążąc do zamaskowania powyższej sytuacji, mianował swoimi osobistymi sekretarzami Grigorija Kannera (1897–1938) i Lwa Mechlisa (1889–1953). Ci funkcjonariusze, mający żydowskie korzenie, stali się w latach 20. XX w. najbliższymi współpracownikami swego patrona oraz powiernikami jego najbardziej mrocznych działań.

Innym świadectwem antysemityzmu, a zarazem polonofobii Stalina było niemal doszczętne wyniszczenie członków Komunistycznej Partii Polski (KPP) przebywających w ZSRS. Mimo że powyższe osoby nie utożsamiały się z odrodzoną w latach 1918–1921 Polską i gorliwie służyły sowieckiemu państwu, Stalin uznał polskich komunistów za wrogą agenturę. Nie miało w tym momencie znaczenia, że z niektórymi komunistami polskiego pochodzenia uprzednio blisko współpracował, a stworzony przez niego system wiele im zawdzięczał. Ważną rolę w pogromie KPP odegrała również trudno skrywana przez Stalina pogarda dla Żydów. Polscy Żydzi tworzyli bowiem trzon KPP w ZSRS. Stalin na przełomie lat 20. i 30. widział w nich stronników swojego głównego antagonisty Lwa Trockiego.

Spośród 3817 członków KPP w wyniku terroru lat 1937–1938 ocalało nie więcej niż 100 osób. 16 sierpnia 1938 r. Prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu po uzyskaniu zgody Stalina rozwiązało KPP, co było wydarzeniem bez precedensu. Akceptacja została wyrażona już w grudniu 1937 r., przy czym Stalin zaznaczył, że należało to uczynić dwa lata wcześniej. Dodał przy tym, że decyzji o rozwiązaniu KPP nie należy ogłaszać.

W trakcie wojny

Czy Stalin ocalił Żydów w środkowej Europie przed Zagładą? Apogeum eksterminacji ludności żydowskiej w trakcie II wojny światowej dokonało się w ciągu kilkunastu miesięcy pomiędzy wiosną 1942 a latem 1943 r. Jeszcze na początku 1942 r. na obszarze Generalnej Guberni przebywało 2,284 mln Żydów, pod koniec tego roku zostało ich mniej niż 298 tys. Historycy szacują, że w okresie od upadku powstania w getcie warszawskim w maju 1943 r. do wybuchu powstania warszawskiego 1 sierpnia 1944 r. w stolicy ukrywało się kilkanaście tysięcy Żydów. Ludzie ci w zdecydowanej większości nie przeżyli powstania w Warszawie. Za ich śmierć pośrednio odpowiada Stalin, który zatrzymał ofensywę sowiecką nad środkową Wisłą, nie chcąc wspierać powstania. Uwarunkowany politycznie rozkaz Stalina skazał na śmierć również Żydów z getta łódzkiego, które do sierpnia 1944 r. było największym najdłużej egzystującym środowiskiem ludności żydowskiej na ziemiach polskich.

Dla nielicznych Żydów, którzy przeżyli Zagładę dokonaną przez Niemców, wkroczenie wojsk sowieckich do Europy Środkowej stanowiło rzeczywiste ocalenie. Jednak należy pamiętać, że to nie troska o los Żydów, lecz imperialne cele stanowiły priorytet w ówczesnych dążeniach Stalina. Generalissimusowi także po zakończeniu wojny nie w smak było eksponowanie tragedii Holokaustu, w jego oczach nie mogła ona przykryć strat, cierpienia i wysiłku wojennego innych narodów ZSRS.

W okresie zimnej wojny

Antysemickie fobie i kompleksy Stalina w pełni ujawniły się w związku z rozczarowaniem, jakie sprawiło przywódcy ZSRS powstanie Państwa Izrael (maj 1948 r.). Stalin upatrywał w nim swojego przyszłego wasala na Bliskim Wschodzie, tymczasem rosnące wpływy amerykańskie w Izraelu przekreśliły te rachuby. Pierwszą reakcją była likwidacja powstałego w ZSRS w 1942 r. Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego (listopad 1948 r.). Pół roku wcześniej przewodniczący Komitetu Solomon Michoels (1890–1948) został zamordowany w Mińsku na osobisty rozkaz Stalina. Jednocześnie poddano represjom władze Żydowskiej Autonomicznej SRR w Birobidżanie, zamknięto wiele teatrów żydowskich, 50 synagog. Krótko przed śmiercią Stalina ZSRS zerwał stosunki dyplomatyczne z Izraelem.

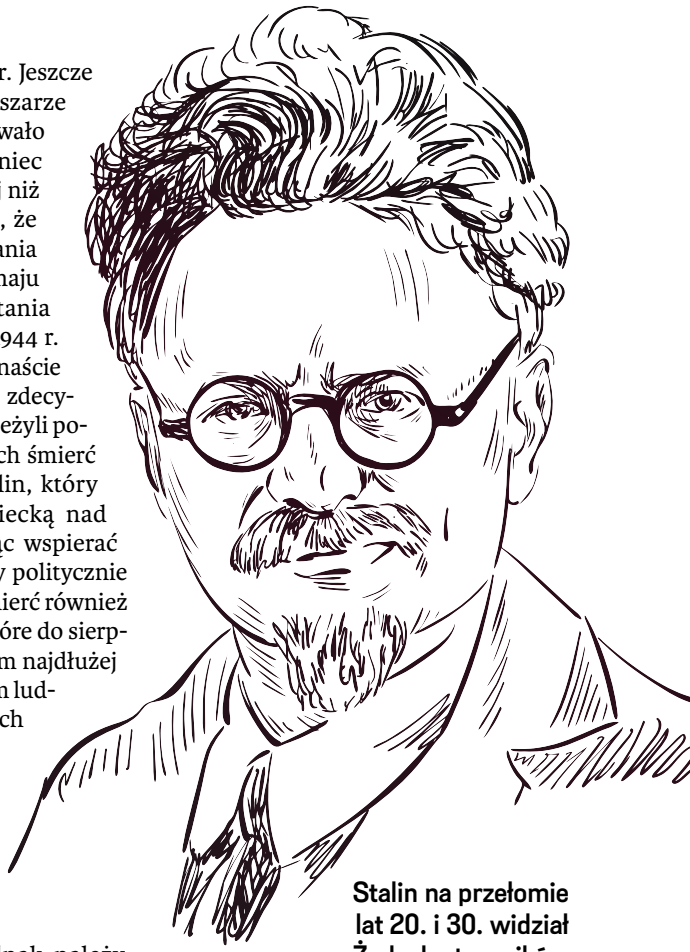

Stalin na przełomie lat 20. i 30. widział w Żydach stronników swojego głównego antagonisty Lwa Trockiego (na rys.)

Sowiecki internacjonalizm nakazujący widzieć w Żydach pełnoprawnych obywateli ZSRS w warunkach stalinizmu okazał się jedynie fasadą bez treści. Świadectwo z okresu Wielkiego Terroru (1937–1938) wskazuje, że Stalin postrzegał siebie wówczas jako „zrusyfikowanego gruzińskiego Azjatę". Sformułowanie to pasuje do polityki narodowościowej prowadzonej w latach 30. w ZSRS przez jego przywódcę. Stalin odżegnywał się od kultury europejskiej, szczególnie w jej zachodnim wydaniu. Eksponował dominację etnosu rosyjskiego, jednocześnie podkreślając swoje gruzińskie korzenie. Dawał tym samym do zrozumienia, że nie jest kosmopolitą. W trakcie całych swoich rządów Stalin dostarczał rozlicznych przykładów swojej ksenofobicznej postawy. Osobisty antysemityzm przywódcy ZSRS był niewątpliwie jej częścią.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 914682253b

„BYLIŚMY ZAKŁADNIKAMI…"

NIEMIECKI SYSTEM NA PERYFERIACH ZAGŁADY

AKTA TZW. SIERPNIÓWEK DOBRZE POKAZUJĄ, W JAKI SPOSÓB NIEMCY WCIĄGALI MIESZKAŃCÓW WSI W DZIAŁANIA ANTYŻYDOWSKIE

Patrol policji niemieckiej prowadzi grupę schwytanych Polaków, luty 1942 r.

FOT. NAC

ROMAN GIEROŃ

Jednym ze źródeł wykorzystywanych do badań nad Holokaustem na obszarach wiejskich są akta powojennych procesów wytoczonych na podstawie tzw. dekretu sierpniowego. Materiały te noszą piętno czasów, w jakich powstały. Ponadto nie dają pełnego obrazu relacji polsko-żydowskich na wsi w latach II wojny światowej. Przedstawiają tylko pewien wycinek rzeczywistości. Jest to głównie spojrzenie z punktu widzenia zainteresowań organów ścigania, oskarżonych, świadków i sądu.

Dokumentacja ta służy głównie do badania negatywnych czynów, jednak dokładnie czytając protokoły przesłuchań oskarżonych i świadków, poznajemy różnorodność działań chłopów i pozostałe okoliczności towarzyszące ich zachowaniom. Informacje uzyskane z akt tych procesów mogą pomóc lepiej zrozumieć realia okupacyjne na obrzeżach dokonywanej przez niemieckiego okupanta Zagłady ludności żydowskiej.

Powojenne rozliczenia

31 sierpnia 1944 r. PKWN wydał dekret o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego. To tzw. błyskawiczne narzędzie sprawiedliwości posłużyło komunistom do uwierzytelniania i legitymizowania ich władzy w oczach opinii publicznej. Nowe przepisy miały charakter drakoński i budziły wiele wątpliwości prawnych. Na ich podstawie skazywano nie tylko zbrodniarzy wojennych i kolaborantów, lecz również polskich patriotów uznanych za wrogów reżimu.

Większość procesów z dekretu sierpniowego toczyła się przed specjalnymi sądami karnymi, a następnie sądami powszechnymi. W sumie zapadło ok. 20 tys. wyroków skazujących. Jednak wśród osądzonych tylko ok. 34 proc. stanowili zbrodniarze wojenni narodowości nie-

eprasa.pl 914682253b

mieckiej. Przeważająca część oskarżonych posiadała obywatelstwo polskie. Wśród nich jedną z grup stanowili chłopi biorący udział w obławach lub wydający w ręce okupanta ukrywających się Żydów.

Żydowscy uciekinierzy

Na konferencji w podberlińskim Wannsee w styczniu 1942 r. wysocy rangą urzędnicy III Rzeszy ustalili logistykę planu wymordowania wszystkich europejskich Żydów. Jego częścią była „Akcja Reinhard", podczas której bezpośrednia eksterminacja ludności żydowskiej odbywała się również na oczach Polaków. Gdy rozpoczęto masową likwidację gett i deportację do obozów zagłady, żydowscy uciekinierzy zaczęli licznie się pojawiać na obszarach wiejskich.

W tym czasie Niemcy stworzyli warunki mające uniemożliwiać ewentualną pomoc skazanym na śmierć Żydom. W 1942 r. wieś najczęściej cierpiała niedożywienie i wyzysk z powodu zwiększonych kontyngentów. Warunki ekonomiczne, jakie stworzył okupant, uderzyły bezpośrednio lub pośrednio w poszukujących ratunku – wieś broniła się przed utratą żywności. Ponadto był to czas gwałtownego zintensyfikowania terroru wobec Polaków. Strach przed donosami, represjami oraz bieda wpływały negatywnie na stosunek do uciekinierów przed Zagładą.

Przede wszystkim jednak czynnikiem, który determinował zachowania wobec szukających schronienia Żydów, było okupacyjne prawodawstwo. Od października 1941 r. pod groźbą kary śmierci zabroniono udzielania pomocy ludności żydowskiej. Ponadto na podstawie rozporządzeń wyższego dowódcy SS i policji w GG Friedricha Krügera z października i listopada 1942 r. sankcje groziły każdemu, kto wiedział o Żydach przebywających poza gettem, a nie doniósł o tym. Mogło to oznaczać karę śmierci lub zesłanie do obozu. Od tego roku następuje nasilenie przypadków wydawania władzom okupacyjnym ukrywających się Żydów.

W latach 1945–1950 na obszarze województwa krakowskiego za popełnienie tzw. przestępstw okupacyjnych wobec Żydów w stan oskarżenia postawiono ponad 200 chłopów. Z materiałów procesowych dowiadujemy się, kim byli podsądni w momencie popełnienia czynu. Wśród nich byli głównie donosiciele i ci, którzy z różnych przyczyn wzięli udział w ujęciu lub oddaniu władzom okupacyjnym uciekinierów przed Zagładą. W większości byli to członkowie wart nocnych, zakładnicy, dziesiętnicy, sołtysi, podsołtysi, furmani, posłańcy, gońcy gromadzcy, a także gajowi oraz strażacy. Ich współudział w wyłapywaniu żydowskich uciekinierów można rozpatrywać w kontekście pełnionych przez nich funkcji i narzuconych przez okupanta obowiązków.

Sołtysi

Niemal co dziesiąty oskarżony pełnił podczas okupacji funkcję sołtysa lub jego zastępcy. Niemcy zabronili przedwojennym sołtysom podawać się do dymisji, a ustąpienie z tej funkcji uznawali za sabotaż. „Sołtysem byłem od r. 1937" – zeznawał jeden z oskarżonych. „W czasie okupacji zgłosiłem się do swojej funkcji, bo wójt ogłosił polecenie władzy niemieckiej, że kto nie zgłosi się na miejsce swojej dotychczasowej funkcji, uznany będzie za sabotażystę". W latach II wojny światowej zakres ich zadań uległ znacznej zmianie.

W 1942 r. nałożono na nich obowiązek meldowania o ukrywających się na ich terenie Żydach i ich pomocnikach. Podczas procesów sołtysi zeznawali, że w gminach odbywały się odprawy, na których nakazywano wyłapywanie i wydawanie Żydów. Jeden ze świadków zeznawał: „Pewnego dnia zostaliśmy wszyscy sołtysi wezwani do żandarmerii niemieckiej w Miechowie, widziałem, jak oskarżonego Stanisława W. bił żandarm niemiecki, że na terenie jego gromady ukrywają się Żydzi. Kiedy oskarżony Stanisław W. przeczył temu, żandarmi niemieccy mu powiedzieli »my tu siedzimy w Miechowie i wiemy, że na terenie twojej gromady ukrywają się Żydzi, a ty tam na miejscu nie wiesz« i zaczęli go żandarmi niemieccy jeszcze więcej bić. Komendant żandarmerii dał oskarżonemu Stanisławowi W. termin siedmiu dni do usunięcia ukrywających się Żydów w jego wsi i zagroził mu, że jeśli po tym terminie dojdą go wiadomości, że Żydzi nadal ukrywają się na terenie jego wioski, to wybije i spali pół wsi".

Sołtysi byli zobligowani do informowania o karze śmierci za pomoc Żydom i o represjach, które mogły dotknąć całą wieś. Działania mające pomóc w wyłapywaniu Żydów mogły zostać nagrodzone przez Niemców. Miejscem umieszczania ogłoszeń mogła być siedziba sołectwa oraz inne miejsca publiczne. Gdyby sołtysi zaniechali pościgu lub wypuścili Żydów, groziły im surowe represje ze strony Niemców, musieli również pamiętać o donosicielach wśród sąsiadów. Ponadto ich obowiązkiem było zatrzymywanie wszystkich podejrzanych osób i legitymowanie ich. Jeśli nie posiadały dokumentów, miały zostać odstawione na posterunek policji. W razie odmowy współpracy sołtysom groziły kary.

Warty nocne

Od 1942 r. do pomocy sołtysom w wypełnianiu nałożonych obowiązków zobligowani byli członkowie tzw. straży nocnych (gromadzkich), nazywanych również wartami wiejskimi lub chłopskimi. Miały to być zorganizowane przez samych sołtysów struktury tzw. samoobrony czy też pomocnicze formacje bezpieczeństwa. Należeli do nich członkowie straży nocnej (wartownicy), ochotniczej straży pożarnej, wiejscy kurierzy oraz sami sołtysi z zastępcami. Celem pomocniczych formacji bezpieczeństwa było wspieranie policji granatowej i żandarmerii w zachowaniu porządku we wsi i nadzorowaniu godziny policyjnej, walka ze szmuglem, legitymowanie oraz aresztowanie osób podejrzanych. Z rozkazu władz niemieckich wartownicy strzegli własnych wsi oraz obiektów gospodarczych przed bandytami i osobami uznanymi przez Niemców za bandytów, a więc również partyzantami i poszukującymi żywności żydowskimi uciekinierami.

Ich zadaniem było przeciwdziałanie przestępczości, a zgodnie z niemieckim prawem ukrywanie ludności żydowskiej było złamaniem okupacyjnych zarządzeń. Władze niemieckie przymuszały wartowników do udziału w deportacjach Żydów oraz do ich wyłapywania. Mieli obowiązek meldowania o obcych na swoim terenie, za co byli osobiście odpowiedzialni.

Do działalności na rzecz okupanta przymuszano także członków ochotniczych straży pożarnych oraz gajowych ze straży leśnej. Byli wykorzystywani jako przewodnicy, tropiciele i naganiacze w policyjnych obławach na Żydów, lecz również na zbiegłych jeńców sowieckich, partyzantów polskich i pospolitych kryminalistów. Czasami członków straży pożarnych wykorzystywano też do obław na tzw. ochotników na przymusowe roboty do Rzeszy oraz na Polaków ukrywających Żydów. Za niewykonywanie poleceń okupanta im także groziły represje. »

eprasa.pl 914682253b

System terroru

Aby wymusić przestrzeganie okupacyjnego prawodawstwa, Niemcy zastosowali formę spersonalizowanej odpowiedzialności zbiorowej. Był to instrument wykorzystania strachu o bezpieczeństwo własne i własnych rodzin jako narzędzia wpływu psychologicznego. Wyznaczano grupy zakładników, które odpowiadały życiem za wykonywanie zarządzeń i okupacyjnego prawa. W wielu przypadkach zakładnicy pełnili jednocześnie funkcję członków straży nocnych i tak samo jak wartownicy mieli obowiązek meldować o obcych na swoim terenie.

Te wiejskie formacje bezpieczeństwa były wykorzystywane do przeprowadzania obław na osoby poszukiwane i prześladowane. Sołtysi dostawali od Niemców lub wójtów nakazy organizowania obławy lub wyszukiwania ludzi, którzy się ukrywali. Byli zmuszani do zbierania członków pomocniczych formacji bezpieczeństwa oraz ewentualnie zwykłych mieszkańców wsi. Nadzór nad obławami sprawowali Niemcy i tzw. granatowi policjanci. Nie można wykluczyć, że byli tacy, którzy chętnie w tym uczestniczyli. Jednak to państwo niemieckie stworzyło im tę możliwość, nakazując czynić to w świetle ustanowionego przez siebie prawa.

Sposób działania władz niemieckich miał na celu wykluczenie pomocy sołtysów, członków wart i zakładników dla żydowskich uciekinierów. Jeżeli w gronie przymuszonych do współudziału w ujęciu Żydów był tajny informator, to za sabotowanie niemieckich zarządzeń, np. w postaci pozorowanych poszukiwań lub próby uwolnienia już ujętych, osobom tym mogła grozić kara śmierci. Zarządzenia władz niemieckich miały doprowadzić do tego, by chłopi bali się następstw niezawiadomienia władz niemieckich o osobach podejrzanych i obcych. Wyznaczenie zakładników, którzy swoim życiem gwarantowali wykonywanie tych rozporządzeń, potęgowało skuteczność systemu.

Z tłumaczeń pozwanych i świadków wyłania się obraz polskiej wsi opanowanej psychozą strachu wywołaną niemieckim terrorem. Ten strach miał oparcie w rzeczywistości. Niemcy stosowali sankcje za pomaganie Żydom oraz za niemeldowanie o ich kryjówkach. W dokumentacji sądowej zachowało się wiele informacji, które świadczyły o represjach stosowanych wobec ludności wiejskiej za pomoc udzielaną Żydom. „Nadmieniam, że na krótko przed tym wypadkiem Niemcy zastrzelili mego brata Józefa Wydmańskiego i spalili jego zabudowania za to, że znaleźli ukrywającego się u niego Żyda" – zeznawał przed sądem jeden z oskarżonych. W innym postępowaniu przesłuchana w charakterze świadka Katarzyna Cieślak oświadczyła: „że mąż jej został zdradzony do Niemców, że przetrzymuje ludność pochodzenia Mojrzesza [sic!] i za to został rozstrzelany". Warto dodać, że funkcjonariusze policji niemieckiej chcieli rozstrzelać całą jej rodzinę, ale ostatecznie odstąpili od tego zamiaru.

Strach był siłą sprawczą wielu czynów skierowanych przeciwko ludności żydowskiej. Gdy w okolicy zdarzały się przypadki niemieckich represji, wielu uciekinierów traciło swoje schronienia. Zastraszeni chłopi odmawiali udzielenia im pomocy i starali się odprawić ukrywanych przez siebie. Bywało, że zdesperowani Żydzi straszyli ukrywających wydaniem ich okupantowi oraz że Żydów i Polaków wydawali także ratowani Żydzi, wcześniej złapani i dręczeni przez Niemców. Niekiedy chłopi decydowali się donieść władzom o przebywających u nich uciekinierach, uznając, że w ten sposób ocalą swoje życie.

Rozrachunek

W przypadku wykonywania poleceń okupanta szczególne znaczenie miała skala rzeczywistego zaangażowania i gorliwości ludzi uczestniczących w tego rodzaju działaniach. W większości analizowanych powojennych postępowań z województwa krakowskiego było to przedmiotem przewodów sądowych. Niestety nie zawsze na podstawie tych akt historyk może z całą pewnością ustalić winę konkretnego oskarżonego lub jej brak. W niektórych przypadkach sporo ważnych szczegółów związanych z przestępstwami przeciwko Żydom nie zostało wyjaśnionych, np. nie ustalono osób, które jako pierwsze doniosły o ukrywających się w okolicy Żydach. Dodajmy, że dokumenty sądowe nie pozwalają ocenić skali zjawiska współudziału chłopów w działaniach antyżydowskich. Liczba przeprowadzonych procesów nie jest miarodajna.

Ponad połowa oskarżonych chłopów z województwa krakowskiego została uniewinniona. Natomiast skazani najczęściej otrzymywali kary od dwóch do dziesięciu lat więzienia. Oceniając wysokość wymierzanych im kar, należy brać pod uwagę surowość przepisów dekretu sierpniowego oraz orzecznictwo Sądu Najwyższego z tego okresu. Większość oskarżonych miała postawiony zarzut popełnienia czynu z art. 1 pkt 2 dekretu sierpniowego, czyli „wskazania lub ujęcia osób prześladowanych". Za popełnienie tego przestępstwa w przypadku niezastosowania przepisów o nadzwyczajnym złagodzeniu kary dekret przewidywał obligatoryjną karę śmierci.

Dodajmy, że w latach 1949 i 1950, czyli gdy toczyła się większość analizowanych chłopskich spraw, obowiązywała szeroka wykładnia terminu „ujęcie", przedstawiona przez Sąd Najwyższy. Doprowadziło to do objęcia tym przepisem o wiele większej grupy czynów oraz stosowania bardzo surowych sankcji wobec sprawców, którzy swoim świadomym działaniem udzielili pomocy, ale mało istotnej albo bardzo odległej od samego „ujęcia lub wskazania". Tę surowość sądy łagodziły na podstawie nadzwyczajnego złagodzenia kary. Dlatego w uzasadnieniach wyroków bardzo często zwracano uwagę na wszelkie okoliczności łagodzące. Szczególne znaczenie miało dla sądów udzielanie przez oskarżonych pomocy osobom prześladowanym oraz działanie pod przymusem.

Materiały sądowe dostarczają nam głównie wiedzy o szantażach, denuncjacjach, łapankach na ukrywających się oraz o dokonywanych na nich mordach. Jednakże w przebadanych aktach postępowań z woj. krakowskiego znajdują się również opisy wielu historii pomocy udzielanej przez Polaków prześladowanej ludności żydowskiej. Mimo że wymagają one dalszej krytycznej oceny i weryfikacji, ich skala pokazuje, iż dokumentacja ta jest przydatnym źródłem także do badań nad problematyką pomocy – szczególnie że na obszarach wiejskich osoby ratujące, najczęściej chłopi, pozostawiły bardzo mało śladów swojej działalności.

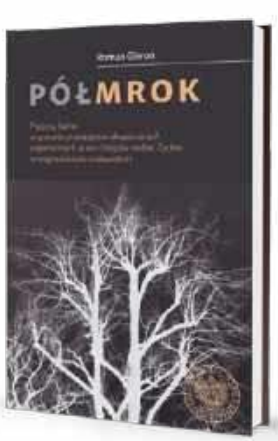

Więcej informacji na temat powojennych procesów wytoczonych na podstawie tzw. dekretu sierpniowego w książce Romana Gieronia „Półmrok. Procesy karne w sprawie przestępstw okupacyjnych popełnionych przez chłopów wobec Żydów w województwie krakowskim", wyd. IPN, Kraków 2020

eprasa.pl 914682253b

W latach 1945 i 1946 odnotowano w Polsce co najmniej osiem pogromów. Najgłośniejsza była seria krwawych incydentów 4 lipca 1946 r. w Kielcach

POLSKI ANTYSEMITYZM CZY IZRAELSCY AGENCI?

TUŻ PO WOJNIE ZACZĘŁY SIĘ POGROMY ŻYDÓW W POLSCE I TYCH KRAJACH EUROPY, GDZIE OSTALI SIĘ JESZCZE CI, KTÓRZY URATOWALI SIĘ ZE ZBRODNICZEJ NIEMIECKIEJ PRÓBY „OSTATECZNEGO ROZWIĄZANIA KWESTII ŻYDOWSKIEJ” »

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 914682253b

NORBERT PATALAS

Wydaje się to trochę dziwne w sytuacji, gdy Polacy uratowali w czasie wojny ponad 100 tys. Żydów, mimo że groziła za to śmierć całej rodziny z rąk Niemców. A zaraz po wojnie mieliby ci sami Polacy nagle aż tak bardzo ich znienawidzić, że inicjowali owe pogromy? Nieprawdopodobne.

Interesujące jest świadectwo znanego historyka żydowskiego pochodzenia, Lucjana Dobroszyckiego, który mawiał nieraz do Władysława Bartoszewskiego: „Gdyby było getto dla Polaków, a Żyda by zabijali z dziećmi, z żoną, matką za to, że pomagał gojowi, to ci powiem, że nie jestem pewien, czy znalazłoby się tylu ratujących, ilu znalazło się w Polsce przy istniejących poprzednio antagonizmach i różnicach kulturowych".

W roku 1945 i 1946 odnotowano w Polsce co najmniej osiem mniejszych i większych pogromów i niemal drugie tyle w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Jeszcze dziwniejsze jest to, że alarmowane polskie władze lokalne, czyli UB i MO, były w czasie pogromów zastanawiająco bierne, chociaż składały się głównie z Żydów, którzy garnęli się wtedy do komunistycznych władz gremialnie, co zresztą także miało swój wpływ na nastroje antyżydowskie w kraju. Tylko w Gdańsku próba wywołania pogromu została spacyfikowana przez władze... sowieckie: włączyła się bowiem Armia Czerwona i jej gdański komendant. Nic nie wiadomo o jakiejś aktywności gdańskiego Urzędu Bezpieczeństwa czy milicji.

Scena wydarzeń

Coś tu wydaje się nie tak. Musi być jakieś drugie dno tej sprawy. Marek Chodakiewicz w książce „Po zagładzie", w przypisie na str. 212 ostrożnie zauważa: „Czy były to przykłady powszechnego antysemityzmu, czy pogromy organizowane były odgórnie?".

Nie jest to podejrzenie zbyt odkrywcze, już w stanowisku bowiem władz kościelnych, a konkretnie bp. Czesława Kaczmarka, opublikowanym w 1946 r. po pogromie kieleckim, który rozegrał się 4 lipca 1946 r., znaleźć można podobne przypuszczenia. Wyjechało bowiem z Polski po tym wydarzeniu ok. 60 tys. Żydów. Poddano mianowicie pod rozwagę, że mogło leżeć w interesie syjonistów spowodowanie w ten gwałtowny sposób masowej emigracji Żydów do Izraela, gdzie miało wkrótce powstać państwo żydowskie.

Dziennikarz polski żydowskiego pochodzenia Kazimierz Zybert w wywiadzie, jaki z nim Ruta Pragier przeprowadziła i opublikowała w swej książce „Żydzi czy Polacy", zauważa: „Pogrom kielecki. Nie ma dowodów, ale wiele poszlak na to wskazuje, że była to ubecka prowokacja. A kto był w wierchuszce UB? Podobno Żydzi".

Nawet Jan T. Gross podaje w książce „Strach" za prof. Paczkowskim, że w UB było ok. 30 proc. Żydów. Zapomina jednak zauważyć, że liczba Żydów w Polsce sięgała tylko 245 tys., czyli 1 proc. ówczesnej ludności naszego kraju (ok. 24 mln). Zatem owa nadreprezentacja Żydów w UB była aż 30-krotna! I to dopiero obrazuje istotę zjawiska.

POGROM KIELECKI – WIELE WSKAZUJE, ŻE BYŁA TO UBECKA PROWOKACJA

Krwawa prowokacja

Kilka miesięcy przed głośnymi i wielokrotnie szczegółowo opisanymi w literaturze wydarzeniami w Kielcach (patrz Krzysztofa Kąkolewskiego „Umarły cmentarz" czy obszernie udokumentowane opracowanie Łukasza Kamińskiego i Jana Żaryna „Wokół pogromu kieleckiego") wyjątkowo okrutnie zamordowano dziewięcioletnią Bronisławę Mendoniówną w Rzeszowie. Zaginęła ona 7 czerwca 1945 r., a 11 czerwca przypadkowo znaleziono jej rzeczy osobiste w korytarzu kamienicy przy ul. Tannenbauma 12. Do tej kamienicy uczęszczała na lekcje.

Tło zdarzenia, detale milicyjnego śledztwa, a także dochodzeń ówczesnej partii SD i związków, np. Brygad Wywiadowczych (wywodzących się od AK i ZWZ), podaje Krzysztof Kaczmarski w książce „Pogrom, którego nie było". Można z nich wnioskować, że był to pozorowany mord rytualny. A więc prowokacja? Tylko niezbyt udana, bo jakkolwiek w efekcie doszło do gwałtownych wystąpień antyżydowskich w Rzeszowie i ponad 100 osób narodowości żydowskiej wyjechało z tego miasta, to pogromu Żydów jednak nie wywołała.

Nigdy nie wyjaśniono, kto dokonał tego mordu. Nawet wiele lat po zdarzeniach IPN – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie, która ponownie wnikliwie przeanalizowała owe zdarzenia, postanowiła umorzyć śledztwo, gdyż „nie ustalono osób bezpośrednio odpowiedzialnych za popełnienie tej zbrodni".

To wszystko pięknie, ale kto i po co miałby tak sprytnie tych prowokacji dokonywać? Czyżby jakiś dobrze przeszkolony „fachowiec"? Aby choćby spróbować wyjaśnić rzecz całą, trzeba się cofnąć do II wojny światowej.

Żydowscy komandosi w wojnie i po niej

Palestyna była w czasie wojny pod panowaniem brytyjskim i mieszkająca tam społeczność żydowska nie była zbyt liczna, rzędu 400 tys. Gdy oddziały niemieckiego Afrika Korps gen. Rommla zwycięsko posuwały się w Afryce Północnej na wschód w kierunku Egiptu i dalej do Bliskiego Wschodu, do tamtejszych pól naftowych, w Palestynie przygotowywano się na niemiecką eksterminację Żydów. Anglicy zorganizowali szkolenie kilkuset komandosów żydowskich do walk partyzanckich. „Szkoleni przez instruktorów angielskich osiągali oni perfekcję jako strzelcy wyborowi, bezwzględni mordercy i niszczyciele" – jak pisał Samuel Katz w książce „AMAN wywiad wojskowy Izraela". W latach 1943–1944 pluton tzw. niemiecki żydowskich dywersantów i szpiegów stał się jednostką wywiadowczą w ramach Brygady Żydowskiej, która walczyła we Włoszech. Inna formacja komandosów żydowskich, tzw. pluton bałkański, walczył wraz z Anglikami na wyspach greckich i w Jugosławii.

Zacznę od dalszych cytatów ze wspomnianej książki S. Katza. Otóż po wojnie „szpiedzy [żydowscy] zostali wysłani do Europy, aby pomagać uchodźcom żydowskim w przedostaniu się do Palestyny. Zrzucono ich w środkowej Europie, gdzie

eprasa.pl 914682253b

prowadzili działalność wywiadowczą i nawiązywali kontakty z ubezwłasnowolnioną społecznością żydowską Węgier i Czechosłowacji". W innym miejscu tej samej publikacji znajdujemy nawet nazwisko jednego z ważnych agentów: „Po II wojnie światowej Jariva – oficera z charyzmą, którego umiejętności doceniano jeszcze bardziej niż jego osobowość – wysłano do Europy, aby ułatwić przemycanie uchodźców żydowskich z Europy... Kiedy w 1947 roku rozpoczęła się walka o niepodległość Izraela, służył jako adiutant szefa sztabu Haganahu [tj. żydowskiej armii]".

Można zatem sądzić, że ów agent działał w Europie w latach 1945–1946 – dokładnie wtedy gdy rozlała się tam fala pogromów. Dodajmy, że Aaron Jariv został później – w roku 1964, już jako generał-major, szefem wywiadu wojskowego Izraela. Musiał to być zatem człowiek zdolny (być może do wszystkiego).

Przykład exodusu z Iraku

W świetle tych cytatów jest wysoce prawdopodobne, że po II wojnie światowej także w Polsce działali agenci żydowscy, których zadaniem było spowodowanie emigracji Żydów do Palestyny. O metodach przemycania do Izraela Żydów z innych krajów możemy wnioskować na przykładzie Iraku, gdzie nastąpiła spektakularna wpadka. Oto w latach 1950–1951 mostem powietrznym nielegalnie przerzucono do Izraela ok. 150 tys. irackich Żydów. Była to robota dużej grupy izraelskich agentów dysponujących własnymi biurami podróży, a nawet samolotami, których w końcu jednak Irakijczycy wyłapali. Aresztowano około setki Żydów i zagarnięto ogromny magazyn broni. Oskarżonym udowodniono m.in. cztery akty sabotażu. Największym i najbardziej zaskakującym zamachem był wybuch granatu w synagodze w Bagdadzie w chwili, gdy modliły się tam setki Żydów. Czterech Żydów zginęło, a ok. 20 odniosło rany.

Zdumiewające stwierdzenie, że to izraelscy agenci spowodowali wybuch w synagodze, zszokowało Żydów irackich. Wśród imigrantów z Iraku w Izraelu krążyły pogłoski, że izraelscy agenci aktami terroryzmu celowo przyspieszyli ich wyjazd. Powyższa informacja pochodzi z książki Dana Raviva i Yossi Melmana „A każdy szpieg to książę. Pełna historia wywiadu izraelskiego". Wydaje się rzeczą bardziej niż prawdopodobną, że aby spowodować wyjazd Żydów z Polski, Aaron Jariv i jego koledzy zapewne używali równie radykalnych metod.

Gen. Aaron Jariv (1920–1994), wyszkolony przez Brytyjczyków dywersant i szpieg, w Izraelu został szefem wywiadu wojskowego. Są przesłanki, by sądzić, że działał w Europie Wschodniej w latach 1945–1946

FOT. THE CENTRAL INTELLIGENCE AGENCY/WIKIPEDIA

Udowodnić tego nie sposób, ale zaskakująca bierność żydowskich szefów UB i MO w czasie pogromów lat 1945–1946 daje do myślenia. Ciekawe jest też, że w latach późniejszych owe pogromy w Polsce i w całej wschodniej Europie ustały, jak nożem uciął.

W Polsce inaczej?

Nie uda się zapewne nigdy udowodnić, że pogromy powojenne w Polsce były prowokacją agentów żydowskich mającą na celu wywołanie lub przyspieszenie masowej emigracji Żydów do Palestyny. Jest wszak oczywiste, że wyszkolony agent stara się nie zostawiać śladów, skazani jesteśmy tylko na poszlaki. Stare rzymskie powiedzenie mówi „Is fecit, cui prodest" – ten uczynił, kto zyskał. A na pogromach w Polsce zyskali syjoniści żydowscy: bezpośrednio po pogromie kieleckim wyjechało z Polski ok. 60 tys. Żydów, a ogółem w latach 1944–1949 aż ok. 200 tys. Nowo powstające Państwo Izrael zyskało więc znaczną liczbę nowych obywateli, których naprawdę bardzo, ale to bardzo potrzebowało, żeby uzyskać przewagę liczebną nad rdzenną ludnością arabską Palestyny.

Przytoczone rozumowanie dodatkowo uprawdopodabnia cyniczna wypowiedź pierwszego premiera Izraela Ben Guriona opublikowana w 1952 r. na łamach jego partyjnej gazety: „Wybrałbym 20 sprawnych młodych ludzi... i wysłałbym ich do krajów, gdzie Żydzi są ogarnięci grzesznym zadowoleniem z siebie. Zadaniem ich byłoby przebranie się za nie-Żydów i niedawanie spokoju Żydom za pomocą antysemickich haseł... Rezultaty w postaci imigracji do Izraela z tych krajów byłyby 10 tys. razy większe niż wyniki uzyskane przez tysiące emisariuszy...".

Zatem to nie polski antysemityzm, lecz przemyślana, długofalowa i bezwzględna polityka żydowska mająca na celu przyszłe zasiedlenie Żydami arabskiej Palestyny legła u podstaw antyżydowskich ekscesów zaraz po wojnie, nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach.

eprasa.pl 914682253b

CZY BISKUP GAWLINA BYŁ ANTYSEMITĄ?

POPRZEDZONY W CIĄGU OSTATNICH LAT WIELOMA MNIEJSZYMI WYDAWNICTWAMI, W ROKU 2019 UKAZAŁ SIĘ DZIENNIK Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ AUTORSTWA BISKUPA POLOWEGO JÓZEFA GAWLINY

JACEK ŻUREK

Dziennik ten Gawlina prowadził przez większość swego bardzo ciekawego życia. Syn polskich chłopów spod Raciborza był klerykiem niemieckiego seminarium duchownego we Wrocławiu, żołnierzem cesarskiej armii we Francji, w Syrii, Palestynie i Egipcie, księdzem diecezji katowickiej, założycielem Katolickiej Agencji Prasowej, działaczem społecznym i robotniczym na Górnym Śląsku, proboszczem, biskupem polowym od roku 1933; od września 1939 r. na emigracji, pierwszym polskim biskupem, który wjechał jawnie do Rosji od czasu rewolucji, jednym z organizatorów katolickiego duszpasterstwa Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR oraz Armii Polskiej na Wschodzie i 2 Korpusu, uczestnikiem bitwy pod Monte Cassino, biskupem polskiej emigracji, wielkim konkurentem i jednocześnie obrońcą, wbrew woli polskiego episkopatu, prymasa Stefana

FOT. NAC

e-wersja.pl 9146822531

Wyszyńskiego, gdy ten został aresztowany, wreszcie – uczestnikiem ostatniego soboru, na ławach którego oddał ducha w polemice z biskupami o cześć należną Matce Boskiej.

Krótko po II wojnie światowej, korzystając z pobytu w szpitalu, na podstawie zapisów z „Dziennika", Gawlina spisał swe „Wspomnienia", mniej szczegółowe, ale przez to bodaj ciekawsze dla czytelnika. Trzy ich wydania ukazały się staraniem ks. Jerzego Myszora, zasłużonego gawlinologa, w Katowicach. I w „Dzienniku", i we „Wspomnieniach" autor opisywał bez niedomówień historyczne wydarzenia, których był świadkiem, cytował rozmowy, charakteryzował ludzi, dawał wyraz swoim poglądom, pisząc z wielką kulturą, ale i nie owijając w bawełnę.

Pośród różnych wątków religijnych, społecznych, politycznych, a nawet gospodarczych, obecna jest w jego pismach kwestia żydowska, która wiąże się z zagadnieniem antysemityzmu i w ogóle stosunku Polaków i katolików do żydów (piszę o nich jako o wyznawcach, a więc małą literą). Zagadnienie wpływów żydowskich na polską politykę było dla Gawliny ważnym elementem przy ocenie osób i wydarzeń. Pragnę zwrócić uwagę na swego rodzaju manipulację bądź niezrozumienie, z którymi spotkał się biskup polowy wśród, życzliwych mu przecież, katolickich historyków i publicystów.

Po wydaniu drukiem „Dziennika" wysunięto tezę, że Gawlina dziś zapewne tego rodzaju notatek na temat żydów by nie pozostawił. Dlaczego? Zweryfikował bowiem swój stosunek do nich po roku 1945 na skutek wiadomości o losie polskiego żydostwa w kraju. Dowodem na to miałoby być usunięcie przez biskupa polowego informacji o wydźwięku antysemickim z jego powojennych „Wspomnień" (Andrzej Grajewski, „Oczami niewygodnego świadka", „Gość Niedzielny", 17 XI 2019, nr 46).

Rzeczywiście, krytyki we „Wspomnieniach" są w ogóle stonowane, skoro pisane były siłą rzeczy, pomimo zastrzeżonej przez autora 50-letniej karencji, dla potomnych, do druku, inaczej niż pisany do szuflady „Dziennik". Zadecydował więc o łagodzeniu niektórych spraw dyplomatyczny zmysł autora, także niewątpliwie szerszy, późniejszy ogląd spraw poruszanych wcześniej w „Dzienniku" oraz być może wzgląd na powojenne losy niektórych osób. Lecz to właśnie stonowane „Wspomnienia" Gawliny pełne są uogólniających, krytycznych opinii o żydach jako takich, które bez dwóch zdań współcześni filosemici określają jako przejawy głęboko zakorzenionego polskiego antysemityzmu. Wystarczy sięgnąć do rozdziału zatytułowanego przez Gawlinę „Nieco o Żydostwie, masonerii itp.". Proszę przeczytać choćby ten fragment: „Wniosek mój był, że uświadomione żydostwo gwałtownie nienawidzi Jezusa Chrystusa, a tym samym również mistycznego Jego Ciała, tj. Kościoła katolickiego. A że Polska jako naród katolicki zawadza ich tendencjom ogólnoświatowym, przeto jest przez nich podminowywana, a w świecie oczerniana. [...] Osobiście miałem najgłębszą sympatię do prawych, ortodoksyjnych Żydów zwłaszcza ze wschodu, lecz nie lubiłem międzynarodowych oszczerców żydowskich. Że masoneria jest przedłużonym ramieniem materialnym i ideowym żydostwa światowego, udowodnili już inni". Skoro krytyk swoich wobec żydów we „Wspomnieniach" Gawlina właśnie nie stonował, a miejscami przez uogólnienia i zebranie ich w osobnym rozdziale nawet zaostrzył, tym bardziej świadczy to o jego niezmiennie negatywnym stosunku do polskiego i światowego żydostwa (o szerszym kontekście zagadnienia, obejmującym także kwestię przedwojennego antysemityzmu oraz stosunek Gawliny do masonerii i protestantyzmu, można znaleźć informacje w dwóch moich artykułach: „Kwestia żydowska w Armii Polskiej w ZSRR i biskup polowy Józef Gawlina", „Studia i Materiały CBW", nr 1 (10) 2019, s. 121–122, 128–132, 150–154, 158 (wspólnie z Tomaszem Rygerem) oraz „Biskup Gawlina jedzie do Rosji" [w:] „Studia z historii Kościoła katolickiego w XIX i XX wieku...", red. D. Bednarski et al., Katowice 2020, s. 150–158).

PO WYDANIU DRUKIEM „DZIENNIKA" WYSUNIĘTO TEZĘ, ŻE GAWLINA DZIŚ ZAPEWNE TEGO RODZAJU NOTATEK NA TEMAT ŻYDÓW BY NIE POZOSTAWIŁ. DLACZEGO? ZWERYFIKOWAŁ BOWIEM SWÓJ STOSUNEK DO NICH PO ROKU 1945 NA SKUTEK WIADOMOŚCI O LOSIE POLSKIEGO ŻYDOSTWA W KRAJU

Poza tym w czasie wojny Gawlinie był bliższy przede wszystkim los Polaków pod niemiecką okupacją i – tak jak o żydach – nie pisał więc w tym kontekście w swym „Dzienniku" ani o Białorusinach, ani Ukraińcach. Mimo niewątpliwego męczeństwa ludności polskiej w kraju, w liczbach bezwzględnych dorównującego lub przewyższającego męczeństwo polskich żydów, a także pomimo męczeństwa milionów poborowych Armii Czerwonej, którzy znaleźli się w niemieckich obozach dla jeńców, również tych z ziem wschodnich Polski, nie szczędził we „Wspomnieniach" krytyk Polakom, Rosjanom, Rusinom/Ukraińcom. Dlaczego wyjątek miałby robić właśnie dla żydów?

Chwaląc go w ten sposób, w postaci dyskretnego potępienia antysemickich poglądów autora „Dziennika", wyrządza się więc biskupowi polowemu niedźwiedzią przysługę. Gawlina był wybitnym polskim i katolickim antysemitą, co zauważy od razu każdy uczciwy krytyk, bez względu na swój światopogląd. Można ten fakt ignorować i chować głowę w piasek, ale przeczyć temu i domniemywać „co by było gdyby", to już naprawdę przesada.

Myślę, że wynika to z dyktowanej lękiem dyplomacji, że wygłasza się laudację człowieka, który krytykując – jak sam pisał – uświadomione żydostwo, zgrzeszył w sposób niewybaczalny w oczach współczesnego świata.

eprasa.pl 914682253b

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Niespokojny rok 1971

Wydawałoby się, że początek 1971 r. powinien być – po krwawym stłumieniu rewolty grudniowej – spokojny. Tak jednak nie było już w styczniu, bo – mimo strachu – robotnicy postanowili dalej walczyć o swoje prawa, o swą godność

22 stycznia stanęła Stocznia im. Warskiego w Szczecinie. Zmanipulowany artykuł w „Głosie Szczecińskim" spowodował strajk, który szybko rozlał się na miasto

FOT. ARCHIWUM IPN SZCZECIN

Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak

Pomimo śmierci 45 osób (o czym na początku 1971 r. nadal nie pisano w prasie) w całym kraju dochodziło do protestów, bo podwyżki cen nie odwołano, a osób odpowiedzialnych za grudniową masakrę nie ukarano. W dodatku nowe władze wcale się z tym nie kwapiły, karmiąc społeczeństwo uspokajającymi komunikatami i obietnicami. Należała do nich odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie. Jeden z robotników pisał do Radiokomitetu: „Człowieka czarna rozpacz ogrania na wiadomość o odbudowie »Zamku Królewskiego«. Jasna krew nas zalewa na myśl o wyciskaniu tego ciężko zapracowanego grosza. [...] Kraj nie może dostatecznie ludzi mięsem nakarmić, a już zaprojektowali na trzęsawisku odbudowę Zamku za kilkadziesiąt miliardów". Inny dodawał: „Aby wywalczyć małą podwyżkę płac, która sięga od 30 do 50 zł, Wybrzeże kosztowało to dziesiątki istnień ludzkich i setki rannych, ale aby tę sumę potrącić robotnikowi, wystarczy jakieś fałszywe zobowiązanie Rady Zakładowej, która się w ogóle nie liczy i tu właśnie nikt nas nie broni".

Nic zatem dziwnego, że Służba Bezpieczeństwa odnotowała, iż w styczniu

eprasa.pl 914682253b

1971 r. do „przerw w pracy" miało dojść w 60 zakładach pracy, miesiąc później już w 101, w marcu w 44, w kwietniu 16 i w maju w kolejnych 9. Wzięły w nich udział – wedle bardzo dokładnych bezpieczniackich szacunków – 127 184 osoby z 562 158 zatrudnionych w objętych strajkami zakładach pracy, czyli ponad 22 proc. Przy czym w kolejnych miesiącach zmieniała się geografia tych protestów. W styczniu najwięcej zakładów miało przerwać pracę w województwach gdańskim (12), bydgoskim (9) i szczecińskim (8), w lutym w mieście Łodzi (38), województwach łódzkim (19) i stołecznym (warszawskim) (10), a w marcu ponownie w woj. łódzkim (7) i Łodzi (6) oraz woj. koszalińskim (5). Wbrew powszechnej opinii decyzja władzy z 15 lutego 1971 r. o cofnięciu podwyżek i cen nie zakończyła tej strajkowej fali – wg danych SB do 26 marca doszło do 306 „przerw w pracy", w tym blisko połowa z nich (136) rozpoczęła się już po 15 lutego. Fala strajkowa opadła wyraźnie w kwietniu i maju 1971 r. W tym pierwszym miesiącu strajkowało w całym kraju 16 zakładów (z czego prawie jedna trzecia w woj. zielonogórskim), a w drugim już tylko 9 (w tym 3 w woj. poznańskim).

Wracając jednak do stycznia. Jak wynikało z gromadzonych skrupulatnie przez bezpiekę komentarzy, już na początku nowego roku robotnicy ze szczecińskich stoczni coraz śmielej i głośniej domagali się ukarania winnych za zbrodnię sprzed kilku tygodni oraz wskazywali, że dojście do władzy Gierka nie przyniosło oczekiwanych zmian. Stanisław Wądołowski wspominał: „Przyszedł nowy rok. Nic się nie zmieniło. Dalszy chaos, bałagan, Gierek nie poprawiał. I przyszedł dzień dziesiątego stycznia, kiedy ze stoczni zaczęły wyjeżdżać samochody z napisem »Strajk trwa«". Władze próbowały natychmiast zgasić tlący się protest. Udało się, ale tylko na chwilę. 22 stycznia stanęła Stocznia im. Warskiego w Szczecinie. Robotnicy mieli dosyć. Zmanipulowany artykuł w „Głosie Szczecińskim" spowodował strajk, który szybko rozlał się na miasto. 23 stycznia Edward Gierek podjął decyzję o wyjeździe do Szczecina oraz Gdańska. Dzień później ok. 17:40 I sekretarz KC PZPR stanął pod bramą Stoczni Warskiego. Protestujący byli zdziwieni, ale szybko przystąpili do działania. W stoczniowej świetlicy przez ponad dziewięć godzin Gierek wraz z członkami rządu toczył bój słowny z robotnikami. Po jego zakończeniu obie strony uznały, że odniosły sukces, a ekipa partyjno-rządowa przeniosła się do Gdańska. W obu przypadkach nie było mowy o odwołaniu podwyżek.

Takich spotkań kierownictwo partyjno-rządowe odbyło jeszcze kilka, m.in. w Kielcach, Radomiu, Łodzi, Białymstoku czy na Śląsku. Trzeba było gasić protesty, szczególnie ten w Łodzi, który wybuchł 10 lutego. Rozpoczął się on w Łódzkich Zakładach Obuwia i Wyrobów Gumowych „Stomil". Zdecydowanie ważniejszy i bardziej spektakularny był jednak rozpoczęty w tym samym dniu protest w Zakładach Przemysłu Bawełnianego (ZPB) im. Marchlewskiego. Pracy nie podjęło tam – według ustaleń SB – 100 pracowników pierwszej i 200 drugiej zmiany Oddziału Przędzalni, z powodu pogłosek o obniżce styczniowych wynagrodzeń. Zażądali oni podwyżek płac o ok. 20 proc. Oprócz postulatu podniesienia płac pojawiły się też inne, m.in. przejrzystego, klarownego sposobu ustalania wysokości wynagrodzeń czy uczciwego podziału premii eksportowej (według bezpieki jedną z przyczyn protestu było „kumoterstwo wśród personelu średnio-technicznego"). Strajkujący podnosili nie tylko kwestie płacowe czy socjalno-bytowe, ale też organizacyjne czy liczne (łącznie 12 postulatów) dotyczące stosunków międzyludzkich w zakładzie. Co gorsza – z punktu widzenia władz PRL – strajki objęły kolejne zakłady pracy (głównie włókiennicze) w Łodzi.

Sytuacja w Łodzi stała się na tyle poważna, że 13 lutego 1971 r. omawiano ją podczas posiedzenia Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR. Na tym forum podjęto decyzję o zakończeniu strajków w tym mieście przy wykorzystaniu środków politycznych i ekonomicznych. Mimo tego ściągnięto tam – zapewne na „wszelki wypadek" oraz w celu wywarcia presji – dodatkowe jednostki wojska i milicji. Jednocześnie do Łodzi udała się delegacja partyjno-rządowa. W jej składzie znalazł się m.in. premier Piotr Jaroszewicz oraz członkowie Biura Politycznego i sekretarze KC PZPR Jan Szydlak i Józef Tejchma. W dniu 14 lutego oraz w nocy z 14 na 15 lutego prowadzili oni rozmowy w ZPB im. Marchlewskiego oraz ZPB im. Obrońców Pokoju. Rozmowy te nie przyniosły jednak efektu. W tym pierwszym zakładzie pracy zresztą wystąpienie Szydlaka przerwały gwałtowne krzyki, a Jaroszewicza nie dopuszczono nawet do głosu. Co gorsza – z punktu widzenia rządzących – 15 lutego 1971 r. okazał się momentem kulminacyjnym protestu. Przystąpiło do niego kilkanaście kolejnych zakładów pracy. W Łodzi wieczorem tego dnia strajkowało ich już 32, w tym wszystkie zakłady włókiennicze i bawełniane.

Władze PRL – w obawie przed eskalacją konfliktu, zwłaszcza przed strajkami ogólnopolskimi – podjęły w dniu 15 lutego (na forum Biura Politycznego KC PZPR) decyzję o cofnięciu podwyżek cen artykułów żywnościowych z grudnia 1970 r. z dniem 1 marca 1971 r. W efekcie delegacje większości zakładów pracy zgromadzone w ZPB im. Marchlewskiego podjęły decyzję o zakończeniu strajku – do wyjątków należały ZPB im. Obrońców Pokoju oraz ZPB im. Dzierżyńskiego, gdzie do pracy powrócono dopiero 17 lutego. Nie oznaczało to bynajmniej końca strajków ani w samej Łodzi, ani też w całym kraju. W ocenie Służby Bezpieczeństwa miało to wynikać z rozpowszechnionej opinii, że „Wybrzeże doprowadziło do zmian politycznych oraz podwyżki płac dla najniżej zarabiających, a łódzkie strajki spowodowały cofnięcie decyzji podwyżki cen" i w efekcie uznania, iż „zbiorowe wystąpienie stanowi najbardziej skuteczną formę wymuszenia od władz dalszych ustępstw".

Organizatorami strajków – co nie powinno dziwić – byli młodzi robotnicy o krótkim stażu pracy. Co więcej, w protestach uczestniczyli też, i to czynnie, członkowie partii, np. w Andrychowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego (11–12 marca 1971 r.) aż 26 ustalonych przez SB „organizatorów" strajku należało do PZPR. Tak na marginesie w zakładzie tym obok żądania podwyżki płac o 20 proc. pojawił się też postulat czterodniowego tygodnia pracy.

Po opadnięciu fali strajkowej przyszedł czas na rewanż ze strony władz – represje (od kar „po linii partyjnej", poprzez wyrzucenie z pracy, aż po sankcje karne), które dosięgły przywódców strajków i osób w czasie ich trwania najbardziej aktywnych. Umożliwiły to niezwykle szczegółowe dane zebrane przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, którzy w samym tylko województwie łódzkim, czyli lutowym centrum strajkowym, takich osób znanych im z imienia i nazwiska wymieniali 150.

eprasa.pl 914682253b

Gierek jedzie na Wybrzeże

Wyjazd I sekretarza KC PZPR do strajkujących robotników Szczecina i Gdańska był ewenementem w dziejach nie tylko PRL, lecz i całego obozu „demokracji ludowej"

Andrzej Boboli

24 stycznia 1971 r. Edward Gierek w stoczniowej świetlicy w Szczecinie przez ponad dziewięć godzin toczył bój słowny z robotnikami

FOT. MACIEJ JASIECKI/ARCHIWUM IPN SZCZECIN

Większość Polaków poznała nowego I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wieczorem 20 grudnia 1970 r. Przemówienie, które transmitowano w radiu i telewizji, pozwalało stwierdzić, że nowy przywódca partii i państwa jest człowiekiem o odmiennej – czytaj eleganckiej – prezencji w porównaniu ze swym poprzednikiem. Radiosłuchacze wsłuchiwali się w głos, który mówił spokojnie i zrównoważenie, lecz jednocześnie stanowczo. Jeżeli miał być to krok w stronę odzyskania przychylności społeczeństwa, które nadal przeżywało wstrząs wywołany tragedią na Wybrzeżu, która zdarzyła się niespełna tydzień wcześniej, należało uznać go za co najmniej umiarkowanie udany.

Kilka następnych dni Gierek poświęcił umocnieniu swojej dopiero co zdobytej władzy. Nastąpiło wiele zmian na stanowiskach kierowników wydziałów KC, które objęli zaufani nowego „pierwszego", uzupełniono też skład rządu o wicepremiera Jana Mitręgę, który to ruch Gierek tłumaczył rozbrajająco: „Nie ma Ślązaka w Radzie Ministrów". Kolejnym ruchem miało być uspokojenie sytuacji na północy Polski – mimo że w Szczecinie strajk praktycznie zakończył się 22 grudnia (wcześniej władze prowadziły zmasowaną akcję propagandową, która miała skłonić robotników do zakończenia protestu), atmosfera nadal była bardzo napięta. Dominowało poczucie wyczekiwania na to, co się teraz wydarzy. W relacjach świadków przewija się odczucie grozy – pasażerowie komunikacji miejskiej mówili przyciszonym głosem, na ulicach panowało milczenie. Tak minął Nowy Rok i pierwsza połowa stycznia 1971 r. Sytuacja rozogniła się na nowo w Szczecinie, po publikacji 20 stycznia w „Głosie Szczecińskim", będącego organem prasowym miejscowego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, informacji o podjęciu przez załogę Stoczni im. Warskiego nowych zobowiązań produkcyjnych. Tekst, który był niewątpliwie inspirowany przez miejscowe władze partyjne, spowodował ogłoszenie strajku okupacyjnego.

Mimo że postulowano przybycie najwyższych władz partyjnych, te pojawiły się w Szczecinie dopiero 24 stycznia. Gierkowi w podróży towarzyszył nowy minister spraw wewnętrznych Franciszek Szlachcic (publicysta Stefan Kisielewski pisał o nim: „Cóż to za postać, brr! – to nie jest postać, to posiedzieć"), premier Piotr Jaroszewicz i minister obrony narodowej Wojciech Jaruzelski. Informacje o wizycie były ściśle kontrolowane – był to bowiem ewenement w dziejach nie tylko PRL, lecz i całego obozu demokracji ludowej. Na teren strajkującego zakładu pracy przybył przywódca partii, aby negocjować z robotnikami zakończenie ich protestu.

Ze Szczecina Gierek udał się do Gdańska, mimo pewnych obaw, czy podróż do tego miasta także zakończy się sukcesem. Wizycie partyjnej wierchuszki towarzyszyły bezprecedensowe przygotowania mające przeciwdziałać wszelkim objawom protestów lub niechęci wobec przybyszów z KC (ściągnięto kompanie MO i ZOMO z całego województwa, a także kilkuset słuchaczy szkoły milicyjnej ze Słupska). W gmachu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej z Gierkiem miała się spotkać stuosobowa grupa aktywu partyjnego (selekcja tej grupy nie była jednak ściśle związana z przynależnością partyjną: wśród nich znaleźli się bezpartyjni, ale będący członkiem Rady Zakładowej elektryk Lech Wałęsa oraz wybrana przez załogę suwnicowa Anna Walentynowicz). Spotkaniu nie towarzyszyło tak duże napięcie jak w Szczecinie. Pod koniec spotkania Gierek, uznający dość bierne zachowanie sali za wyraz akceptacji dla jego słów, rzucił: „Jeśli nam pomożecie, to sądzę, że ten cel [poprawę warunków życia w Polsce – A.B.] uda nam się wspólnie osiągnąć. No więc jak – pomożecie?". Propagandowa mistyfikacja, którą stworzyły potem środki masowego przekazu, była tak sugestywna, że wiele lat później nawet uczestnicy tego spotkania wierzyli, że padło wówczas gromkie „Pomożemy!". Tymczasem rozległy się jedynie dość skąpe oklaski. W Polskę i w świat popłynął jednak komunikat o wielkim sukcesie nowego I sekretarza. Dekada Gierka zaczynała nabierać rozpędu.

eprasa.pl 914682253b

Czujna Służba Bezpieczeństwa

Wobec wydarzeń nie tylko z Grudnia '70, lecz również z pierwszych miesięcy 1971 r., bezczynna nie pozostała Służba Bezpieczeństwa

Grzegorz Majchrzak

Na szczeblu MSW podjęto wiele działań, aby nie dopuścić do eskalacji ewentualnego konfliktu i dążyć do jego jak najszybszego oraz jak najkorzystniejszego z punktu widzenia rządzących zakończenia. To, co zwraca szczególnie uwagę, to wprowadzenie – jak w okresie stalinowskim – na teren zakładów pracy funkcjonariuszy resortu.

Pod koniec lutego 1971 r. postanowiono utworzyć w MSW dziesięć 15-osobowych zespołów (drużyn). Mieli do nich wejść funkcjonariusze z różnych jednostek resortu spraw wewnętrznych, w tym specjaliści od techniki operacyjnej, funkcjonariusze operacyjni i dochodzeniowo-śledczy oraz specjaliści od łączności i kryminalistyki. Mieli oni działać w zakładach pracy, a także – w mniejszym zakresie (3 z 10 drużyn) – w środowiskach młodzieżowych. To nie wszystko, gdyż w wydziałach III Komend Wojewódzkich MO oraz sekcjach III Komend Miejskich MO postanowiono powołać dwu–pięcioosobowe nieetatowe zespoły, które miały pełnić funkcję „organizatora działań operacyjnych w obiektach". Ponadto w każdym z ówczesnych 16 województw przewidywano przeszkolenie po 20 milicjantów i esbeków, których zadaniem miało być realizowanie zadań „w sytuacjach konfliktowych" w zakładach pracy i „obiektach zamkniętych". Te struktury określano w dokumentach SB mianem grup „Z". Ich zadaniem było: 1) organizowanie działań operacyjnych w „zagrożonych obiektach" w celu ochrony i obrony magazynów z materiałami wybuchowymi i łatwopalnymi, zakładowych radiowęzłów czy ważnych dla funkcjonowania danego zakładu urządzeń; 2) ujawnianie przyczyn konfliktów oraz osób „zaangażowanych w jego zaostrzenie i rozszerzenie"; 3) prowadzenie działań w celu „neutralizowania, demaskowania i eliminowania organizatorów napięć i konfliktów"; 4) dokumentowanie „przejawów wrogiej i antysocjalistycznej działalności"; 5) zapewnienie „pełnej informacji" o rozwoju sytuacji, przygotowywanie jej prognoz i wniosków; 6) „typowanie osób szczególnie agresywnych do izolacji". Co ciekawe, obok tradycyjnych form zdobywania danych („aktyw" polityczny i zawodowy, agentura) funkcjonariusze mieli też przeprowadzać „rozmowy kapturowe".

W związku z kolejnymi strajkami 13 marca 1971 r. utworzono przy Departamencie III MSW Grupę Specjalistyczną pod kierownictwem wicedyrektora tego departamentu Karola Pawłowicza. Jej podstawowym zadaniem było analizowanie sytuacji i prognozowanie jej rozwoju, a także „zapobieganie napięciom" oraz „zwalczanie przerw w pracy". Trafiło do niej 18 funkcjonariuszy z dużym doświadczeniem operacyjnym. Co ciekawe, grupa ta miała działać „na miejscu zdarzenia", oczywiście przy współpracy miejscowej administracji czy Służby Bezpieczeństwa.

Również w marcu 1971 r. opracowano ramowy program działań polityczno-operacyjnych SB i MO w zakładach gospodarki narodowej w celu „zapobiegania i przeciwdziałania sytuacjom konfliktowym i przerwom w pracy". Za podstawowe zadania uznano: 1) dokonywanie ocen i prognoz rozwoju sytuacji w zakładach pracy; 2) działania SB w przypadku „przerw w pracy"; 3) zadania SB i MO w przypadku „pozostania załogi w zakładzie"; 4) działania SB i MO w wypadku wyjścia na ulice; 5) działania w celu „rozładowania sytuacji". I tak np. do zadań Służby Bezpieczeństwa w przypadku wyjścia ludzi na ulice należało „aktywne rozpoznanie" przywódców demonstracji, dokumentacja (filmowa i fotograficzna wydarzeń), a zwłaszcza „zachowań prowodyrów i awanturników", zapewnienie dopływu informacji, dokonanie zatrzymań – ale tylko w sprzyjających okolicznościach – najbardziej agresywnych uczestników zajść, prowadzenie działań operacyjno-śledczych wobec osób odpowiedzialnych za zaistniałą sytuację.

Na szczęście nie wszystkie pogrudniowe wnioski i działania kierownictwa MSW przyniosły spodziewane efekty, dzięki czemu kolejne strajki z lata 1980 r. zakończyły się wręcz klęską SB i powstaniem Solidarności.

Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR, w trakcie wizyty w MSW w maju 1971 r. Z prawej Franciszek Szlachcic, minister spraw wewnętrznych

FOT. ARCHIWUM IPN

eprasa.pl 914682253b

Czarny protest. 1 maja 1971 w Gdańsku

1 maja 1971 r. w Gdańsku – podobnie jak w Szczecinie – doszło do „czarnego pochodu”

Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak

FOT. ARCHIWUM IPN GDAŃSK

Władze, choć wcześniej spodziewały się takiej manifestacji, nie potrafiły jej zapobiec ani spacyfikować. W czasie pochodu „w jednym przypadku nawiązano do wypadków grudniowych, bowiem w około 40-osobowej grupie niesiono dwa transparenty o następującej treści: »Żądamy ukarania winnych wypadków grudniowych« oraz »Żądamy osłonięcia tablicy pamiątkowej zabitych w zajściach grudniowych«. Niesiono ponadto biało-niebieską flagę przepasaną czarnym kirem. Grupa ta przeszła spokojnie przed trybuną” – pisał, niezbyt zresztą precyzyjnie, 3 maja 1971 r. w sprawozdaniu z obchodów pierwszomajowych sekretarz ds. organizacyjnych Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku Feliks Pieczewski.

Opisywane powyżej zdarzenia były dziełem pięciu stoczniowców, z których niestety czterech „na gorącym uczynku” zatrzymali funkcjonariusze SB, a personalia ostatniego z nich ustalili jeszcze tego samego lub następnego dnia. I tak transparent ze słowami: „Żądamy odsłonięcia tablicy ku czci poległych stoczniowców – SG” nieśli 24-letni Tadeusz Łotysz (od 1962 r. pracownik Stoczni Gdańskiej, wiertacz na Wydziale S-4) oraz rok młodszy od niego Ryszard Kawala (zatrudniony w tym samym zakładzie od 1965 r., wytaczacz na tym samym wydziale). Natomiast drugi o treści: „Żądamy ukarania winnych za zajścia grudniowe” był niesiony przez 30-letniego Bogdana Saleja (od 1963 r. pracującego w Stoczni Gdańskiej, tokarza na Wydziale S-4) oraz jego rówieśnika Krzysztofa Dąbrowskiego (kolegę z tego samego wydziału, zatrudnionego na stanowisku konserwatora maszyn). Z ich grona wyróżniał się Salej, który był nie tylko członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej oraz PZPR, ale również – przynajmniej w ocenie Służby Bezpieczeństwa – „aktywnym organizatorem strajków grudniowych 1970 r. i styczniowych 1971 r.”. Bezpiece, a dokładnie Wydziałowi „B” Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku, udało się też ustalić, że – oczywiście – biało-czerwoną flagę przepasaną kirem niósł 36-letni Aleksander Krzysztofowicz, który podobnie jak jego wcześniej wymienieni koledzy pracował (od 1953 r.) w Stoczni Gdańskiej, jednak na innym wydziale (MY), w dziale transportu jako konserwator elektryk.

Jak relacjonował po latach dziennikarzowi „Gazety Wyborczej Trójmiasto” Piotrowi Piotrowskiemu, który zebrał wspomnienia trzech z pięciu bohaterów tych wydarzeń – Salej: „Ustalenia zapadły chyba tydzień przed 1 maja. W całkowitej konspiracji wybraliśmy na wydziale ludzi do niesienia transparentu [...]. Liczyliśmy się ze wszystkim, dlatego postanowiliśmy, że dwa transparenty poniosą jedynie kawalerowie, ewentualnie, ci którzy nie mają dzieci”. „Nieśliśmy je wysoko nad głowami, tak żeby wszyscy stoczniowcy je widzieli. Jak się pojawiły, to od razu przez tłum poszedł szmer, więc większość widziała transparenty” – dodawał Kawala. Tak na marginesie, na jednym z transparentów był błąd ortograficzny w słowie „żądamy” – zamiast „ż” wpisano „rz” i dopiero na trasie pomyłkę tę zauważono i naprawiono. Próbę interwencji podjęli funkcjonariusze SB. „Patrzę, a ze szpaleru ludzi na chodniku wpadają w naszą grupę jacyś faceci w marynarkach. Drą się jak opętani, żeby schować transparenty, ale my twardo trzymamy je w górze” – wspominał Ryszard Kawala. Interwencję esbeków uniemożliwiają jednak inni stoczniowcy. Dzięki temu ich odważni koledzy doszli przed trybunę honorową. Ponownie zostali zaatakowani na ul. Szerokiej, gdzie pierwszomajowy pochód się kończył. „Wpadli na mnie jak tygrysy, złapali transparent, zwinęli, mnie do bramy. Tam spuścili mnie i Bogusiowi mały łomot” – relacjonował Kawala. Natomiast Łotysz – jedyny, któremu udało się szczęśliwie uniknąć zatrzymania – wspominał: „Mnie się jakoś udało. Nie zwrócili chyba na mnie uwagi. Zniknąłem w tłumie”. Jego kolegów przesłuchano i zwolniono do domu. Ich czynu jednak nie zapomniano. Byli szykanowani w następnych miesiącach, a nawet latach (w tym w okresie stanu wojennego).

eprasa.pl 914682253b

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Na jednym z instruktażowych filmów dla funkcjonariuszy SB na taśmie zarejestrowano pochód pierwszomajowy w Szczecinie w 1971 r., w czasie którego przed trybuną honorową doszło do aktu protestu przeciwko przemocy użytej przez milicję w grudniu 1970 r.

— ***Radosław Poboży*** —

Okiem esbeckiej kamery

W tajnym opracowaniu z 1977 r. przygotowanym dla dyrektora gabinetu ministra spraw wewnętrznych Józefa Chomętowskiego przez zastępcę dyrektora Biura „B" MSW Tadeusza Kosmę przedstawiono problemy związane z realizacją filmów szkoleniowych i propagandowych w resorcie. Postulowano m.in., aby w Biurze „B" zatrudnić osobę z „zakresu reżyserii filmowej", ponieważ dotychczas „przyjmując temat filmu do realizacji, powierza [się] wykonanie tych prac operatorowi". Wychodząc naprzeciw stawianym postulatom, w 1978 r. zostaje zatrudniony Jerzy Obłamski, w cywilu absolwent Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, drugi reżyser filmu fabularnego „Motylem jestem, czyli romans 40-latka". Do jego zadań w Wydziale XII Biura „B" MSW należała realizacja filmów operacyjnych, szkoleniowych, dokumentalnych i reportaży. Jego pierwszy film zrealizowany dla ministerstwa to „Dokumentalny film operacyjny w MSW", znany również jako „12 filmów operacyjnych". Film ten został podzielony na 12 części i obejmuje okres od marca 1968 do 1972 r. Przedstawiono w nim najważniejsze przedsięwzięcia operacyjne, w jakich uczestniczyli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Na taśmie filmowej zarejestrowano m.in. pochód pierwszomajowy w Szczecinie, w czasie którego jeden z uczestników podniósł lewą rękę w czarnej rękawiczce przed trybuną honorową w proteście przeciwko przemocy użytej przez milicję podczas protestów i strajków w grudniu 1970 r. Gest ten był odniesieniem do symboliki wykorzystywanej przez Partię Czarnych Panter (ang. Black Panther Party (BPP) albo Black Panther Party for Self-Defense), radykalnej amerykańskiej organizacji politycznej utworzonej w celu ochrony afroamerykańskiej mniejszości w USA.

Materiał ten został zrealizowany jawnie z trybuny honorowej przez operatora podszywającego się pod pracownika Telewizji Polskiej. Ten zabieg stosowano często w sytuacji, kiedy nie było możliwe ukrycie aparatury filmowej lub obawiano się jej dekonspiracji. Film oprócz samej warstwy wizualnej opatrzony został tendencyjnym komentarzem lektorskim.

Akcja zamanifestowania swojego sprzeciwu i żalu wobec władzy przeszła do historii pod nazwą „czarnych pochodów" (do podobnego protestu doszło w Gdańsku). Stoczniowcy wraz z uczniami szczecińskich szkół podczas oficjalnego pochodu wmieszali się w tłum, rozwinęli swoje transparenty i flagi przepasane czarnym kirem, dochodząc aż do trybuny honorowej. Wśród nich znalazł się Henryk Toczek, brat zamordowanego w grudniu 1970 r. Zygmunta. To właśnie on pokazał charakterystyczną zaciśniętą pięść.

Henryk Toczek z podniesioną dłonią na znak protestu przeciwko nieukaraniu winnych za śmierć robotników w grudniu 1970 r.

FOT. ARCHIWUM IPN, KADR Z FILMU „DOKUMENTALNY FILM OPERACYJNY W MSW"

Kilka dni później postanowiono objąć go kontrolą operacyjną. 28 maja 1971 r. Wydział III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Szczecinie założył mu kwestionariusz ewidencyjny, któremu nadano kryptonim „Monter". 12 czerwca 1971 r. Henryk Toczek został aresztowany i oskarżony o uczestnictwo w „zbiegowisku ulicznym". Wyrokiem Sądu Powiatowego w Szczecinie z dnia 13 sierpnia 1971 r. skazany na karę grzywny za rzekome wybicie szyb w świetlicy osiedlowej 1 maja 1971 r. Co ciekawe, 17 świadków zdarzenia odwołało złożone w dochodzeniu zeznania, zasłaniając się niepamięcią. Pochód w Szczecinie zakończył się na cmentarzu Centralnym, gdzie manifestanci złożyli hołd poległym w czasie rewolty grudniowej.

W Szczecinie na upamiętnienie masakry robotników z 1970 r. mieszkańcy miasta musieli czekać 10 lat. 17 grudnia 1980 r. w obecności 18 tys. szczecinian na bramie Stoczni Szczecińskiej odsłonięto tablicę ku czci zamordowanych. Ponadto 28 sierpnia 2005 r., w ramach obchodów 25. rocznicy podpisania porozumień sierpniowych, został odsłonięty 11-metrowy monument przedstawiający anioła. Wokół pomnika ustawiono cztery pionowe płyty granitowe, na których znajdują się inskrypcje pamiątkowe oraz nazwiska poległych w grudniu 1970 r., w tym nazwisko Zygmunta Toczka.

eprasa.pl 914682253b

Kowalczykowie

6 października 1971 r. o godz. 0.40, w wyniku działań braci Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, doszło do eksplozji, która zniszczyła aulę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. W ten nietypowy sposób chcieli oni zaprotestować przeciwko masakrze robotników w grudniu 1970 r. oraz pokazać społeczeństwu, że istnieje w kraju opozycja skutecznie walcząca z reżimem komunistycznym

Grzegorz Waligóra

Ryszard Kowalczyk

FOT. ARCHIWUM IPN WROCŁAW x2

Bracia pochodzili z patriotycznej rodziny. Do Opola przyjechali z niewielkiej miejscowości Rząśniki koło Wyszkowa. Starszy Ryszard, urodzony w 1937 r., w 1963 r. ukończył studia na Wydziale Fizyki WSP, po czym rozpoczął pracę na tej uczelni, gdzie w 1971 r. obronił doktorat. Młodszy pięć lat Jerzy w Opolu mieszkał od 1961 r. Zatrudniony był jako pracownik techniczny w katedrze fizyki w tamtejszej WSP.

Wstrząsem dla obu braci była masakra protestujących robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Tymczasem uczelnia, na której pracowali, uchodziła za zaplecze kształcenia kadr PZPR, Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. W Auli WSP cyklicznie odbywały się wojewódzkie zebrania partyjne, na których „zasłużonym" wręczano wysokie odznaczenia. Podkładając ładunki wybuchowe w tym miejscu, Kowalczykowie chcieli zaprotestować przeciwko kolejnej uroczystej akademii, która miała się odbyć z okazji przypadającego święta MO i SB.

Ostateczną decyzję podjął samodzielnie Jerzy. Eksplozja zniszczyła wnętrze auli, posadzkę i część stropu. Nikt nie ucierpiał. Do eksplozji użyto trotylu pochodzącego ze starych bomb i pocisków z czasów II wojny światowej. Ryszard dokonał odpowiednich obliczeń, a Jerzy skonstruował i rozmieścił ładunki.

W celu wyjaśnienia przyczyn i okoliczności wybuchu Służba Bezpieczeństwa wszczęła sprawę operacyjnego rozpracowania kryptonim Mrowisko. Tylko w pierwszych dniach przesłuchano ponad 50 osób, przede wszystkim świadków i pracowników WSP.

Eksplozja zniszczyła wnętrze auli, posadzkę i część stropu. Nikt nie ucierpiał. Zdjęcie z dokumentacji śledztwa SB

Szczegółowe analizy opracowywane przez ekspertów, biegłych oraz pirotechników stopniowo zawężały grono podejrzanych. Sprawców szukano w kręgu osób znających się na materiałach wybuchowych, mających dostęp do trotylu oraz znających rozkład pomieszczeń uczelni i wrogich wobec władzy ludowej. Przełomowym momentem w śledztwie było włączenie 11 stycznia 1972 r. (ponad trzy miesiące od eksplozji) do kręgu podejrzanych Jerzego i Ryszarda Kowalczyków. Obaj byli pracownikami WSP i od najmłodszych lat interesowali się materiałami wybuchowymi.

W ich wspólnym mieszkaniu oraz w pracy zainstalowano podsłuchy, wytypowano też tajnych współpracowników, którzy mieli dostarczać wiadomości weryfikujących podejrzenia SB. Wykorzystując słabość Jerzego do ładnych kobiet, bezpieka za pomocą kombinacji operacyjnej doprowadziła do poznania go z agentką „Kasią" (Katarzyną Łachetą). Dość szybko pozyskała ona sympatię i zaufanie Jerzego. Już dziesięć dni po jej wprowadzeniu do działań operacyjnych informowała, że jest on zdecydowanym wrogiem ustroju komunistycznego – a kilka dni później – że trotyl podłożono w kanale na rurach centralnego ogrzewania, do odpalenia którego wystarczył długi cienki drucik. Krótkie komunikaty, nie zawsze do końca zgodne z prawdą, które Jerzy Kowalczyk przekazywał „Kasi", pozwoliły SB na nabranie pewności, że to on jest odpowiedzialny za wybuch na WSP. Decyzję w sprawie aresztowania obu braci 29 lutego 1972 r. przyspieszyły informacje uzyskane z podsłuchu ich rozmowy, w której rozważali kolejne eksplozje. Oskarżono ich o wysadzenie auli i próbę zamachu na życie funkcjonariuszy. 8 września 1972 r. Sąd Wojewódzki w Opolu oraz 18 grudnia 1972 r. Sąd Najwyższy skazały Jerzego na karę śmierci, a Ryszarda na 25 lat pozbawienia wolności.

Zasądzona kara spotkała się z licznymi protestami (listy, petycje) inspirowanymi przez przedstawicieli środowisk opozycyjnych. Ostatecznie dopiero 11 lat później (28 lipca 1983 r.) Rada Państwa postanowiła zawiesić karę Ryszarda Kowalczyka. Niespełna dwa lata później, po kolejnych protestach i apelach opozycji, na wolność wyszedł jego brat Jerzy.

Dodatek powstał we współpracy z IPN | 37/0121/F

eprasa.pl 914682253b

Proces za Lenina

Polskie tradycje konspiracji niepodległościowej nie zniknęły wraz z rozbiciem zbrojnej partyzantki w latach 50. Kojarzące się ze stabilizacją lata rządów Władysława Gomułki też miały swych konspiratorów

FOT. ARCHIWUM IPN x2

Grzegorz Wołk

W październiku 1971 r. zakończył się proces organizacji Ruch. Andrzeja Czumę i Stefana Niesiołowskiego skazano na siedem lat więzienia, Benedykta Czumę na sześć lat, Mariana Gołębiewskiego i Bolesława Stolarza na cztery i pół roku, a Emila Morgiewicza na cztery lata. Były to najwyższe od czasów stalinowskich wyroki wydane w procesach politycznych.

W latach 60. Służba Bezpieczeństwa rozbijała kilkanaście organizacji konspiracyjnych rocznie. Większość z nich nie miała charakteru zbrojnego, ale samo podważanie prawa komunistów do sprawowania rządów wystarczało do represji. W 1970 r. aresztowano kilkadziesiąt osób wchodzących w skład organizacji, która nawet nie posiadała nazwy. Esbecy określili ją mianem Ruchu. Konspiratorzy przez blisko pięć lat swej działalności stworzyli sprawną siatkę konspiracyjną, liczącą w szczytowym okresie ok. 100 osób. Głównym celem Ruchu było przyczynienie się do odzyskania przez Polskę niepodległości i zlikwidowanie dyktatury komunistycznej. Organizacja wydawała konspiracyjne pisma („Biuletyn" i „Informator"), a jej cele programowe wyrażała deklaracja „Mijają lata...".

Najbardziej spektakularną akcją było zrzucenie w sierpniu 1968 r. z Rysów tablicy ku czci Lenina. Niestety na trop Ruchu wpadła SB. Dzień przed planowanym na 21 czerwca 1970 r. wysadzeniem pomnika Lenina w Poroninie i podpaleniem tamtejszego muzeum wodza rewolucji dokonano aresztowań i w efekcie doprowadzono do procesów.

Wysokość wyroków wzbudziła sprzeciw opinii publicznej. Protestowali przedstawiciele świata kultury (m.in. Agnieszka Osiecka, Marek Nowakowski i Zbigniew Herbert). Skazanych starał się też bronić Kościół. Działania te przyniosły skutek. Skazanych objęła lipcowa amnestia w 1974 r., a bracia Czumowie i Niesiołowski opuścili więzienne mury we wrześniu 1974 r.

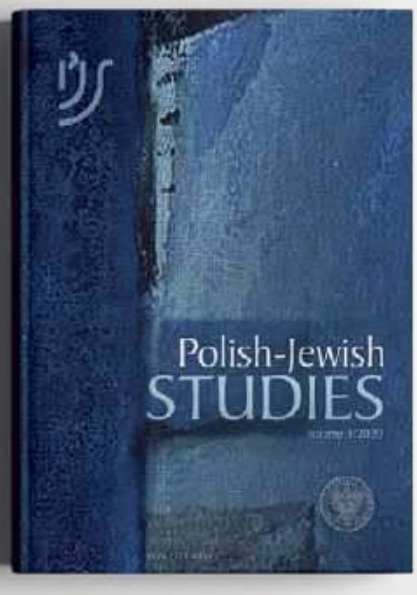

Polish-Jewish Studies

nowe czasopismo
Instytutu Pamięci Narodowej

więcej:
ipn.gov.pl/pjstudies

eprasa.pl 914682253b

Marzec

MICHAŁ KOMUDA

1 III 1951

Siedemdziesiąt lat temu komunistyczne władze położyły kres ostatniemu ogólnopolskiemu kierownictwu wywodzącemu się ze struktur Armii Krajowej. W więzieniu przy ul. Rakowieckiej zamordowano prezesa IV Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość ppłk. Łukasza Cieplińskiego „Pługa" (na zdj.) oraz jego najbliższych współpracowników: por. Józefa Batorego, kpt. Franciszka Błażeja, por. Karola Chmiela, mjr. Mieczysława Kawalca, mjr. Adama Lazarowicza oraz kpt. Jerzego Rzepkę.

2 III 1921

Sto lat temu we Lwowie urodził się piłkarz, a następnie najwybitniejszy polski trener piłkarski i selekcjoner kadry narodowej Kazimierz Górski. Pod jego okiem reprezentacja biało-czerwonych zdobyła m.in. złoty medal na Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Monachium oraz srebrny w Montrealu.

5 III 1946

Podczas wizyty w USA były premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, określając sytuację powstałą po zakończeniu II wojny światowej i wykrystalizowaniu się sowieckiej strefy wpływów w Europie, użył określenia „żelazna kurtyna".

10 III 1646

W Warszawie król Władysław IV poślubił swoją drugą żonę, księżniczkę Marię Gonzagę de Nevers. Jej koronacja nastąpiła w lipcu, a królowa przyjęła imię Ludwika Maria.

11 III 1886

W Brzeżanach przyszedł na świat jeden z najważniejszych przedstawicieli obozu piłsudczykowskiego, zdobywca Kijowa, Naczelny Wódz, marszałek Edward Śmigły-Rydz.

18 III 1921

Sto lat temu w Rydze podpisano traktat pokojowy kończący wojnę polsko-bolszewicką. Akt ten dawał wyniszczonej działaniami wojennymi Polsce upragniony czas na odbudowę kraju, jednak przekreślał niepodległościowe nadzieje związanych z nią sojuszem oddziałów ukraińskich i białoruskich.

19 III 1981

Komunistyczne władze skierowały do Bydgoszczy, gdzie odbywała się sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej, duże siły Milicji Obywatelskiej. Jej funkcjonariusze usunęli siłą z sali obrad uprzednio zaproszonych działaczy Solidarności, dotkliwie bijąc jej przedstawicieli.

20 III 1241

Książę Mieszko Otyły rozbił pod Raciborzem przeprawiających się przez Odrę Mongołów. Było to jedyne polskie zwycięstwo militarne podczas całego mongolskiego najazdu.

eprasa.pl 914682253b

7 III 1941

Wczesnym rankiem w mieszkaniu znanego aktora Igo Syma rozległy się strzały. Zlikwidowanie filmowego amanta stało się jednym z pierwszych i jednocześnie najgłośniejszym wykonaniem wyroku polskiego podziemia w okupowanej Warszawie.

Ponieważ Sym urodził się w Innsbrucku, w polsko-austriackiej rodzinie, jego przedwojenna kariera rozwijała się nie tylko w Polsce, lecz również w Austrii oraz Niemczech, gdzie wystąpił u boku samej Marleny Dietrich. Jednakże nastanie ery kina dźwiękowego zakończyło okres pierwszoplanowych ról ambitnego aktora. Być może to właśnie pchnęło go na drogę współpracy z Niemcami. Po rozpoczęciu okupacji nie tylko został Reichsdeutschem, lecz również rozpracowującym warszawskie środowisko artystyczne konfidentem Gestapo. Odpowiadał także za werbowanie polskich aktorów do niemieckiego filmu propagandowego „Heimkehr" szkalującego przedwojenną Polskę. W zamian za współpracę z okupantem otrzymał posadę dyrektora warszawskich teatrów jawnych, prowadził kino dla Niemców oraz operetkę. Działalność Syma od początku wojny była śledzona przez reżysera teatralnego i oficera wywiadu ZWZ-AK Romana Niewiarowicza „Ładę". Na podstawie zgromadzonych dowodów 5 marca 1941 r. Wojskowy Sąd Specjalny ZWZ wydał na aktora wyrok śmierci. Dwa dni później trzyosobowa grupa likwidacyjna ZWZ zapukała do jego drzwi. Wykonawca wyroku por. Roman Rozmiłowski „Zawada" w następujący sposób wspominał tę chwilę: „Otworzyła służąca. »Czy pana dyrektora Syma możemy prosić?« [...] ukazał się Sym ubrany do drogi. »Czy Pan Igo Sym?«. »Tak. Czym mogę panom służyć?«. W tej chwili wystrzeliłem, mierząc z Visa, prosto w serce. Strzał był celny. Szpicel upadł na twarz bez jęku".

29 III 1931

Do portu w Gdyni przybił najnowocześniejszy ówczesny polski kontrtorpedowiec ORP „Wicher". Na swoim pokładzie przywiózł do kraju wracającego z Madery Józefa Piłsudskiego oraz dwie tony wysłanych przez Polaków do Marszałka listów.

Planowanie wyjazdu wypoczynkowego Komendant rozpoczął jeszcze latem 1930 r. Wcześniej jednak musiał się zmierzyć z bezpardonową kampanią wyborczą oraz wyborami do sejmu i senatu, które były w listopadzie. W ich wyniku został rozwiązany rząd, na czele którego stał Piłsudski, i powołano nowy, kierowany przez Walerego Sławka. Marszałek zmęczony polityczną walką oraz szwankującym zdrowiem mógł w końcu wyruszyć na urlop. Ponieważ zależało mu na ciepłym klimacie i spokoju, na miejsce odpoczynku wybrał leżącą nieopodal wybrzeży Afryki Północnej portugalską wyspę Maderę. Utrzymywany przez długi czas w tajemnicy wyjazd nastąpił 15 grudnia. Ciekawostkę stanowiło to, że właśnie w trakcie podróży koleją przez Europę zawieruszyła się szabla Marszałka, a wydarzenie to stało się tematem licznych artykułów w międzynarodowej prasie. Po dotarciu do Lizbony i odznaczeniu przez tamtejsze władze orderem Wieży i Szpady Piłsudski w asyście kompanii honorowej wsiadł na statek, którym dopłynął do Madery. Tam też przez najbliższe trzy miesiące zamieszkiwał w wynajętej willi. Jeden z nielicznych towarzyszących mu na wyjeździe Polaków, kpt. Mieczysław Lepecki, wspominał, że „był to raczej skromny domek piętrowy, kryty dachówką [...]. Leżał w rozległym ogrodzie, który w bezpośredniej bliskości domu przepełniały kwiaty i klomby [...]. Od strony południowej rozpościerał się dalszy ciąg dolinki strumienia Ribeira Secca, domy i wille, opadające ku brzegowi morskiemu, i wreszcie... morze". Najdłuższy urlop Marszałka wypełniały spacery po wspomnianym ogrodzie, lektura i pisanie. Najczęstszymi jego towarzyszami byli czuwający nad zdrowiem Piłsudskiego dr Marcin Woyczyński oraz do pewnego momentu dr Eugenia Lewicka. Obecność tej ostatniej, młodej i atrakcyjnej osoby, miała mieć charakter nie tylko zawodowy. Spokój pobytu Piłsudskiego zakłóciły dwa nietypowe wydarzenia. Pierwszym były gwałtowne protesty mieszkańców wyspy przeciw podwyżce stawek celnych. Drugim, znacznie przyjemniejszym, ale problematycznym dla maderskiej poczty, okazało się nadsyłanie z Polski ogromnej liczby kartek z życzeniami imieninowymi dla Marszałka. W dniu zakończenia urlopu po Piłsudskiego na Maderę przypłynął ORP „Wicher". Misja ta była jednocześnie sprawdzeniem możliwości wcielonego ponad pół roku wcześniej do polskiej służby, dowodzonego przez kmdr. Tadeusza Podjazda-Morgensterna, okrętu. Po uroczystym pożegnaniu przez portugalskie władze znamienity gość odpłynął w kierunku Europy. U wybrzeży Francji witały go honorowe salwy armatnie. Z kolei trzy dni później rankiem na spotkanie „Wichra" wypłynęły trzy polskie trałowce, a następnie rozbrzmiał huk artylerii salutującego Piłsudskiego krążownika ORP „Bałtyk". Tak Polska witała swojego Marszałka.

FOT. NAC-x5, MNW, IPN

eprasa.pl 914682253b

Kwiecień

3 IV 1941

Osiemdziesiąt lat temu popełnił w Budapeszcie samobójstwo jeden z największych przyjaciół Polski, premier Królestwa Węgier hrabia Pál Teleki. W wyniku jego decyzji Węgrzy w przededniu Bitwy Warszawskiej w 1920 r. wysłali nieocenioną pomoc wojskową dla Wojska Polskiego, a w 1939 r. nie tylko odmówili udziału w agresji na II RP, tak bezpośredniego, jak i pośredniego, lecz również otoczyli szeroko zakrojoną opieką polskich uchodźców.

6 IV 1901

We Lwowie urodził się autor niezliczonej liczby tekstów do szlagierów, poeta, satyryk i publicysta Marian Hemar. Godne podkreślenia jest, że w trakcie II wojny światowej służył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich.

7 IV 1656

Wojska Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego rozbiły pod Warką oddział margrabiego Fryderyka Badeńskiego. W ten sposób nie tylko zdobyły znaczne ilości cennego zaopatrzenia, lecz również po raz pierwszy podczas potopu udowodniły, że Polacy są w stanie pokonać Szwedów w polu.

10 IV 1831

Pod Iganiami wojska gen. Ignacego Prądzyńskiego odniosły błyskotliwe zwycięstwo nad rosyjskim korpusem gen. Grigorija Rosena. Pomimo tego sukcesu Naczelny Wódz gen. Jan Skrzynecki wstrzymał ofensywę prowadzoną z powodzeniem, a bitwa stała się ostatnim tak pomyślnym osiągnięciem powstania listopadowego.

11 IV 1926

W Warszawie powołano do życia Polski Związek Szachowy. Jego pierwszym przewodniczącym został szachista i wielki popularyzator królewskiej gry Józef Żabiński.

25 IV 1981

W toruńskim klubie Od Nowa odbył się pierwszy koncert zespołu, który już niedługo stał się jednym z filarów polskiej muzyki rockowej. Grzegorz Ciechowski, Sławomir Ciesielski, Zbigniew Krzywański i Paweł Kuczyński rozpoczęli historię kultowej Republiki.

30 IV 1971

Pomimo protestów mieszkańców z ulic Bielska-Białej zjechał ostatni tramwaj, a ten rodzaj komunikacji został uznany za nierentowny. Decyzja ta boleśnie przerywała bielskie tradycje, związane z tym, że miasto było trzecim po Wrocławiu i Elblągu ośrodkiem dysponującym siecią tramwajową.

eprasa.pl 914682253b

9 IV 1241

Polski książę Henryk Pobożny wraz ze swoimi hufcami zastąpił pod Legnicą drogę niezwyciężonym hordom ze Wschodu. Choć bitwę wygrali Mongołowie, to nie zdołali zdobyć grodu legnickiego, a Polska uniknęła okrutnego losu Rusi czy Węgier.

Od 1237 r. Batu-chan, wnuk twórcy mongolskiego imperium, Temudżina, prowadził podbój księstw ruskich, które padały pod jego ciosami jedno po drugim. W 1240 r. został zdobyty Kijów i Mongołowie stanęli na granicach rozbitej na dzielnice Polski. Stało się jasne, że najazd bitnych, słynących z okrucieństwa hord był tylko kwestią czasu. Pierwszym celem Azjatów w katolickiej Europie okazały się Węgry pod władzą Beli IV. Przeciw księstwom piastowskim ruszyły znacznie skromniejsze siły, które miały uniemożliwić zorganizowanie wspólnej polsko-czesko-węgierskiej obrony. Od stycznia 1241 r. Polskę penetrowały mongolskie zwiadowcze zagony. 13 lutego padł Sandomierz, a polskie rycerstwo doznało klęski w bitwie pod Turskiem. Miesiąc później rozpoczęła się główna faza najazdu. Mongołowie 18 marca odnieśli druzgocące zwycięstwo pod Chmielnikiem i wkroczyli do Krakowa. Co prawda dwa dni później książę Mieszko Otyły rozbił wrogów pod Raciborzem, ale i on musiał się wycofać przed nadciągającymi większymi siłami. Udał się wówczas do Legnicy, gdzie najpotężniejszy z polskich książąt, mający królewskie aspiracje Henryk Pobożny, zarządził koncentrację piastowskich wojsk. Wybór właśnie tej warowni był nieprzypadkowy. Z jednej strony Legnica była położona blisko zachodnich granic Polski, przez co Mongołowie mogli pustoszyć większość kraju. Jednak z drugiej – Henryk Pobożny zyskiwał więcej czasu na ściągnięcie polskiego rycerstwa, a także znajdował się blisko królestwa Czech, skąd miała nadejść obiecana przez jego szwagra, króla Wacława I pomoc. Niestety, gdy czeskie posiłki znajdowały się dzień drogi od Legnicy, a polska koncentracja jeszcze nie została zakończona, nadciągnęli Mongołowie. Henryk Pobożny zdecydował się wyjść z zamku i wydać wrogowi bitwę, do której doszło 9 kwietnia. Dysponował częścią polskiego rycerstwa, siłami templariuszy, nielicznymi ochotnikami z zachodu oraz kopaczami złota. Aby uniknąć błędów popełnionych we wcześniejszych polskich starciach z Mongołami i nie dać się wciągnąć w zasadzkę, podzielił wojska na cztery grupy, które miały być kolejno wprowadzane do boju. Plan się sprawdził i gdy pierwsza z nich zwarła się z wrogiem, uderzenie drugiej zachwiało mongolskimi szeregami. W tym kluczowym momencie Mongołowie zastosowali dywersję, w wyniku której z pola bitwy, wraz ze swoimi siłami, uszedł niedawny zwycięzca spod Raciborza, Mieszko Otyły. To zmusiło Henryka Pobożnego do osobistego poprowadzenia do boju sił trzymanych w odwodzie. Niestety o przebiegu dalszej walki zaważyło użycie przez wroga nieznanych Polakom gazów bojowych. Wywołały one popłoch wśród rycerstwa, które zaczęło uciekać. Mongołowie pojmali rannego Henryka Pobożnego, a następnie go ścięli. Pomimo zwycięstwa nie zdołali jednak zdobyć Legnicy i po ograbieniu jej okolic ruszyli przez Morawy na Węgry.

15 IV 1886

W Krakowie przyszedł na świat jeden z najbardziej utalentowanych teoretyków wojskowych, gen. Tadeusz Kutrzeba. We wrześniu 1939 r. poprowadził Wojsko Polskie do największej i najbardziej śmiałej bitwy całej kampanii.

Gen. Kutrzeba, jako syn oficera armii austro-węgierskiej, osobiście również pokonywał szczeble kariery wojskowej, kończąc kolejne austriackie szkoły i uczelnie. W trakcie I wojny światowej służył cesarzowi. W listopadzie 1918 r. swoje talenty ofiarował odradzającej się polskiej armii, by niebawem wziąć udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Za ówczesną służbę został odznaczony orderem Virtuti Militari. W okresie międzywojennym piastował rozmaite funkcje, realizując się z dużym powodzeniem jako sztabowiec, teoretyk, wychowawca kolejnych pokoleń oficerów, w tym przez 10 lat jako komendant Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie. Publikował opracowania historyczne, a także reprezentował Polskę za granicą. Choć wcześniej nie dowodził jednostkami w polu, to w przededniu II wojny światowej powierzono mu dowodzenie Armią „Poznań". W trakcie kampanii obronnej dysponował znacznymi siłami, które w pierwszych dniach walki nie zostały rozbite, a wróg praktycznie zapomniał o ich istnieniu. Gen. Kutrzeba, wykorzystując to, wsparty wojskami Armii „Pomorze" zaatakował Niemców w rejonie dorzecza Bzury. Wspominając tę wielką bitwę, pisał: „Przechodząc koło grobów żołnierskich nad Bzurą, niech przyszli nasi dowódcy sprawiedliwie wspomną, że leżą tu jedni z tych, którzy starali się wykonać niewykonalny w 1939 roku obowiązek: obronę Polski". W dalszym toku walk przebił się do Warszawy, by włączyć się w jej obronę, a następnie 28 września podpisać dokument kapitulacji stolicy Polski.

Opracował Michał Komuda

FOT. WIKIPEDIA x3, NAC x2, BIBLIOTEKA NARODOWA x2, MUZEUM HISTORYCZNE W BIELSKU-BIAŁEJ

eprasa.pl 914682253b

PRZYWRACANIE PAMIĘCI O MIESZKAŃCACH KRESÓW WSCHODNICH

WAŻNE MIEJSCE W ZASOBIE ARCHIWUM GŁÓWNEGO AKT DAWNYCH ZAJMUJĄ KSIĘGI I AKTA METRYKALNE MIESZKAŃCÓW BYŁYCH KRESÓW WSCHODNICH, KTÓRE NIEZBYT POPRAWNIE SĄ NAZYWANE AKTAMI ZABUŻAŃSKIMI

JACEK KROCHMAL

Materiały te powstawały od schyłku XVI w. do 1945 r. na tych terytoriach dawnej Rzeczypospolitej, które w wyniku następstw II wojny światowej zostały włączone do Związku Sowieckiego. Akta metrykalne z Kresów Wschodnich zostały przemieszczone do Polski wraz z tamtejszą ludnością w ramach akcji repatriacyjnej przeprowadzonej w latach 1945–1948, a później także podczas rewindykacji archiwaliów z lat 1957–1964. Miejscem ich przechowywania jest AGAD, a dla tych akt, dla których nie upłynął jeszcze okres karencji w udostępnianiu, także Urząd Stanu Cywilnego w Warszawie. Wspomniana karencja wynika z ochrony danych osobowych, dlatego nie udostępnia się ksiąg urodzeń przez 100 lat od chwili ich zamknięcia, a ksiąg ślubów i zgonów przez 80 lat. Zbiór akt metrykalnych z Kresów Wschodnich liczy łącznie ok. 7 tys. ksiąg zawierających adnotacje z lat 1590–1945.

W księgach metrykalnych rejestrowano najważniejsze zdarzenia z życia ludności, a więc urodziny (chrzty), śluby, zgony, rzadziej konfirmacje i zapowiedzi przedślubne, a czasami także inne informacje. Księgi były prowadzone przez duchownych różnych wyznań wypełniających obowiązki urzędników stanu cywilnego. Dzięki temu zarejestrowano dane dotyczące ludności wszystkich narodowości i wyznań zamieszkującej omawiane tereny. Specyfika akt metrykalnych sprawia, że zawarte w nich informacje były pogrupowane w ramach wspólnot religijnych. Odnotowani zostali w nich zatem wyznawcy różnych religii (chrześcijanie i żydzi), wyznań (katolickiego, prawosławnego, konfesji protestanckich) oraz obrządków katolickich (łacińskiego, greckiego, ormiańskiego).

Rosnące zainteresowanie poznawaniem przeszłości własnych rodzin sprawia, że do AGAD napływają liczne zapytania dotyczące zapisów zawartych w aktach metrykalnych. Kierują je nie tylko obywatele polscy, lecz przychodzą też z zagranicy. Co ciekawe, wpływ na kierunek, z którego napływają kwerendy, mają bieżące wydarzenia polityczne i problemy ekonomiczne różnych krajów. Dlatego obok starających się o przyznanie Karty Polaka licznych obywateli Ukrainy i Białorusi, których przodkowie byli obywatelami II Rzeczypospolitej lub zostali wywiezieni w głąb Rosji w wyniku różnorodnych prześladowań, ostatnio coraz częściej o polskich korzeniach przypominają sobie obywatele Argentyny poszukujący informacji o swych pradziadkach, którzy wyemigrowali z ziem polskich za chlebem. Tradycyjnie już z całego świata licznie napływają także zapytania o zapisy zawarte w izraelickich księgach metrykalnych.

Aby ułatwić dostęp do akt i umożliwić samodzielne z nich korzystanie, zeskanowano i udostępniono w internecie kopie cyfrowe około miliona stron ksiąg metrykalnych. Pamiętając o tym, że na każdej z nich znajdują się wpisy dotyczące kilku lub kilkunastu osób, można stwierdzić, że udostępniono już informacje dotyczące urodzeń, ślubów i zgonów co najmniej kilku milionów dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich, a dane te będą sukcesywnie uzupełniane wraz z upływem kolejnych okresów karencji w dostępie do tych akt. Szczegółowe informacje o zbiorach metrykalnych, sposobie korzystania z nich oraz bezpośredni dostęp do skanów znajdują się na stronie internetowej „Redite ad fontes – źródła wspólnej pamięci. Księgi metrykalne z zasobu AGAD on-line" (http://www.agad.gov.pl/inwentarze/testy.html).

ANNVS DOMINI
1604
Mensis Ianuarius
Dies
15 Baptisata est filia Sebastiani Stuzlak de Villa Sopuszyn nomen illi impositum est Agnes Compat. Petrus Bartholomeus Janowski et Anna Luzna.
18 Baptisatus est filius Valentini Zyzanik nomine Paulus Compat. Leonardus Fabre Joannes Bartholomeus et Anna de Ruda.
Februarius
Dies
1 Baptisata est filia Andreae Sablinion nomine Catherina Compat. Stanislaus Faber Lignarius et Anna Essedarii.
5 Baptisata est Dorothea Jacobi Muratoris. Compat. Sebastianus Bonifacius et Catherina filia Pauli Adlinczak.
8 Baptisatus est Valentinus Valentini Sulong de Villa Winniki. Compat. Petry Sutor et Petronella Sutorix.
10 Baptisatus est Valentinus Stanislai [illegible] Compat.

Metryka chrztów katolickiej parafii w Żółkwi z 1604 r.

Znacząca część ksiąg metrykalnych przechowywanych w AGAD powstała w parafiach rzymskokatolickiej archidiecezji lwowskiej oraz diecezji łucko-żytomierskiej i przemyskiej (z jej części obecnie znajdującej się na Ukrainie), a ponadto w pojedynczych parafiach diecezji wileńskiej i pińskiej. Najstarsza z ksiąg prowadzonych przez parafie katolickie rozpoczyna się wpisami z 1590 r. Jest nią księga metrykalna katolickiej parafii Rumno w diecezji przemyskiej. Nieco późniejsze są księgi metrykalne parafii greckokatolickich z diecezji lwowskiej, przemyskiej i stanisławowskiej, w których pierwsze wpisy pochodzą z 1728 r. Na uwagę zasługuje też księga urodzeń ormiańskiej parafii w Złoczowie z 1685 r.

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 914682253b

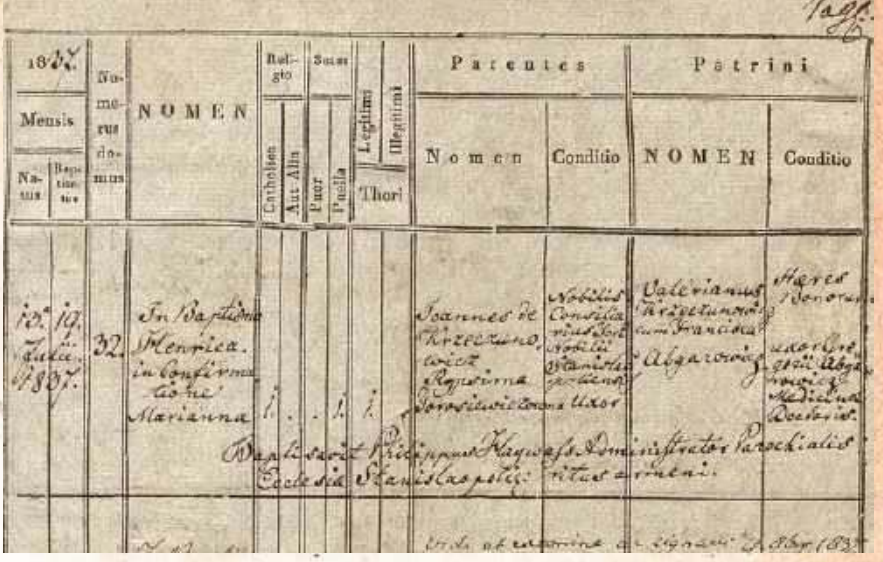

Zapisy chrztów z księgi metrykalnej parafii obrządku ormiańskiego w Stanisławowie (1837 r.)

Zapis poświadczający zgon Aleksandra Fredry w księdze metrykalnej parafii św. Mikołaja we Lwowie (1876 r.)

Wpisami z drugiej połowy XVIII w. rozpoczynają się księgi metrykalne gmin protestanckich (wyznania ewangelicko-augsburskiego, helweckiego, baptystów, menonitów i ewangelicznych chrześcijan). Nieco późniejsze są natomiast wpisy z ksiąg metrykalnych powstających w parafiach prawosławnych, spośród których najstarsze rozpoczynają się w XIX stuleciu. Ważną grupę metrykaliów, zarówno pod względem liczby, jak i zasięgu terytorialnego, stanowią zapisy wnoszone w aktach gmin wyznania mojżeszowego. Wśród nich najstarsze księgi zostały założone w 1789 r. Tak duża ich reprezentacja wynika z miejsca, jakie ludność żydowska zajmowała w strukturze demograficznej Kresów Wschodnich. Choć najstarsze wpisy metrykalne pochodzą z końca XVI stulecia, to jednak największa ich liczba, niezależnie od grupy wyznaniowej, zachowała się z XIX i pierwszej połowy XX w.

O ile pojedyncze zapisy zawarte w księgach metrykalnych są przedmiotem zainteresowania osób poszukujących swych rodzinnych korzeni czy też genealogów, o tyle same księgi metrykalne traktowane jako masowy zbiór danych są ważnym źródłem wiedzy dla historyków, w tym szczególnie zajmujących się demografią historyczną, stosunkami etnicznymi i wyznaniowymi. Ważne informacje znajdą w nich biografowie wybitnych postaci. Dla przykładu można podać, że w zbiorze akt metrykalnych przechowywanych w AGAD można odnaleźć zapisy dotyczące urodzeń bądź chrztów: Marii Piotrowskiej, znanej szerzej jako Gabriela Zapolska (1857), Leopolda Staffa (1878), Franciszka Kleeberga (1888), Brunona Schulza (1892), Mariana Heschelesa, czyli Hemara (1901), czy Pesacha Starka znanego jako Julian Stryjkowski (1905). Natomiast przeglądając lwowską księgę zgonów z 1876 r., natrafiamy na informacje o śmierci Aleksandra Fredry, Seweryna Goszczyńskiego, Augusta Bielowskiego (dyrektora Biblioteki Ossolineum) i wielu innych wybitnych osób.

Użytkownicy ksiąg metrykalnych wiedzą, że zawierają one materiał jednorodny, składający się z uszeregowanych w rubrykach tabel zawierających schematyczne zapisy dotyczących kolejnych chrztów, ślubów czy zgonów. Dlatego niespodzianką, która szczególnie może zainteresować historyków sztuki, są pojawiające się sporadycznie ilustracje zdobiące niektóre księgi metrykalne malunkami przedstawiającymi na przykład sceny biblijne nawiązujące do genezy ustanowienia sakramentów, z którymi związana jest dana księga metrykalna. Taki materiał ilustracyjny odnajdujemy w księdze metrykalnej urodzeń, ślubów i zgonów unickiej parafii Radenice w diecezji przemyskiej z lat 1732–1782.

Bogaty zbiór akt metrykalnych z Kresów Wschodnich przechowywany w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie jest zaledwie częścią bogatych zasobów źródłowych wytworzonych przez parafie i gminy wyznaniowe na tym rozległym obszarze. Ważne zbiory akt metrykalnych zostały zgromadzone także przez inne archiwa kościelne i państwowe w Polsce oraz na Ukrainie, w tym szczególnie przez Archiwum abp. Eugeniusza Baziaka w Krakowie i Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Ukrainy we Lwowie.

Ozdobna karta z księgi metrykalnej urodzeń, ślubów i zgonów unickiej parafii w Radenicach (1732–1782)

eprasa.pl 914682253b

POLSKA DYPLOMACJA – W SŁUŻBIE ŻYCIA – W CZASACH ZAGŁADY

Archiwum Akt Nowych

JESTEŚMY ŚWIADKAMI WYDOBYCIA Z OTCHŁANI ARCHIWÓW INFORMACJI, KTÓRE UJAWNIAJĄ KOLEJNE, NIEZNANE ZUPEŁNIE KARTY POLSKIEJ HISTORII RATOWANIA ŻYDÓW W OKRESIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

RAFAŁ KIERZKOWSKI

Niemalże 76 lat po zakończeniu wojny mogłoby się wydawać, że większość kluczowych elementów jej tragicznej historii została już przedstawiona światu piórami historyków. Jak się jednak okazuje, polskie archiwa i mądrze korzystający z nich badacze są w stanie wydobyć na światło dzienne sprawy, których pamięć nie powinna nigdy więcej zaginąć. W grudniu 2020 r. do mediów na całym świecie dotarły informacje o wynikach poszukiwań w polskich archiwach. Odnaleziono bowiem świadectwa prowadzonej przez polską dyplomację w okresie II wojny światowej akcji ratowania Żydów, o której pamięć przetrwała jedynie wśród ocalonych dzięki niej ludzi.

Dzięki współpracy ambasadora RP w Turcji Jakuba Kumocha, konsula generalnego w Los Angeles (USA) Jarosława Łasińskiego i Boba Metha, syna uratowanej w Stambule przez polski konsulat Żydówki, Ellen C. Meth, polska historia ratowania Żydów odkryła przed światem swój nowy rozdział.

Służba dyplomatyczna państwa, które zabito

Po dramatycznej wojnie obronnej z września i października 1939 r. tereny Polski znalazły się pod okupacją III Rzeszy i ZSRS. Okupanci bezwzględnie przystąpili do likwidacji dawnych struktur II RP. Zamknięto urzędy centralne, z dawnej administracji cywilnej pozostawiono jedynie szczeble i piony, które były jeszcze okresowo potrzebne okupantom do sprawowania kontroli na zajętym terytorium. Na podstawie zachowanej ciągłości władzy, dzięki istnieniu Rządu Polskiego na Uchodźstwie rodziło się Polskie Państwo Podziemne, jawne przestało bowiem terytorialnie istnieć. Na wysuniętych punktach rozsianych po całym świecie pozostały jednak małe przyczółki polskiej państwowości – placówki dyplomatyczne.

Znajdujące się w coraz trudniejszej sytuacji, na terenach państw, które regulować musiały przecież stosunki z III Rzeszą i ZSRS, odcięte okresowo od wsparcia, zaopatrzenia i łączności, starały się kontynuować swoją misję, reprezentując godnie Rzeczpospolitą, prowadząc sprawy urzędowe, walcząc politycznie o wsparcie dla sprawy polskiej, nie przejmując się tym, że chwilowo państwa, które reprezentują, nie ma na mapach.

Konsul generalny RP

Wśród trwających na stanowiskach polskich dyplomatów był również Wojciech Rychlewicz, konsul generalny RP w Stambule. Urodził się na Podolu w rodzinie ziemiańskiej pieczętującej się herbem Pobóg, jako syn Józefa Kazimierza, dzierżawcy dużego majątku Mielnikowce pod Niemirowem, następnie, już w niepodległej Polsce, prezesa Komisji Szacunkowej Wileńskiego Banku Ziemskiego.

Wychowany w głębokim patriotyzmie, mając 17 lat, wziął udział jako ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. W okresie pokoju po studiach na Politechnice Warszawskiej i w Wyższej Szkole Handlowej, w trakcie których aktywnie działał w Korporacji Arkonia, wstąpił do polskiej służby dyplomatycznej. Już w 1936 r. trafił na placówkę w Stambule, najpierw jako attaché kulturalny, od wiosny 1939 r. jako kierownik konsulatu. Pomimo tragicznej sytuacji Polski po ataku Niemiec i Sowietów postanowił w dalszym ciągu pełnić swój urząd, biorąc udział w słynnej akcji ratowania polskiego złota, które specjalnym konwojem, a następnie statkiem ewakuowano przez Rumunię i Turcję na Zachód jako podstawę rezerw tworzonego Rządu RP na Uchodźstwie. W kolejnych miesiącach zajął się natomiast z całą mocą ratowaniem czegoś jeszcze cenniejszego niż złoto – ludzkiego życia.

Wojciech Rychlewicz, konsul generalny RP w Stambule

FOT. AAN

Polskie paszporty i certyfikaty życia

Dopiero skrupulatne przebadanie zachowanych w zasobie Archiwum Akt Nowych dokumentów pozwala odtworzyć pełen zakres działalności Wojciecha Rychlewicza. Akcja zainicjowana przez ambasadora Jakuba Kumocha została właśnie pogłębiona o badania prowadzone z ramienia AAN. Kwerendę w materiałach Konsulatu RP w Stambule oraz

eprasa.pl 914682253b

Jedna z uratowanych rodzin – Bohmowie

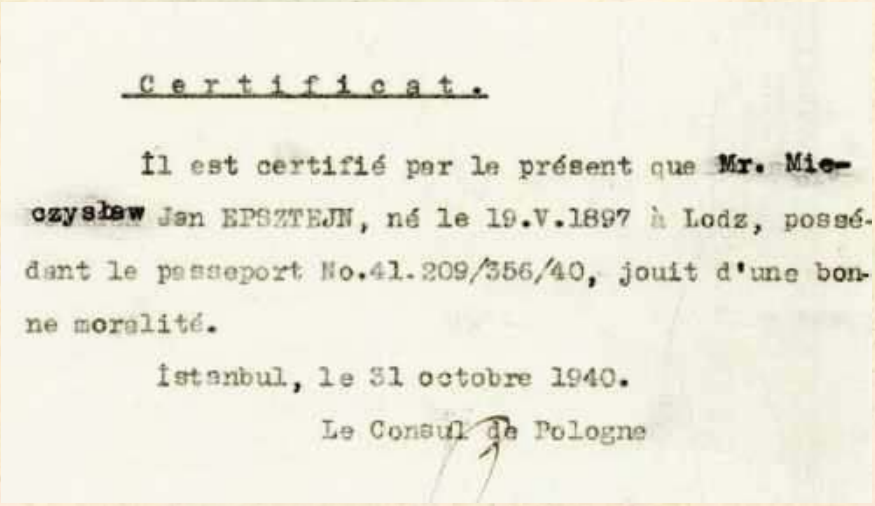

Certificat.

Il est certifié par le présent que Mr. Mieczysław Jan EPSZTEJN, né le 19.V.1897 à Lodz, possédant le passeport No.41.209/356/40, jouit d'une bonne moralité.

Istanbul, le 31 octobre 1940.

Le Consul de Pologne

Zaświadczenie o „dobrej moralności". Widoczne ślady zmiany imienia na bardziej polskie

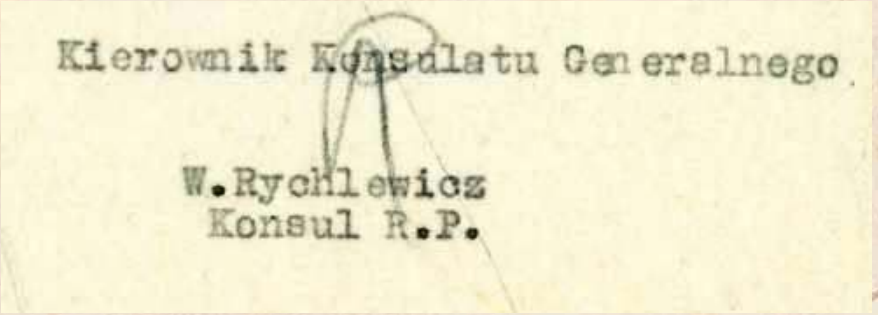

Kierownik Konsulatu Generalnego

W. Rychlewicz
Konsul R.P.

Podpis będący dla wielu ludzi oznaką ratunku

innych polskich placówek dyplomatycznych, m.in. w Nicei, Marsylii i Casablance, prowadził dr Leszek S. Dołęga-Zakrzewski, socjolog i znawca genealogii. Z wydobytych przez niego na światło dzienne materiałów wynika, że konsul generalny RP w Stambule już od jesieni 1939 r. aż do końca swojego trwania na placówce otaczał prawną i dyplomatyczną opieką wszystkich, którzy potrzebowali pomocy.

Wyjątkowo liczne rozpatrzenia dotyczą spraw narażonych ze strony niemieckiego okupanta na szczególne represje, osób pochodzenia żydowskiego, którym zależało na możliwości pozostania poza okupowanym krajem i oddalenia groźby deportacji.

Konsulat RP w Stambule podpisami Wojciecha Rychlewicza wystawiał kilka podstawowych typów dokumentów. Były to zarówno przedłużenia ważności paszportów, jak i zaświadczenia polskiego obywatelstwa, a przede wszystkim certyfikaty, które wydawane głównie Żydom bez przesady nazwać można „polskimi biletami życia". Były to przede wszystkim certyfikaty zaświadczające, że dana osoba jest polskim obywatelem wyznania rzymskokatolickiego. Zaświadczenia takie umożliwiały osobom pochodzenia żydowskiego, a najczęściej faktycznie również wyznania mojżeszowego, kompletną zmianę statusu. Omijając systemy prawne państw kolonialnych, m.in. Wielkiej Brytanii, Rychlewicz w ten sposób dawał im możliwość wyjazdu np. do Palestyny jako zwyczajnym polskim uchodźcom. Innym typem certyfikatów były zaświadczenia bezpieczeństwa stwierdzające, że wzmiankowany obywatel nie jest członkiem partii komunistycznej. Dokumenty takie były szczególnie ważne w obliczu starań części żydowskich uchodźców o wyjazd do państw Ameryki Południowej i umożliwiały starania o zgodę na pobyt w tych krajach.

Pracownicy placówki z konsulem na czele zdawali sobie w pełni sprawę, jak wiele ryzykują, wystawiając setki fałszywych zaświadczeń. Przedkładali jednak ludzkie życie ponad papier i urzędowe stemple. W swoich działaniach Wojciech Rychlewicz nie ograniczał się tylko do wystawiania certyfikatów. Zachowała się korespondencja z innymi placówkami dyplomatycznymi, w której konsul monitoruje przebieg procesu ewakuacji Żydów do Palestyny. Stara się wpłynąć na służby dyplomatyczne innych państw, m.in. okupowanej już Francji, w celu złagodzenia kursu wobec żydowskich uchodźców, oraz walczyć o możliwość wyjazdu tych, którzy nie mogą się wydostać z Rumunii. Oprócz ratowania polskich Żydów Wojciech Rychlewicz zaangażowany był w przerzut polskich żołnierzy przedzierających się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a następnie do Armii Polskiej na Wschodzie gen. Władysława Andersa, do której sam zgłosił się w 1942 r., przechodząc cały szlak bojowy Drugiego Korpusu. Po zakończeniu działań wojennych znów organizował pomoc dla polskich uchodźców, tym razem na zachodzie Europy.

Majestatyczna litera „R", będąca podpisem Rychlewicza, zachowana na dokumentach dla setek ludzkich istnień oznaczała nadzieję i ratunek, do dziś stanowiąc świadectwo najszlachetniejszych cech dyplomatycznej elity Polski tamtego okresu.

eprasa.pl 914682253b

Michael Leopold Willmann, autoportret

ZAWIERUCHA DZIEJÓW SPRAWIŁA, ŻE TO W WARSZAWIE JEST DZIŚ NAJWIĘCEJ DZIEŁ „ŚLĄSKIEGO REMBRANDTA". A DO TEGO WŁAŚNIE TRWAJĄ W STOLICY DWIE POWAŻNE WYSTAWY JEGO PRAC

ŚLĄSKI APELLES

ANDRZEJ WĄSOWSKI

Michael Leopold Willmann (1630–1706) był Niemcem i urodził się w rodzinie wyznania kalwińskiego jako czwarte z dziesięciorga dzieci dobrze sytuowanych królewieckich mieszczan. Podstawową edukację malarską otrzymał jeszcze w pracowni swego ojca Christiana Petera, którego znana spuścizna malarska jest niezwykle skromna. Około 1650 r. Michael Willmann opuścił Prusy – wówczas jeszcze nominalne lenno Królestwa Polskiego – i wyruszył w podróż do Niderlandów. Jednak brak wystarczających środków finansowych nie pozwolił mu na wstąpienie do pracowni któregoś z uznanych wówczas mistrzów epoki, by przejść pełen kurs nauki malarstwa. Na pewno przebywał w Amsterdamie, podglądając pracę takich artystów jak Rembrandt, Jacob Backer i Batholomaeus van der Helst. Swą wiedzę doskonalił przez rzetelne samokształcenie oraz wspomagał gromadzeniem zbioru ikonograficznych „prototypów", które wykorzystywał w dalszych latach pracy twórczej. Choć wyjazd do Niderlandów nie przyniósł Willmannowi profesjonalnego wykształcenia, to miał dla niego zasadnicze znaczenie – tam zapoznał się z nowoczesnymi trendami panującymi w malarstwie. Nie było mu także dane odbyć podróży do Włoch. „Starał się jednak obejrzeć wszelkie sławne arcydzieła w Polsce i w Niemczech, szczególnie wiele zaś skorzystał, oglądając cesarskie zbiory malarstwa w Pradze. Wreszcie, po całym dziesięcioleciu zagranicznych podróży, osiadł na stałe w Lubiążu [...] i stamtąd dzięki swym licznym artystycznym dziełom oraz ciągłemu i skrzętnemu dążeniu do doskonalenia się rozsławił szeroko swoje imię" – pisał w 1683 r. Joachim Sandrart w swoich żywotach malarzy. W Lubiążu artysta przeżył ponad 40 lat i zmarł, tam właśnie pozostawiając gros swej spuścizny.

Kalwin u cystersów

Bolesław I Wysoki sprowadził w 1163 r. do Lubiąża pierwszych cystersów. Od tego momentu klasztor lubiąski stanowił macierzysty dla Śląska dom tego zgromadzenia, a zarazem ważny ośrodek życia religijnego, kulturalnego i gospodarczego, promieniujący także na inne regiony. Kiedy Willmann zdecydował się zamieszkać w Lubiążu, tamtejsze opactwo wchodziło w fazę gospodarczego umocnienia i intensywnej odnowy po okresie stagnacji i rozmaitych dewastacjach okresu wojny trzydziestoletniej. To właśnie potrzeba realizacji nowego wystroju kościoła klasztornego, a także rozbudowa całego założenia klasztornego za rządów wybitnych opatów: Arnolda Freibergera (1632–1672) i Jana Reicha (1672–1691),

FOT. WOJCIECH ROGOWICZ/MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

eprasa.pl 914682253b

legły u podstaw powierzenia Willmannowi wielu zleceń malarskich i skłoniły go do ustabilizowania życia właśnie w cieniu lubiąskiego klasztoru. Wybór Lubiąża na miejsce życia i pracy okazał się właściwy oraz stał się przepustką do artystycznej nieśmiertelności mistrza, którego bracia zakonni, wkrótce po jego śmierci, nazwali całkiem przytomnie „śląskim Apellesem".

Osiedlenie się w Lubiążu (w 1660 r.) stanowiło punkt zwrotny w życiu Michaela Willmanna. Po dwóch latach, obfitujących w systematyczne prace dla tamtejszych mnichów, Michael Willmann poślubił Helenę Liškową, wówczas wdowę z 12-letnim synem Janem Kryštofem Lišką. Choć można przypuszczać, że małżeństwo było zaaranżowane przez dostojników klasztoru, to okazało się udane i trwało do śmierci malarza. Z tego związku w Lubiążu przyszły na świat trzy spośród czterech córek Willmanna oraz jego jedyny syn. W roku 1663 Willmann przeszedł na katolicyzm. Krok ten jest postrzegany z jednej strony jako wyraz woli umocnienia więzi z mecenatem klasztornym, zarazem gest, jeśli nieotwierający drogę do dalszych zleceń ze strony szeroko pojętego zleceniodawcy kościelnego, to co najmniej ułatwiający takie działania. Z drugiej strony sam Willmann dał liczne dowody, że jego konwersja była szczera. Należał do różnych bractw, m.in. do bractwa różańcowego, a dwie jego córki wstąpiły do wrocławskich zakonów: jedna do urszulanek, druga do dominikanek. Po śmierci został pochowany w krypcie klasztornej, co nie mogłoby się zdarzyć, gdyby istniały jakiekolwiek wątpliwości wobec jego postawy jako żarliwego katolika.

Rosnąca sława

Stabilizacji rodzinnej Willmanna w Lubiążu towarzyszył rozwój jego aktywności artystycznej. Napływające coraz liczniej zlecenia były wypadkową wielu czynników. Niewątpliwie talent i pracowitość mistrza, dbającego o rozgłos swego imienia, miały podstawowe znaczenie. Niemniej jednak należy zdawać sobie sprawę, że artysta trafił także na okres szczególnego rozwoju mecenatu malarstwa religijnego, a prace realizowane dla zleceniodawców świeckich stanowiły margines jego działalności.

Śląsk w czasach Willmanna był krainą w większości zamieszkaną przez ewangelików. Po wojnie trzydziestoletniej w wielu krajach monarchii Habsburgów, w tym na Śląsku, duchowieństwo katolickie podejmowało energiczne działania misyjne. W tym kontekście duchowa działalność śląskich cystersów, ukierunkowana na zdecydowaną ekspansję, dała Willmannowi szansę na dużą produkcję malarską, sieć kontaktów klasztornych zaś możliwość dalszego rozszerzenia działalności artystycznej. W konsekwencji z biegiem lat Willmann wykonywał prace nie tylko dla Lubiąża, lecz także malował obrazy na potrzeby modernizacji (barokizacji) założeń cysterskich w Krzeszowie, Henrykowie, Trzebnicy i Kamieńcu Ząbkowickim. Wreszcie jego sława sięgnęła również poza granice Śląska, czego skutkiem były zlecenia płynące także z terenu Czech i Moraw.

Michael Leopold Willmann, Orfeusz grający na harfie

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Willmann dorobił się w Lubiążu domu położonego na dużej posesji, w którym miał nowoczesną pracownię. Pomieszczenie pracowni było salą wyposażoną w sześć wysokich, zamkniętych łukiem okien, które parami wychodziły na wschód, północ i zachód, dając optymalne oświetlenie. Od strony zachodniej znajdował się wyżej jeszcze dodatkowy otwór okienny, tym razem wielki i okrągły, pozwalający na uzyskanie górnego światła. Niestety dom ten uległ zniszczeniu w połowie XIX w. w wyniku pożaru, a jako że był konstrukcji szachulcowej, to nie został odbudowany. Podczas realizacji obrazów większych rozmiarów mistrz korzystał z bardziej przestronnej pracowni, która znajdowała się prawdopodobnie w przystosowanym do takich potrzeb budynku gospodarczym.

Rodzinny warsztat

Liczba i skala przyjmowanych zleceń wymusiły na Willmannie konieczność organizacji odpowiedniego warsztatu malarskiego. W warsztacie tym większość obsady stanowili bliscy członkowie jego rodziny, co czyniło go de facto firmą rodzinną. Współpracownikami mistrza z biegiem lat byli wyuczeni przez niego: pasierb Jan Kryštof Liška (ok. 1650–1712), córka Anna Elisabeth (1665 – do chwili wstąpienia do klasztoru ok. 1685 r.) oraz młodo zmarły syn i imiennik Michael Leopold młodszy (1669–1706). Inni współpracownicy byli angażowani jedynie doraźnie. Właśnie rodzinny charakter pracowni spowodował, że nie upadła ona po śmierci swego założyciela, lecz była dalej prowadzona przez jego utalentowanych kontynuatorów. Najpierw przez wspomnianego Jana Kryštofa Liškę, który powrócił do Lubiąża na wezwanie matki po kilkunastu latach samodzielnej praktyki malarskiej głównie dla zleceniodawców z terenu Czech. Następnie wnuka Willmanna – Georga Wilhelma Neunhertza, wykształconego w warsztacie dziadka i wuja. Dopiero wyprowadzka tego ostatniego w 1723 r. do Pragi spowodowała likwidację lubiąskiej pracowni.

Komercyjny sukces warsztatu przyniósł Willmannowi więcej niż bezpieczeństwo finansowe. Sława osiągnięta już za życia przekładała się bowiem »

eprasa.pl 914682253b

» na wysokość jego zarobków, pracowitość zaś (do dziś zachowało się blisko 300 jego własnoręcznych prac, prawie drugie tyle zaś pozostaje zaginionych lub nierozpoznanych) na wielkość dochodów. Czerpane ze swej działalności zyski Willmann inwestował w kolejne nieruchomości, część kapitału lokował na procent w banku ziemskim, dorabiając się ostatecznie sporego majątku. Jak wskazuje Andrzej Kozieł, monografista artysty – Willmann był jednym z najlepiej zarabiających malarzy Europy Środkowej.

Pędzel wyjątkowy

Michael Willmann był artystą wszechstronnym. Jego dorobek obejmuje zarówno prace olejne o niewielkich formach, jak i malarstwo ołtarzowe, monumentalne freski oraz dzieła rysunkowe i graficzne. Warto zaznaczyć, że to ostatnie medium służyło mu m.in. do rozpowszechniania własnych osiągnięć poprzez reprodukcję co ważniejszych obrazów. Wiemy, że artysta wykonywał także marmoryzacje elementów ołtarzy. W swej twórczości posługiwał się w sposób mistrzowski szkicową manierą malarską, która nie należała do łatwych technik. Z dużym wyczuciem prowadził pędzel oraz dobierał kolory. Miał doskonałą intuicję kompozycyjną, trafnie kreując rozwiązania adekwatne do tematu wykonywanej pracy przy umiejętnym wykorzystaniu dostępnych mu wzorów. Zdarzające mu się błędy anatomiczne czy perspektywiczne – wynikające z braku gruntownego wykształcenia malarskiego – brawurowo maskował zabiegami wykorzystującymi w pełni wspomniane wyżej umiejętności. Przyjmowane konwencje malarskie stosował z pełną świadomością, czego dobitnym przykładem są obrazy z lubiąskiego cyklu „Męczeństwa Apostołów", które powstały w kilku fazach, w okresie kilkudziesięciu lat, a mimo tego cechuje je jednorodność stylistyczna.

Mimo konieczności dostosowania się do ikonograficznych wymogów kontrreformacyjnego modelu sztuki, Willmann był także mistrzem pejzażu, który starał się eksponować w swych obrazach i niejednokrotnie nadać mu niemal autonomiczny sens. Wymownym przykładem takiego malarstwa jest przeznaczony do letniego refektarza lubiąskiego pałacu opata cykl 11 pejzaży z biblijnym sztafażem, ukazującym wybrane wydarzenia ze Starego Testamentu, przedstawione w formie małych scen osadzonych w monumentalnych widokach przyrody (niestety większość obrazów z tego cyklu pozostaje zaginiona od czasu zakończenia II wojny światowej).

Losy dzieł mistrza

Wyjątkowym i szczęśliwie zachowanym w pierwotnej postaci dziełem jest malarski wystrój kościoła pw. św. Józefa w Krzeszowie. Architektura świątyni została podporządkowana dekoracji malarskiej, która pokrywa niemalże wszystkie ściany i sklepienia, tworząc jednorodną i iście monumentalną całość. Dekoracje te zostały wykonane przez Willmanna w technice fresku, we współpracy z pasierbem i synem. Program treściowy całości został opracowany przez opata krzeszowskiego Bernharda Rosę – wielkiego propagatora kultu św. Józefa oraz autora oryginalnej koncepcji teologicznej Trójcy Ziemskiej (Jezus, Maria i Józef), jako ziemskiego odpowiednika Trójcy Świętej. Malowidła sklepienne przedstawiają „genealogię" Chrystusa, tematem malowidła w absydzie jest pokłon trzech króli, ściany boczne obrazują zaś dwa cykle: Siedmiu Radości św. Józefa i Siedmiu Boleści św. Józefa. Atrakcyjność barwna fresków, ich epicki rozmach i narracyjny realizm pozwalają uznać je za jedno z czołowych dzieł artysty.

Niestety lubiąska spuścizna Michaela Willmanna nie miała tyle szczęścia ile prace stworzone dla Krzeszowa. Choć w chwili śmierci mistrza w kościele i klasztorze w Lubiążu znajdowało się wiele jego dzieł, to dziś już tak nie jest. Prace Willmanna stworzone dla Lubiąża uległy w większości rozproszeniu, a także częściowemu zniszczeniu. W 1810 r. władze pruskie przeprowadziły sekularyzację klasztorów. W ramach tej akcji doszło do kasaty klasztoru lubiąskiego. Wiele obrazów Willmanna opuściło klasztor i kościół klasztorny, przeważnie trafiając do instytucji muzealnych prowincji śląskiej. Dzięki protestom lokalnego duchowieństwa i społeczności na miejscu pozostała część obrazów znajdujących się w dawnym kościele klasztornym, m.in. monumentalny cykl „Męczeństwa Apostołów", grupa Ukrzyżowania Chrystusa oraz obrazy ołtarzowe.

Kolejne uszczuplenie lubiąskiego zasobu prac artysty było wynikiem II wojny światowej. Większość znajdujących się na miejscu dzieł została zabezpieczona przez władze niemieckie i ukryta na terenie Śląska. Choć po wojnie prace te zostały odnalezione przez polskie władze świeckie, nie powróciły do kościoła. W lipcu 1952 r. zapadła decyzja obywatela ministra kultury i sztuki o przekazaniu największej partii obrazów z Lubiąża Kurii Metropolitalnej Warszawskiej i do dziś obiekty te znajdują się w różnych kościołach Warszawy i Mazowsza. Choć Lubiąż nie został bezpośrednio dotknięty działaniami wojennymi, to stacjonujący w zespole poklasztornym od 1945 r. sowieccy żołnierze zniszczyli większość wyposażenia świątyni pozostałego na miejscu. Szczęśliwie ocalały freski Willmanna w letnim refektarzu pałacu opackiego oraz w kaplicach św. Bernarda i Książęcej. Te ostatnie stanowią gloryfikację dynastii piastowskiej, co nie jest przypadkowe, bo Lubiąż był przecież jedną z głównych nekropolii Piastów śląskich. Pozostaje żywić nadzieję, że ambitny i możliwy do realizacji pomysł akademickich środowisk Wrocławia odtworzenia wystroju świątyni klasztornej oraz ulokowania w Lubiążu muzeum Michaela Willmanna zostanie w przyszłości zrealizowany.

* * *

Tymczasem warto obejrzeć w Warszawie – gdy już będzie to możliwe – dwie odsłony wystawy willmannowskiej. Jedna prezentuje 18 wielkich płócien ze słynnego cyklu „Męczeństwa apostołów" (Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego, Galeria Porczyńskich), druga zaś 30 mniejszych obrazów oraz liczne rysunki i grafiki (Muzeum Archidiecezji Warszawskiej).

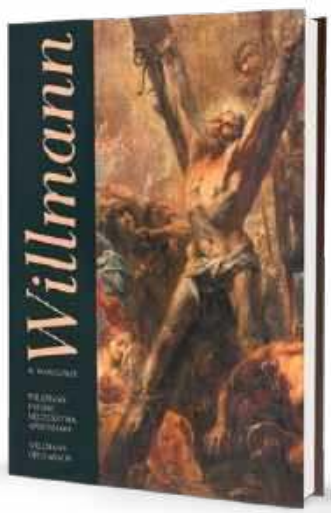

eprasa.pl 914682253b

DUCH I POLITYKA

„Prawdziwych mężczyzn nam potrzeba”

GRZEGORZ GÓRNY

Funkcjonowanie systemu demokracji szlacheckiej, jaka panowała w I Rzeczypospolitej, na dłuższą metę było możliwe tylko w oparciu o ludzi prawych, kierujących się cnotami republikańskimi i dobrem państwa. Aż dziw bierze, że tego typu ustrój mógł przetrwać tak długo bez zgrzytów. Działo się tak dzięki zasadzie koncyliacyjności, będącej podstawą polskiej kultury politycznej.

Wiek XVII nie sprzyjał jednak zawieraniu kompromisów. Czasy były burzliwe. Dawne ideały zanikły. Coś psuło się w sprawnie działającym dotąd mechanizmie Rzeczypospolitej.

Jedną z osób, które dostrzegały, że dzieje się coś złego, był o. Stanisław Papczyński, założyciel zgromadzenia marianów, spowiednik m.in. abp. Antonia Pignatelliego (przyszłego papieża Innocentego XII) i króla Jana III Sobieskiego. Mając zaledwie 33 lata, wydał swój podręcznik retoryki, który przyniósł mu sławę jednego z największych polskich mówców tamtego stulecia. Wychowały się na nim pokolenia humanistów aż do XIX w.

Celem dzieła było jednak nie tylko „kształcenie adeptów kunsztownego przemawiania”, lecz także wychowywanie młodzieży przez ukazywanie cnót chrześcijańskich i powinności obywatelskich. Autor zawarł tam również przemyślenia na temat ówczesnej kondycji Rzeczypospolitej. Utyskiwał na bolączki państwa wynikające zwłaszcza z egoizmu stanowego magnaterii. Szczególnie krytykował zasadę liberum veto, którą uważał za wyrodzenie się daru wolności w swawolę.

Pisał: „I oto za zgodą senatu, bez sprzeciwu szlachty, ktoś jeden wprawdzie wolny wyrywa się ze swoim »veto«, powtórzonym dwa czy trzy razy, i natychmiast zrywa obrady, tak że choć wcześniej uchwalono coś najbardziej korzystnego, z powodu sprzeciwu tego jednego niegodziwca, najczęściej wroga ojczyzny, uchwała zostaje natychmiast odrzucona. Czyż zatem, Polsko, mogę cię nazwać wolną, kiedy jeden człowiek, przemawiając długo i bełkotliwie, może, kiedy tylko zechce, wymóc coś na zebranych? [...] Możesz sobie rościć pretensje do wolności, ale świat [...] nazwie cię raczej niewolnicą, istotą rozzuchwaloną, co jest jeszcze bardziej ohydne”.

Niektóre fragmenty zawarte w tej księdze wzbudzały takie kontrowersje, że uruchomiono cenzurę i czwarte wydanie dzieła w 1669 r. w Krakowie pozbawione zostało zapisów piętnujących niechrześcijańską postawę magnaterii.

Papczyński stawiał przed oczami swych współczesnych wzorzec. Pisał, że rdzeniem polskiej tożsamości narodowej pozostaje umiłowanie wolności: „Nie ma nic wspanialszego pod słońcem, nic wznioślejszego, nic nad polską wolność”. Musi być ona jednak wypełniona miłością: „Człowiek bez miłości jest cieniem bez słońca, ciałem bez duszy, po prostu niczym, [...] miłość jest duszą, światłem, życiem zakonów oraz każdej ludzkiej społeczności”.

Miłość oznaczała dla niego zdolność do poświęceń: „Najchwalebniejszą rzeczą umysłu szlachetnego jest poświęcenie sprawom publicznym swego majątku i życia. [...] Wszyscy, którzy marzą o zapewnieniu sobie nieśmiertelności, powinni przejąć się tą głęboką i szlachetną myślą, że przez Rzeczpospolitą należy rozumieć coś, czemu warto całkowicie się oddać i poświęcić. [...] Na pomniki wiecznej pamięci [...] zasługują sobie ci, którzy dla ocalenia ojczyzny oddają swe życie; im też słusznie należy się niewiędnący wieniec chwały. [...] Narodziliśmy się nie dla samych siebie, lecz dla ojczyzny. Nie jest obywatelem państwa ten, kto żyje tylko dla siebie, chociaż z trudem da się powiedzieć o kimś, że żyje dla siebie, jeśli nie żyje dla nikogo innego”.

Dlatego wołał: „Prawdziwych mężczyzn nam potrzeba, a nie nicponi, nie mętów społecznych. Dajcie ojczyźnie Polaków, nie pachołków, to jest dajcie ludzi silnych, odważnych, zdolnych do wielkich wysiłków, zaprawionych do walki, przygotowanych do brania udziału w naradach”.

Problem Rzeczypospolitej w XVII w. polegał na tym, że takich głosów jak o. Papczyńskiego i podobnych mu kaznodziejów co prawda słuchano, ale nie wyciągano z nich wniosków. Byli kolejnymi prorokami, których ostrzeżenia ignorowano, niestety na zgubę Rzeczypospolitej. ■

O. Stanisław Papczyński, spowiednik m.in. króla Jana III Sobieskiego, mając zaledwie 33 lata, wydał swój podręcznik retoryki, który przyniósł mu sławę jednego z największych polskich mówców

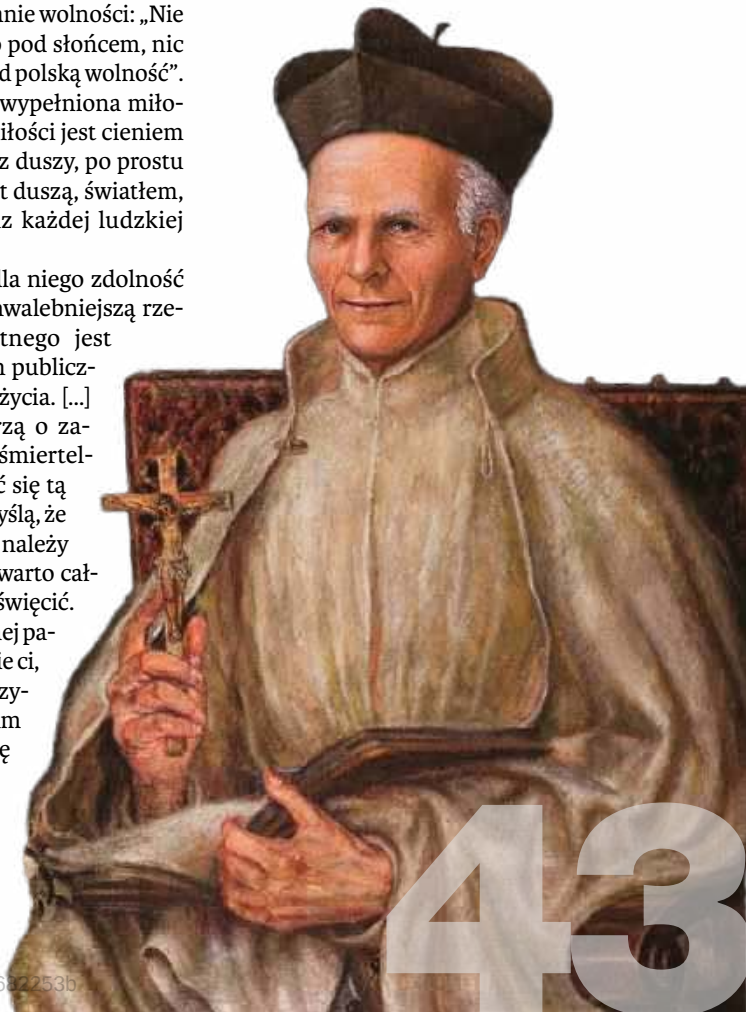

FOT. ZGROMADZENIE KSIĘŻY MARIANÓW NIEPOKALANEGO POCZĘCIA NMP

eprasa.pl 914632253b

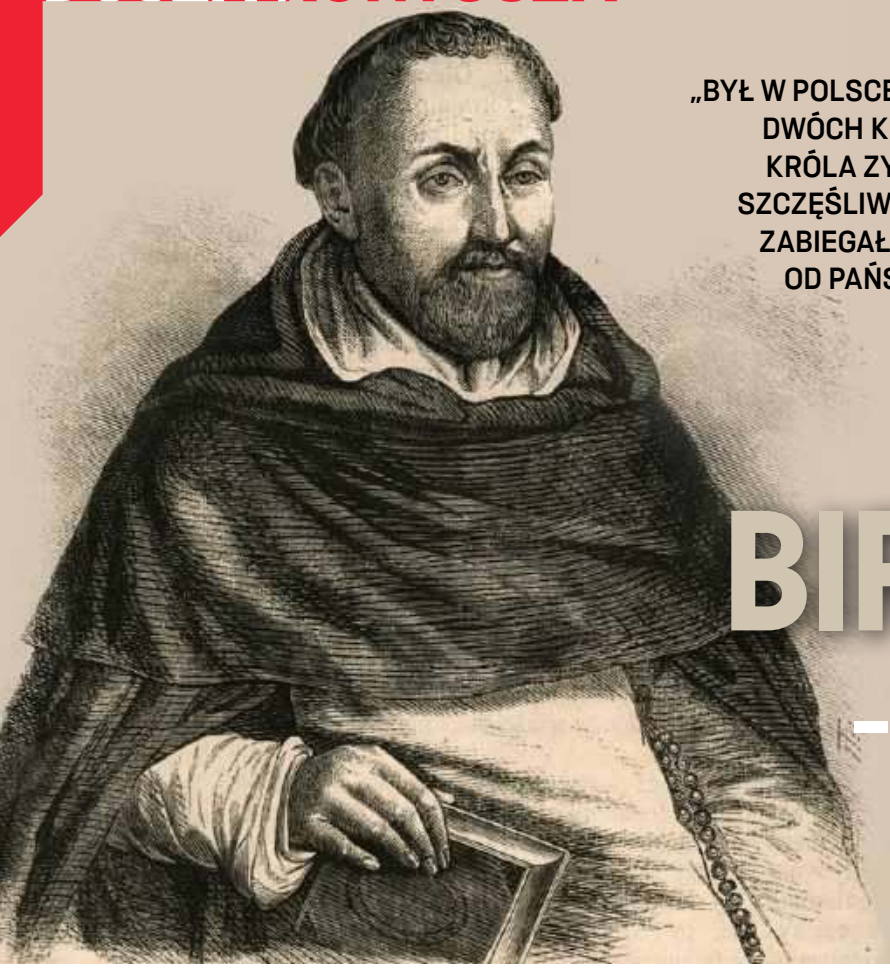

„BYŁ W POLSCE OJCIEC FABIAN BIRKOWSKI NA DWORZE DWÓCH KRÓLÓW NAJJAŚNIEJSZYCH, ŚW. PAMIĘCI KRÓLA ZYGMUNTA III I WŁADYSŁAWA IV, DZIŚ NAM SZCZĘŚLIWIE PANUJĄCEGO, [...] U NIKOGO ŁASKI NIE ZABIEGAŁ, A U WSZYSTKICH JĄ MIAŁ, POCZĄWSZY OD PAŃSTWA AŻ DO NAJLICHSZEGO PACHOLIKA"

FABIAN BIRKOWSKI – Z UNIWERSYTETU NA AMBONĘ I POLE BITWY

HENRYK LITWIN

Tak wspominał monarszego kaznodzieję o. Adam Makowski w czasie kazania pogrzebowego w Krakowie w roku 1636. W życiorysie zakonnika, który dostąpił zaszczytu opieki nad życiem duchowym królewicza, a potem króla Władysława, za najważniejsze osiągnięcie uznał dobrą reputację zaskarbioną sobie zarówno wśród wielkich, jak i „maluczkich". Niewątpliwie był to trafny osąd.

Z mieszczańskiego domu do świata nauki

Fabian Birkowski wywodził się z lwowskiej rodziny mieszczańskiej. Jego ojciec i jeden ze stryjów byli kuśnierzami. Drugi stryj był złotnikiem. Wysoki status majątkowy rodziny zapewniał – jak się zdaje – pewną swobodę w zakresie wyboru drogi życiowej. Zarówno Fabian, jak i jego młodszy o pięć lat brat Szymon poszli drogą zdobywania wykształcenia i przejawiali zainteresowanie karierą naukową. Fabian – jak ustalili po długich dyskusjach biografowie – urodził się w roku 1569. Początki edukacji odebrał w lwowskiej szkole katedralnej, gdzie zapewne nabrał upodobań do literatury klasycznej. W 1585 r. dokonał wpisu na Uniwersytet Krakowski, gdzie wytrwale zdobywał kolejne stopnie naukowe. Bakałarzem wydziału atrium został w 1587 r., licencjat z filozofii uzyskał dwa lata później, w 1594 złożył egzamin na magistra atrium i doktora filozofii. Jednocześnie już od 1585 r. pracował jako wykładowca uniwersytecki, od 1594 z tytułem profesora uczelni. Był znany jako znawca literatury greckiej, hebrajskiej i łacińskiej i miał reputację wybitnego filologa w zakresie tych trzech języków.

Kariera naukowa i akademicka Birkowskiego rozwijała się w latach 90. XVI w. znakomicie, a pozytywne opinie o nim docierały z pewnością do wielu europejskich uniwersytetów, w tym właśnie czasie doszło bowiem do nawiązania kontaktu i podjęcia korespondencji z Justusem Lipsiusem, profesorem Uniwersytetu w Lowanium, największym autorytetem intelektualnym Europy na przełomie XVI i XVII w. Sławę Lipsiusa i siłę oddziaływania jego neostoickiej filozofii na życie umysłowe kontynentu w tej epoce porównać można jedynie z pozycją Erazma z Rotterdamu 80–90 lat wcześniej. Birkowski był jednym z wielu polskich pupilów lowańskiego profesora, który opiekował się przybywającymi na jego uniwersytet studentami z Rzeczypospolitej i utrzymywał listowne kontakty z wieloma osobistościami polskiego świata nauki, sztuki i polityki. Jak pisał do jednego ze swych niemieckich kolegów uniwersyteckich: „Dziwna to rzecz, przedziwna, że Sarmacja tak dziś jest wykształcona, iż obie Hesperie [czyli Italię i Hiszpanię] przerosła". Jednemu z włoskich przyjaciół przebywającemu właśnie w Polsce tłumaczył: „Przebywasz między ludźmi, którzy niegdyś rodzili się jako barbarzyńcy, a dzisiaj my jesteśmy przy nich barbarzyńcami". Birkowski był jedną z tych osób, których wykształcenie

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 914682253b

Warszawa, 1619 r.

BIRKOWSKI BYŁ JEDNĄ Z TYCH OSÓB, KTÓRYCH WYKSZTAŁCENIE I ZDOLNOŚCI SKŁADAŁY SIĘ NA POCHLEBNY SĄD LIPSIUSA O RZECZYPOSPOLITEJ

i zdolności składały się na ten pochlebny sąd Lipsiusa o Rzeczypospolitej. Nic zresztą dziwnego, jego listy do lowańskiego myśliciela były bowiem istnymi traktatami naukowymi z zakresu filologii i egzegetyki greckiej. Ojciec Fabian odwdzięczał się za te entuzjastyczne opinie prawdziwym uwielbieniem, którego wyrazem było greckojęzyczne epitafium opublikowane przezeń w poświęconej pamięci zmarłego w 1606 r. Lipsjusza księdze pamiątkowej wydanej w Antwerpii w 1607 r.

„Drugich naprawił i sam się nie zepsował"

Świetnie rozwijająca się kariera akademicka Birkowskiego zakończyła się w 1597 r., kiedy postanowił wstąpić do zakonu dominikanów. Część biografów wiąże tę decyzję z rozczarowaniami wynikającymi z niezrealizowanych planów objęcia konkretnych nauczycielskich stanowisk. Wydaje się jednak wątpliwe, by w przypadku osoby tak wielkiej pobożności jak Birkowski można było łączyć powołanie zakonne z zawodem życiowym. Tym bardziej że efektem wstąpienia do zakonu była kontynuacja studiów związana z wyjazdem za granicę. Nasze informacje w tej mierze nie są całkiem precyzyjne. Wiemy, że Birkowski wyjechał do Włoch w 1598 r., w 1602 ukończył studia teologiczne w dominikańskim Studium Generalnym w Bolonii. Czy przez cały ten czas przebywał we wspomnianej uczelni Patrum Praedicatorum – nie wiadomo. Do kraju i krakowskiego klasztoru dominikanów wrócił w 1602 r. i poświęcił się aktywności zakonnej, pełniąc kilkakrotnie funkcję magistra nowicjatu i sekretarza konsylium konwentu krakowskiego, a na początku drugiej dekady XVII w. także kaznodziei w krakowskim kościele Mariackim.

Kariera naukowa syna lwowskiego mieszczanina, tytuł doktorski, święcenia duchowne, „sukienka zakonna" i sława wybitnego homiletyka sprawiły, że Birkowski dostąpił rzeczywistej nobilitacji i nigdy nie wypominano mu „plebejskiego" pochodzenia. W 1614 r. został powołany przez Zygmunta III do pełnienia funkcji dworskiego kaznodziei i opiekuna duchowego królewicza Władysława. Przeniósł się do Warszawy. Pracował tu przez kolejne 20 lat i zasłynął jako złotousty mówca i wzór przykładnego życia. Cytowany już wcześniej Makowski tak spointował ten okres życia Birkowskiego: „Cud i to był, że i drugich naprawił, i sam się nie zepsował. A gdzie? U dworu, gdzie go nikt nie doglądał, a okazyi do skazy wiele miał".

W tym czasie powstała większość jego zachowanego do naszych czasów dorobku postyllograficznego. Możemy dziś stwierdzić, że Birkowski był twórcą iście barokowym. Oddziaływał na słuchacza i czytelnika wyrazistymi obrazami, odwoływał się do jego wyobraźni i pamięci, operował kontrastem i nie stronił od dosadności. Jednocześnie nigdy nie tracił z pola widzenia głównego przesłania wiary ani nie gubił się w bogatej ornamentyce, która konsekwentnie służyła unaocznieniu głębszych treści. Wśród jego wydanych drukiem utworów przeważają kazania pogrzebowe lub pośmiertne poświęcone wybitnym politykom i dowódcom wojskowym. Poza pochwałą pobożności zawierają one wiele treści edukacyjno-politycznych odwołujących się do rozważań o odpowiedzialności obywatelskiej. Warto zwrócić uwagę na jedną z najciekawszych »

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 914682253b

konkluzji Birkowskiego w tym zakresie, pochodzącą z kazania „Na pogrzebie Bartłomieja Nowodworskiego, kawalera maltańskiego". Za najważniejsze z dokonań słynnego żołnierza, bohatera wojen moskiewskich, uznał ojciec Fabian hojną fundację na rzecz scholarów krakowskich. Uważał bowiem, „iż nie masz żadnego okrutniejszego nieprzyjaciela Rzeczypospolitej, jako jest głupstwo i to grubijaństwo, którego szkoła nie dożrzała, akademia nie otrzęsła".

„Prawdę mówił zarazem wodzowi jak ciurze"

Posługa kaznodziejska przy królewiczu Władysławie okazała się w praktyce powiązana z pełnieniem obowiązków kapelana wojskowego w czasie wypraw wojennych, w których brał udział najstarszy z synów Zygmunta III. Birkowski towarzyszył Władysławowi w wyprawie 1617–1618 r., której kulminacją było zimowe oblężenie Moskwy, oraz w czasie obrony Chocimia przez Turków w 1621 r. Dzielenie z żołnierzami ryzyka i uciążliwości życia obozowego uwiarygodniało jego duszpasterską posługę. Jak pisała jego biografka z okresu międzywojennego Maria Dynowska: „Umysły niewolił, serca hołdował, prawdę mówiąc zarazem wodzowi jak ciurze". Piętnował żołnierskie przywary, wśród których szczególnie zwalczał skłonność do rabunku i stosowania przemocy wobec ludności cywilnej, ale jednocześnie uwznioślał ofiarę rycerskiej waleczności i męstwa, przypisując im cechy heroiczne i wskazując, że mogą być drogą do świętości. Sam również potrafił dać świadectwo osobistej odwagi, jak choćby w czasie wyprawy moskiewskiej, kiedy na tle rywalizacji o przejęcie dowodzenia doszło do konfliktu między Marcinem Kazanowskim a Konstantym Plichtą. W kulminacyjnym momencie sporu stanęły naprzeciw siebie oddziały obu wodzów z bronią gotową do strzału. „Już zwarli się ze sobą, aż kapłany, mianowicie kaznodzieja królewiców, ksiądz Fabian, skoczył między nie z krucyfiksem, wołając, aby pamiętali na Pana Boga, na dostojeństwo i zdrowie królewica, na sławę narodu swego, toż ledwo nieledwo chorągwie zatrzymali" – opisywał Jerzy Ossoliński w swoich pamiętnikach. Odwaga Birkowskiego uchroniła wojsko przed śmiertelnie niebezpiecznym tumultem i wyprawa na Moskwę mogła zostać zrealizowana. Nie osiągnęła co prawda głównego celu, jakim było odzyskanie przez Władysława korony carów, ale doprowadziła do korzystnego dla Rzeczypospolitej rozejmu w Deulinie (Dywilinie, 1619).

SAM RÓWNIEŻ POTRAFIŁ DAĆ ŚWIADECTWO OSOBISTEJ ODWAGI, JAK CHOĆBY W CZASIE WYPRAWY MOSKIEWSKIEJ, KIEDY NA TLE RYWALIZACJI O PRZEJĘCIE DOWODZENIA DOSZŁO DO KONFLIKTU MIĘDZY MARCINEM KAZANOWSKIM A KONSTANTYM PLICHTĄ

Pod szczególną opieką niebios

Po obronie Chocimia Birkowski wrócił na dwór i nadal pełnił funkcję kaznodziei królewicza. W 1624 r. znowu znalazł się jednak na swoistym polu bitwy i stawił czoła groźnemu przeciwnikowi – zarazie. W tym czasie zaatakowała kraj, a w szczególności Warszawę, epidemia dżumy. Ojciec Fabian przeniósł się wówczas do klasztoru dominikanów przy kościele św. Jacka na ul. Freta i przez kilka miesięcy zajmował się posługą duszpasterską wśród dotkniętych chorobą warszawian, nie szczędząc pociechy chorym i umierającym. Podobnie działali wszyscy jego bracia z klasztoru na Freta. Birkowski okazał się jedynym lub jednym z niewielu dominikanów, którzy przeżyli zarazę. Uznano to powszechnie za przejaw szczególnej łaski i opieki niebios, a autorytet moralny Władysławowego kaznodziei umocnił się. Funkcję tę Birkowski pełnił jeszcze przez 10 kolejnych lat, a od 1632 r. już jako homiletyk króla. W 1634 r. jako 65-latek poprosił o uwolnienie od obowiązków przy dworze, na co Władysław wyraził zgodę.

Ojciec Fabian wrócił wówczas do Krakowa i osiadł w tamtejszym klasztorze dominikanów. We wrześniu 1634 r. został obrany na jego przeora. Powierzono mu także obowiązki kaznodziejskie w kościele Mariackim. Jednak na skutek uciążliwej choroby zdecydował się zrezygnować z obu tych funkcji. Wiosną 1635 r. zamknął się w klasztornym zaciszu i podjął przygotowania do pobożnej śmierci. Jego postawa w ostatnich miesiącach życia była niejako kontynuacją kaznodziejskiej misji realizowanej poprzez własny przykład stawienia czoła cierpieniu i gorliwości w modlitwie. Jak wiemy z pogrzebowego kazania o. Adama Makowskiego, to świadectwo zostało zrozumiane przez współczesnych i pozostało w ich pamięci. Legatem Fabiana Birkowskiego dla społeczności Rzeczypospolitej było też blisko 20 wydanych drukiem kazań i ich zbiorów. Znacznie więcej pozostało rękopisach, z których część przetrwała nawet do naszych czasów. Inaczej potoczyły się losy działalności naukowej o. Fabiana, której również poświęcał niemało czasu. Edycja przekładu z greki listów św. Ignacego Antiocheńskiego jest jedynym zachowanym przykładem takiej aktywności (Zamość, 1597). Dzięki Makowskiemu wiemy też, że po śmierci Birkowskiego odnaleziono ok. 20 przygotowanych już w rękopisie edycji przekładów dzieł ojców i doktorów Kościoła z greki na polski i łacinę. Los tych dzieł jest jednak nieznany. Najprawdopodobniej spłonęły wraz z innymi zbiorami w czasie wielkiego pożaru Krakowa w 1850 r., kiedy zniszczenia dotknęły także kościoła św. Trójcy i znajdującego się przy nim klasztoru dominikanów. Dorobek naukowy Birkowskiego został zapomniany. Sława złotoustego kaznodziei przetrwała.

eprasa.pl 914682253b

ANNA JAGIELLONKA

ANNA, CÓRKA ZYGMUNTA STAREGO I BONY, BYŁA JEDNYM Z MŁODSZYCH DZIECI KRÓLA. NIKT SIĘ NIE SPODZIEWAŁ, ŻE ZOSTANIE DRUGIM POLSKIM MONARCHĄ W SPÓDNICY

MAREK BARAŃSKI

Urodzona w 1523 r., pierwsze lata spędziła pod skrzydłami matki. Bona postarała się o jej staranne wykształcenie, jednocześnie wpajając jej niechęć do Niemiec i do Habsburgów. Anna mówiła po łacinie, włosku i oczywiście po polsku, była też bardzo przywiązana do wyznania katolickiego. Do roku 1548 królewna pozostawała w Krakowie, opuściła Wawel, gdy jej brat doprowadził do koronacji swej żony Barbary Radziwiłłówny. Wtedy, nie mogąc się pogodzić z uznaniem nowej bratowej, wraz z matką wyjechała do Warszawy.

Anna była mocno związana ze swymi siostrami, gdy jednak zaczęły wychodzić za mąż i opuszczać Polskę, stawała się coraz bardziej samotna. Jej samotność się pogłębiła, gdy w 1556 r. wyjechała do Włoch jej matka. W końcu w 1562 r. za mąż wyszła Katarzyna, ostatnia z jej sióstr, i Anna pozostała sama, utrzymując z siostrami kontakty tylko listowne. Zgorzknienie wzrosło po ślubie Katarzyny, która była przecież od Anny młodsza. Nie poprawiły się też jej stosunki z bratem, gdyż po śmierci Barbary zaczęła mieć królowi za złe to, że posiadał liczne kochanki.

Po 1548 r. Anna przebywała na Wawelu tylko sporadycznie, jej siedzibą stała się najpierw Warszawa, a potem, po krótkim pobycie w Wilnie – Płock. Bywała też w innych miastach Mazowsza. Nie wychodziły związane z Anną kolejne plany matrymonialne, choć Bona chciała wydać ją najpierw za jakiegoś Włocha, potem za księcia bawarskiego. Z kolei starającego się o jej rękę księcia szwedzkiego Magnusa sama odrzuciła, a na innego Magnusa, księcia duńskiego, nie zgodził się król Zygmunt. Anna stawała się coraz bardziej zgorzkniała, a od 1567 r. zaczęła zapadać na zdrowiu.

Życie jej jednak zmieniło się w 1572 r. wraz ze śmiercią brata, króla Zygmunta Augusta. Teraz ona jako ostatnia potomkini rodu stała się najważniejszą osobą w państwie, w niej widziano następczynię tronu. Początkowo Anna planowała małżeństwo z Ernestem Habsburgiem, który dzięki niej miał zostać królem Polski i wielkim księciem litewskim, potem poparła kandydaturę Henryka Walezjusza, gdy ten zobowiązał się z nią ożenić. Nic jednak z tego małżeństwa nie wyszło, Henryk przyjechał do Polski, został koronowany, ale o małżeństwie ze starszą panią nie myślał. Anna ponownie stała się pierwszą osobą w państwie po ucieczce Henryka z Polski.

W czasie elekcji, do której doszło w końcu 1575 r., ujawniły się dwie partie. Na czele partii prohabsburskiej stał prymas Jakub Uchański. 12 grudnia 1575 r. ogłosił on nawet cesarza Maksymiliana II królem Polski, a ten zobowiązał się do ożenienia swego syna Ernesta z Anną. Nieuzgodnione z ogółem szlachty posunięcie prymasa wywołało oburzenie. Jan Zamoyski doprowadził do tego, że 14 grudnia szlachta wybrała Annę na króla Polski i wielkiego księcia litewskiego oraz wskazała Stefana Batorego jako jej przyszłego męża. Choć cesarz Maksymilian nie zrezygnował ze starań o polską koronę, pierwszy w Krakowie był Batory. 1 maja 1576 r. odbył się w katedrze wawelskiej ślub Batorego z Anną, a po nim koronacja pary królewskiej. Po koronacji Anna zajmowała równorzędną pozycję w państwie ze swym mężem.

Małżeństwo to od początku się nie układało. Anna próbowała podkreślać, że to ona jest ważniejsza, jednak Batory odsunął ją od spraw państwowych. Z tego powodu zaczęła się wiązać z przeciwnikami króla, z prymasem Jakubem Uchańskim, z referendarzem Stanisławem Czarnkowskim. Zaczęto nawet mówić, że król Stefan chce przeprowadzić rozwód. Batory zdecydowanie zdementował te pogłoski, potem stosunki między małżonkami się poprawiły.

Anna nadal dbała o sprawy państwa, zbudowała most na Wiśle, odzyskała część tzw. sum neapolitańskich, przeciwdziałała reformacji na Mazowszu. W 1578 r. na jej dworze wystawiono „Odprawę posłów greckich" Jana Kochanowskiego.

Gdy w 1586 r. zmarł Stefan Batory, Anna znowu stała się najważniejszą osobą w państwie. Tym razem jednak nie dążyła do władzy, doprowadziła natomiast do wyboru na króla swego ukochanego siostrzeńca Zygmunta. Odsunęła się od spraw państwowych, od 1592 r. mieszkała już tylko w Warszawie. Brała jednak udział w uroczystościach rodzinnych, była matką chrzestną kolejnych dzieci królewskich. Zmarła w 1596 r., pochowana została w kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 914682253b

JAN GOTFRYD TEMLER

RODZINA TEMLERÓW ŚWIETNIE SIĘ PREZENTUJE JAKO DOWÓD NIEZWYKŁEGO FENOMENU POLONIZOWANIA SIĘ CUDZOZIEMCÓW W CZASACH POROZBIOROWYCH, KIEDY POLSKI NIE BYŁO

WACŁAW LESZCZYŃSKI

TOW. AKC.
FABRYKI GARBARSKIEJ
TEMLER i SZWEDE
W WARSZAWIE, UL. OKOPOWA 78
TELEFON 96.
SKÓRY: PODESZWOWE, PASOWE, BLANKOWE, JUCHTOWE, SUROWCOWE
ORAZ ZNANE ZE SWEJ DOBROCI
PASY: TRANSMISYJNE I DO DYNAMOMASZYN, JAK RÓWNIEŻ NATŁOCZKI DO POMP I PRAS HYDRAULICZNYCH
ORAZ WSZELKIE WYROBY SKÓRZANE.

Ogłoszenie firmy "Temler i Szwede", 1890 r.

. Widok ogólny Fabryki Garbarskiej Temler i Szwede, 1909 r. (Fot. "Świat" nr 35, 1909 r.)

W Warszawie przy ul. Okopowej 78 stoi zdewastowany, 160-letni budynek byłej garbarni (wytwarzającej skóry na buty i galanterię skórzaną, pasy transmisyjne itp.) rodziny Temlerów. Na początku XX w. była to największa garbarnia w byłym Królestwie Polskim produkująca wyroby wysokiej jakości odznaczane medalami na wystawach w Warszawie (1857), Moskwie (1865), Paryżu (1867) czy Petersburgu (1870). Jej obroty roczne wynosiły 2,5 mln rubli, gdy miesięczna płaca robotnika to 12–20 rubli, a 0,41 kg chleba kosztowało 3 kopiejki (0,03 rubla).

W czasie II wojny światowej produkowano tu potajemnie obuwie dla żołnierzy Armii Krajowej. Po powstaniu warszawskim Niemcy wywieźli urządzenia, wyroby i zapasy surowca, dewastując zakład. Po wojnie odremontował go i uruchomił współwłaściciel Józef Pfeiffer. W 1946 r. objęto go przymusowym zarządem jako Zjednoczone Zakłady Stanisław Pfeiffer, Temler i Szwede pod Zarządem Przymusowym. Mimo przestrzegania przepisów o liczbie zatrudnianych pracowników w 1948 r. zakład upaństwowiono bez odszkodowania. Potem wykorzystywano budynek do różnych celów, aż został opuszczony i stopniowo niszczał. W 2010 r. wpisano go do rejestru zabytków.

eprasa.pl 914682253b

Legenda założycielska

Oficjalnym założycielem garbarni był 200 lat temu Jan Gotfryd Temler, który miał życie pełne przygód. Urodził się 18 września 1793 r. w mieście Gera w Saksonii, w rodzinie wyznania ewangelicko-augsburskiego. Był synem Jana, właściciela poczthalterni w Gerze, czyli stacji pocztowej służącej do obsługi koni i wozów pocztowych (dyliżansów) oraz osób nimi podróżujących. Matką Jana Gotfryda była nieznana z nazwiska Barbara Marianna.

W wyniku wojny IV koalicji antyfrancuskiej z Napoleonem I jesienią 1806 r. wojsko francuskie zajęło Saksonię i zarekwirowało konie z poczthalterni Jana Temlera, obiecując je zwrócić, gdy będą niepotrzebne. Jan Temler wysłał więc za tymi końmi swego 13-letniego syna, Jana Gotfryda, by je przyprowadził z powrotem. On podążał za armią francuską i końmi ojca przez cały okres kampanii pruskiej i rosyjskiej do ich końca w lipcu 1807 r. Na pobojowisku bitwy pod Friedlandem widział cesarza Napoleona I.

Za końmi ojca Jan Gotfryd trafił do Warszawy i tu zatrzymał się na stałe. Zgodnie z oficjalnymi danymi w 1819 r. (lub 1817 r.) otworzył w Warszawie garbarnię przy ul. Ogrodowej róg ul. Białej. Informacja ta budzi jednak wątpliwości. Mało prawdopodobne bowiem jest, aby młody chłopiec, znalazłszy się sam w obcym mieście, bez większych zasobów materialnych i bez oparcia, tak szybko mógł uzyskać kwalifikacje i uprawnienia oraz mieć warunki do otwarcia zakładu w nieznanym sobie zawodzie. Według innych danych źródłowych pierwszą garbarnię „na najwyższym punkcie Warszawy, wyniesionym 130 stóp nad zero wodowskazu na Wiśle", przy ul. Ogrodowej założył w 1787 r. Fryderyk Temler. Zgodne jest to z przekazami rodzinnymi, że Temlerowie żyli w Warszawie od pokoleń. Zapewne Jan Gotfryd zatrzymał się wtedy u tych Temlerów garbarzy, pewnie krewnych, u nich nauczył się zawodu i po jakimś czasie przejął lub odziedziczył po nich zakład. Związki Jana Gotfryda z innymi Temlerami w Warszawie potwierdza to, że jeszcze w połowie XIX w. w domu przy ul. Ogrodowej 13/15 oprócz Jana Gotfryda z rodziną mieszkał również jego kuzyn Fryderyk Christian Temler (1811–1879), urodzony także w Gerze, właściciel fabryki wyrobów metalowych w Warszawie.

Zapewne więc Jan Gotfryd w roku 1817 (nie w 1819) nie założył garbarni, ale ją objął na własność. Jan Gotfryd już jako „majster profesyji garbarskiej" i właściciel garbarni 29 września 1819 r. wziął ślub z katoliczką Anną Marią Franke (1797–1857), która urodziła mu 17 dzieci, z czego dziewięcioro zmarło w dzieciństwie. Na ślubie tym byli rodzice Anny, Gotfryd Franke, właściciel młyna, i Magdalena Franke z domu Rezler.

Garbowania nie lubił

Jan Gotfryd prowadził swą garbarnię, jednak nie przepadał za wykonywanym zawodem, co potwierdzałoby wątpliwości, czy to on ów zakład założył. Przy ul. Długiej miał sklep, w którym sprzedawane były wyroby jego zakładu. Jednak wolał tam czytać książki, niż obsługiwać kupujących. Gdy mu w czytaniu przeszkadzali klienci, wyganiał ich i zamykał sklep. Kochał natomiast konie. Zapraszał kupców końskich na posesję, przy której mieściła się garbarnia, i kazał im oprowadzać wierzchowce przez podwórze mające dwie bramy, na ul. Ogrodową i na ul. Białą, tam i z powrotem. Gdy trwało to zbyt długo, zirytowana żona po wyprowadzeniu konia na ulicę kazała zamykać bramę, żeby zakończyć wreszcie taki pokaz. To ona głównie dbała o interesy. Często sama obsługiwała w sklepie klientów, mając pod ladą schowane kolejne swoje niemowlę, które w wolnych chwilach karmiła piersią. Jan Gotfryd jeszcze w młodym wieku 55 lat (w 1848 r.) przekazał garbarnię synom Karolowi i Aleksandrowi. Wkrótce potem wyprowadził się do domu przy ul. Elektoralnej 30 i przestał się interesować zakładem.

Literat Ferdynand Hoesick wspominał, że teść jego ciotki, Jan Gotfryd Temler, w starszym wieku miał zawsze przy sobie butelkę wódki Goldwasser, którą lubił popijać. Będąc „u wód" w jakimś modnym kurorcie, potrafił dla żartu częstować tą „wodą" ciekawych jej „leczniczych właściwości". Po śmierci żony jeśli nie czytał, zwykle siedział w mieszkaniu w fotelu obok okna i obserwował ruch na ulicy, posługując się dwoma lustrami przymocowanymi za oknem pod kątem, w których odbijał się obraz obu stron ulicy. Elektoralna była wówczas główną ulicą przelotową trasy wschód–zachód. Uważano, że pod koniec życia zdziecinniał, bo gdy kiedyś odwiedzili go jego synowie Karol i Aleksander, wtedy już milionerzy, i jak to jest w zwyczaju, narzekali na „ciężkie czasy", to on przyniósł im swoje „świąteczne" buty, mówiąc: „Jak wam tak ciężko, to weźcie te buty, nie są mi potrzebne, bo teraz prawie nie wychodzę, a wam mogą się przydać". Ale było to raczej przejawem jego poczucia humoru.

Spośród córek Jana Gotfryda trzy wyszły za wielkich przemysłowców: Jana Karola Szlenkiera, Stanisława Fryderyka Pfeiffra i Józefa Krystiana Rentla. Synowie ożenili się – Karol Ludwik z Emilią Werner z rodziny wielkich przemysłowców, a Aleksander Ferdynand z Emilią Wilhelminą Granzow, córką wielkiego przedsiębiorcy budowlanego.

Jan Gotfryd zmarł 13 lipca 1885 r. w Warszawie, mając 92 lata, i pochowany jest na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy ul. Młynarskiej, grób I 28-1-37. Natomiast jego żona Anna z domu Franke jest pochowana na Powązkach, w grobie swej córki Rentel w kwaterze 158, rząd I. W tym grobie pochowana jest też jej matka, Magdalena Franke z domu Rezler (1775–1869), teściowa Jana Gotfryda, która w chwili wybuchu powstania kościuszkowskiego miała 19 lat.

Słowianie, polscy patrioci

Jan Gotfryd brał udział w powstaniu listopadowym, bo mimo niemieckiego pochodzenia widać czuł się Polakiem. Zresztą mity rodzinne głosiły, że Temlerowie nie byli Niemcami, ale Słowianami połabskimi na siłę zgermanizowanymi. Opowieści te po cichu wyśmiewano jako próby wypierania się swych „niemieckich korzeni", bo też Temlerowie Niemców nie kochali. Tymczasem badania DNA, jakim się poddał prapraprawnuk Jana Gotfryda, potwierdziły rodzinny mit. Badania genetyczne rodowodu w linii męskiej wykazały haplogrupę R1a1a1, typową dla narodów słowiańskich, co dowodzi słowiańskiego, a nie niemieckiego, pochodzenia Temlerów.

Polskimi patriotami byli też potomkowie Jana Gotfryda. Jego syn więziony był w 1863 r. w Cytadeli warszawskiej za udział w powstaniu styczniowym. Dalsi potomkowie, kobiety i mężczyźni, walczyli w wojnie z bolszewikami i w II wojnie światowej, na frontach i w Armii Krajowej, m.in. w Batalionie „Parasol". Czterech jego praprawnuków było pilotami RAF w polskich dywizjonach myśliwskich, w tym jeden (Zdzisław Henneberg) dowódcą słynnego Dywizjonu 303. Wielu potomków Jana Gotfryda zginęło z rąk Gestapo i NKWD, było więźniami KL Auschwitz i innych niemieckich obozów koncentracyjnych, było więzionych za PRL.

eprasa.pl 914682253b

CZYM BYŁ DLA POLSKI POKÓJ RYSKI?

POLSKA ODRODZONA DWUKROTNIE W CIĄGU PIERWSZYCH LAT SWEGO ISTNIENIA WSPÓŁTWORZYŁA PORZĄDEK ÓWCZESNEGO ŚWIATA – BYŁA WTEDY NIE TYLKO PODMIOTEM POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ, LECZ TAKŻE NIEODZOWNYM FUNDAMENTEM STWORZONEGO WSPÓLNIE Z ALIANTAMI PORZĄDKU GEOPOLITYCZNEGO

JAN ŻARYN

Po raz pierwszy dzięki Komitetowi Narodowemu Polskiemu (KNP) w Paryżu, którego polityka doprowadziła Polskę do grona państw zwycięskich w I wojnie światowej. Co to znaczyło, przekonały się np. Węgry, które trwając w sojuszu z Austrią i Niemcami, pożegnały się ze znaczną częścią swego terytorium i ludnością pochodzenia węgierskiego. W konferencji wersalskiej brali bowiem udział jedynie zwycięzcy. W sumie było to 27 państw świata – w tym Polska, ledwo co istniejąca po 123 latach nieobecności na mapach. Trudno nazwać tę obecność porażką, nawet jeśli przyjmiemy, że plan Dmowskiego-Paderewskiego zrealizowaliśmy w 75 proc. Mając taki sukces w garści, niestety szybko potrafiliśmy go stracić. Postanowienia traktatowe weszły w życie 1 stycznia 1920 r. W lipcu 1920 r., po druzgocącej klęsce wyprawy kijowskiej, w belgijskim Spa zostaliśmy sprowadzeni do roli Królestwa Polskiego z 1815 r. powołanego decyzją wielkich podczas kongresu wiedeńskiego. Szczególnie Anglicy skwapliwie przyjęli do wiadomości, że ponownie trzeba budować równowagę europejską bez Polski odrodzonej, co przy okazji osłabi jej sojusznika/rywala, czyli Francję. Nawet ta ostatnia, nie chcąc pozostać na uboczu polityki mocarstwowej, zaczęła się dogadywać ponad naszymi głowami z gen. Piotrem Wranglem. Koncepcja federacyjna sama się zatem skompromitowała.

I gdyby nie wielka mobilizacja, powstanie Rady Obrony Państwa, której pierwsze posiedzenie odbyło się 1 lipca 1920 r. w Belwederze, a następnie rządu szerokiej koalicji z Wincentym Witosem na czele pod koniec tego miesiąca, oraz niezwykła siła polskiej modlitwy i odwaga polskiego żołnierza, także zdolności dowódców, w tym Szefa Sztabu Generalnego i Naczelnego Wodza, ten upadek znaczenia naszego państwa na arenie międzynarodowej skończyłby się całkowitą utratą niepodległości. Bolszewicy podali w Mińsku białoruskim upokarzające warunki, dalej idące niż linia Curzona wyznaczona przez nieprzychylną nam Wielką Brytanię.

FOT. WIKIPEDIA

Delegacja polska na rokowania o zawieszeniu broni i zawarciu pokoju z Rosją Sowiecką, 1920. Od lewej siedzą: Władysław Kiernik, gen. Mieczysław Kuliński, Jan Dąbski, Stanisław Grabski, Leon Wasilewski. Stoją: Michał Wichliński, Witold Kamieniecki, Norbert Barlicki, Adam Mieczkowski, Ludwik Waszkiewicz

ROP został powołany przez Sejm Ustawodawczy jednogłośnie. Początkowo jednak część lewicy buntowała się z racji poparcia ROP przez centrowo-prawicowe partie, bez których jednak nie istniałaby żadna solidarna reprezentacja państwa. A to za sprawą wyniku wyborów demokratycznych ze stycznia 1919 r., które wygrali względnie narodowcy, a nie lewica. To notabene świadczyło o tym, że nawet w tych warunkach część lewicy, głównie PSL „Lewica" i PSL „Wyzwolenie", chciały wyzyskać sytuację na froncie, by stworzyć tzw. rząd ludu pracującego, i zapewne władzy już nie oddać, zamiast przychylić się do powołania formacji tymczasowej – ustawodawczo-wykonawczej – reprezentującej wszystkie podmioty: Naczelnika Państwa, SU i Rząd; jedynym posłem, który do końca uznał, że Rada jest skrytą „dyktaturą endecką", pozostał ks. Eugeniusz Okoń, swego czasu twórca bolszewickiej „republiki tarnobrzeskiej"; reszta lewicy pod presją Józefa Piłsudskiego, dla którego istotne było, by żołnierz odczuwał polityczną zgodę na zapleczu frontu, odstąpiła od rewolucyjnych mrzonek. Po raz pierwszy ostatecznie zwyciężyła solidarność w trudnych warunkach. Podobna atmosfera, przełamywania lewicowych zapędów dyktatorskich, towarzyszyła tworzeniu się rządu Wincentego Witosa pod koniec tego samego miesiąca. Do Rządu Obrony Narodowej, a nie „robotniczo-chłopskiego", weszli 20 lipca 1920 r. zarówno przedstawiciele PSL Piast, jak i PPS oraz najsilniejszego klubu parlamentar-

eprasa.pl 914682253b

nego, czyli narodowców: ZLN (z formacji prawicowo-centrowych było zresztą najwięcej ministrów w tym gabinecie, choć teki premiera i wicepremiera należały do liderów partii ludowej i robotniczej; tekę szefa MSZ dzierżył Eustachy Sapieha, polityk potrafiący rozmawiać zarówno z ZLN, jak i Naczelnikiem Państwa).

Bitwę Warszawską wygraliśmy w sierpniu 1920 r., ale wzlot i upadek polskiego miejsca na mapie stanowiły znaczącą lekcję wymuszającą pokorę i szukanie stabilizacji. Przełomowym momentem politycznym stało się posiedzenie ROP z 11 września 1920 r., podczas którego delegacja polska z Janem Dąbskim z PSL „Piast" i Stanisławem Grabskim z ZLN na czele miała się udać na kolejną turę negocjacji z bolszewikami, już w nowych warunkach militarnego rozstrzygnięcia. Największą presję na polskim rządzie wywierał nasz jedyny realny sojusznik, czyli Francja. Ta zaś dzięki polskiemu zwycięstwu odzyskała pożądaną także dla nas pozycję lidera – zastępując Wielką Brytanię – we wschodniej i środkowej Europie. Jak zapewniał z Paryża nasz poseł Maurycy Zamoyski, należało to wyzyskać, ale i liczyć się z francuskimi interesami. Francja godziła się na granicę polsko-rosyjską na Zbruczu, co de facto przekreślało kontynuację projektu federacyjnego z Ukrainą, ale jednocześnie naciskała »

eprasa.pl 914682253b

» na to, by nie wchodzić na Kresy zbyt daleko na wschód, co będzie skutkowało rewanżyzmem i oskarżeniami Polski o imperializm (a jednocześnie utrudni obronę Polski odrodzonej w sytuacji, gdyby „biali" sojusznicy Francji odzyskali władzę w Rosji). Zarówno pod wpływem tych nacisków, jak i przyjęcia przez polską dyplomację tezy o ustanowieniu pokoju sprawiedliwego, a nie odwetowego, podczas wspomnianej sesji ROP „za linią Rady Ministrów oświadczyli się w drugim głosowaniu wszyscy obecni" – czytamy w protokole. Jak pisał Tadeusz Piszczkowski, „uchwalona instrukcja wyznaczała, jako żądaną granicę wschodnią, na odcinku północnym linię b. okopów niemieckich z czasu wojny 1914–1918, ku południowi zaś linię Horynia i Zbrucza (z zapewnieniem Polsce linii kolejowej Brody-Równe-Sarny)". Warto może dodać, że dyskutowano raczej o przejściu Zbrucza niż o dotarciu do Mińska Białoruskiego, bo przemawiały za tym – zdaniem gen. Tadeusza Rozwadowskiego – względy militarne. Jednak za sprawą głosów lewicy zatrzymano polskie roszczenia na rzece Zbrucz i historycznej granicy między zaborami. A zatem – choć nie z tym samym entuzjazmem – cały Sejm Ustawodawczy oraz otoczenie Naczelnika Państwa przyjęli do wiadomości instrukcje, z którymi delegacja jechała do Rygi. Byli nią związani na dobre i na złe. W kolejnych tygodniach września i października 1920 r. Jan Dąbski z PSL „Piast" i jego prawa ręka, w osobie Stanisława Grabskiego z ZLN kierującego komisją ds. granic, negocjowali warunki rozejmu i pokoju z delegacją bolszewicką, na czele której stał Adolf Joffe. Nie jest prawdą to, do czego przekonywał Władysław Pobóg-Malinowski w swej fundamentalnej pracy, że delegacja bolszewicka z podkulonym ogonem gotowa była oddać nam całą Białoruś z Mińskiem aż do bramy smoleńskiej. Bolszewicy wprawdzie odstąpili od żenujących warunków sprzed warszawskiej fazy konfliktu, ale nie byli skorzy do uległości (np. mocno obstawali, by wspomniana linia kolejowa nie weszła do II RP). Strona polska zaś zdawała sobie sprawę nie tylko z uwarunkowań międzynarodowych, w tym reprezentowania interesów całej Europy podczas negocjacji, w której liderem była Francja, lecz także z tego, że Polacy byli już zmęczeni wojną trwającą na naszych ziemiach od 1914 r. Ziemie poza „linią Rady Ministrów" na wschód były w znikomym procencie zamieszkane przez Polaków, a zatem (o co później chodziło piłsudczykom) zajmując Mińszczyznę, bylibyśmy naciskani przez elitę białoruską, by – podobnie jak Petlura na Ukrainie – reprezentować jej interesy w ustawicznym konflikcie z Rosją. Koncepcja federacyjna zaś, jak uważali polscy negocjatorzy, de facto służyła realizacji niemieckiej wizji Mitteleuropy z okresu pokoju brzeskiego z początku 1918 r. Do Niemiec bowiem ostatecznie zwracaliby się politycy wschodnich narodów o pomoc, a nie do słabszej Polski. Większość ówczesnej elity politycznej zaś uznawała, że Polska odrodzona – jak pokazała historia porażek z roku 1920 – jeśli chce zachować niepodległość, musi z jednej strony dążyć do pokoju, a nie kolejnej fazy wojny, z drugiej zaś do ustabilizowania granic przynajmniej na wschodzie, skoro granice z Niemcami i tak stanowią – jej zdaniem – główną oś konfliktu „na zawsze". Oczywiście przewagę w delegacji mieli zwolennicy koncepcji inkorporacyjnej, którzy nadto obawiali się, że obca etnicznie i świadomościowo ludność Kresów Wschodnich nie podda się repolonizacji. Tymi przesłankami kierowano się, gdy ostatecznie 12 października 1920 r. układ został podpisany, a 18 października wszedł w życie. Polska delegacja była chwalona na świecie, a nasi zachodni sojusznicy uznali – nie zawsze szczerze – że uzyskując rozejm, a potem pokój, dokończyliśmy wersalskiego dzieła. Z kolei podczas 177. posiedzenia Sejmu Ustawodawczego 22 października 1920 r. przy pełnej akceptacji całego składu parlamentu nastąpiła ratyfikacja preliminarza pokojowego, rozejmu, w tym ustalenia ostatecznych granic. Nastąpił kolejny etap negocjacji, żmudny i trwający do marca 1921 r., a dotyczący kwestii roszczeń, zwrotów, reparacji, ochrony ludności polskiej czy prawa jej wyjazdu do II RP itd. (ostatecznie pokój ryski został zaakceptowany przez państwa ówczesnego świata w 1923 r.).

Dopiero po podpisaniu rozejmu, a następnie pokoju nastąpił zwrot akcji. Posypały się gromy na część polskiej delegacji (mimo że w jej składzie byli reprezentanci wszystkich sił politycznych), w tym na głowę Stanisława Grabskiego.

Poniższy fragment pamiętników Stanisława Grabskiego wskazuje na głęboki konflikt, który ujawnił się już wkrótce po podpisaniu rozejmu, a jeszcze bardziej po ratyfikacji ostatecznego pokoju ryskiego z 18 marca 1921 r.

Stanisław Grabski o pokoju ryskim

„W pierwszej chwili po powrocie delegacji naszej do Warszawy powszechnie panowało w Sejmie i społeczeństwie zadowolenie z zawartego preliminarza pokojowego [z 18 X 1920 r. – J.Ż.]. Ale niebawem zaczęły się nań ataki. Organizatorami ich byli niewątpliwie piłsudczycy. Wysunęła się jednak na front kampanii mającej przeszkodzić ratyfikacji przez Sejm traktatu pokojowego z Rosją Sowiecką liczna wówczas w Warszawie kolonia ziemian polskich i działaczy narodowo-kulturalnych z ziemi mińskiej, mohylewskiej, spod Konstantynowa, Kamieńca, Płoskirowa, Winnicy… Gorycz ich była aż nadto zrozumiała. Toć przez sto przeszło lat rodziny ich, uporczywie znosząc niezliczone prześladowania, nie tylko same pozostawały wierne swej narodowości i wierze, ale nie szczędziły największych wysiłków, by na ziemiach, które przed rozbiorami wchodziły w skład Rzeczypospolitej Polskiej, utrzymać jeśli nie przewagę, to przynajmniej silną pozycję polskiej kultury. I była już chwila, że były w ich rodzinnych stronach i polskie wojsko, i polskie władze administracyjne. I oto po świetnym zwycięstwie nad Wisłą i Wkrą Polska się ich wyrzeka, pozostawia ich domy, majątki, parafie, groby, groby ich przodków poza swymi granicami. Za tę krzywdę obwiniali oni mnie przede wszystkim. W trakcie dyskusji w Sejmie na temat traktatu ryskiego z galerii sejmowej rzucono na ławy poselskie paręset ulotek ostro piętnujących mnie za zaprzepaszczenie naszych Kresów Wschodnich. Nie mogłem czuć jednak odrobiny żalu do tych naprawdę ciężko dotkniętych losem, nie z ich winy, ludzi.

Następnie jednak cała niemal prasa lewicowa przez parę lat, przy każdej nadarzającej się okazji, atakowała mnie za nadmierną jakoby ustępliwość wobec bolszewików w Rydze, w szczególności za pozostawienie Mińska poza naszą granicą. Długo na te napaści nie odpowiadałem ani słowem. Aż dopiero w marcu 1923 r. zwróciłem się w „Słowie Polskim" z apelem do publicystów obozu lewicowego, »by raz wreszcie zdecydowali, kto jest właściwym autorem pokojowego preliminarza w Rydze: p. Dąbski czy ja… Jeśli to moje dzieło – w takim razie zrozumiałe są pretensje tych, co uważają granicę tę za zbyt szczupłą, ale jeśli to p. Dąbski jest twórcą pokoju ryskiego – to on odpowiada za to, że granica nasza nie sięga Dniepru. Tymczasem p. Dąbskiemu przypisuje się całą zasługę pokoju ryskiego, ale mnie się obwinia, że np. Mińsk nie należy do Polski. Zbyt to wyraźna niekonsekwencja«. Oczywiście ten mój apel nie miał wielkiego skutku". (Stanisław Grabski, „Pamiętniki", t. 2, Warszawa 1989, s. 180–181)

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 914682253b

Wnętrze hali Dworca Głównego w Warszawie, lata 20.

FOT. NAC

NIEDZIELA NA GŁÓWNYM, NA GŁÓWNYM NIEDZIELA...

PIOTR ŚWIĄTECKI

NADAL AKTUALNA JEST, ZRODZONA W XIX w. KONCEPCJA, ŻE DWORCE MAJĄ BYĆ „PAŁACAMI PRZEMYSŁU". ICH BUDOWA BYŁA I JEST WIĘC WIELKIM WYZWANIEM DLA ARCHITEKTÓW I URBANISTÓW

„Oto najlepszy jest relaks, niedziela na Głównym, na Głównym niedziela" – śpiewał w latach 60. ub.w. Wojciech Młynarski „na" Warszawie Głównej przy ul. Towarowej. Ponad sto lat czekała stolica na reprezentacyjny, centralny dworzec kolejowy. Ten tekst jest właśnie o oczekiwaniu.

Dworzec Wiedeński

Już 10 lat po uruchomieniu pierwszej europejskiej linii kolejowej (1825 r., Stockton – Darlington w Anglii), czyli w 1835 r., Henryk Łubieński zainicjował wybudowanie w zaborze rosyjskim kolei łączącej Warszawę z granicą zaboru austriackiego i poprzez Kraków z Wiedniem. Stąd też nazwa Kolej Warszawsko-Wiedeńska, w skrócie Wiedenka.

Pierwszy odcinek linii – z Warszawy do Pruszkowa i Grodziska – otwarto w czerwcu 1845 r. Przez początkowe miesiące eksploatacji, od czerwca do listopada 1845 r., odprawa podróżnych odbywała się w prowizorycznej szopie.

Oddany do użytku w listopadzie 1845 r. stały Dworzec Wiedeński, wybudowany wg projektu Henryka Marconiego w sąsiedztwie skrzyżowania ul. Marszałkowskiej z Al. Jerozolimskimi, mniej więcej w rejonie dzisiejszego Dworca Śródmieście, był przez 15 lat jedynym warszawskim dworcem. Marconi wsławił się już wtedy budową m.in. pałaców Branickich i Paca oraz Hotelu Europejskiego w Warszawie, a także dworca w granicznym wówczas Sosnowcu, na drugim końcu Wiedenki.

Warszawski dworzec Marconiego służył podróżnym trzy czwarte wieku. Jego wydłużona bryła – odpowiadająca długości pociągu (ok. 160 m) – podzielona na kilka części, kojarzyła się z dwoma parowozami zestawionymi tendrami.

Zauważmy, że skrzyżowanie ul. Marszałkowskiej z Al. Jerozolimskimi leżało wówczas na peryferiach Warszawy. Zbudowano tam Dworzec Wiedeński, licząc na to, że miasto będzie się rozwijało w tym kierunku. I słusznie, miejsce to dziś jest centralnym punktem stolicy.

Kilkanaście lat później do Warszawy dotarły kolejne linie kolejowe. W 1862 r. właściciele Wiedenki uruchomili kolej do Bydgoszczy, zaś Główne Towarzystwo Dróg Żelaznych Rosyjskich – Kolej Warszawsko-Petersburską. W 1866 r. ruszyła Kolej Warszawsko-Terespolska, w 1877 – Kolej Nadwiślańska. Końcowe dworce tych linii znalazły się na obrzeżach miasta. Prawobrzeżne (tj. praskie) linie kolejowe miały rosyjską szerokość toru (1524 mm), Wiedenka i Kolej Bydgoska (wbiegające do Warszawy od Skierniewic jednym torem) zostały ułożone w standardzie europejskim – z prześwitem 1435 mm.

Brak wspólnego, głównego warszawskiego dworca był uciążliwy szczególnie dla pasażerów przejeżdżających przez stolicę tranzytem, toteż już w 1865 r. Dworce Wiedeński, Petersburski i Terespolski połączyła kolejka konna. Alternatywą była podróż północną linią obwodową, zbudowaną w zasadzie dla ruchu towarowego. »

eprasa.pl 914682253b

Projekty głównego dworca przed I wojną światową

W 1879 r. w Petersburgu w dzienniku urzędowym Ministerstwa Komunikacji po raz pierwszy opublikowano projekt warszawskiego centralnego dworca przygotowany przez inż. Pawła Fliederbauma. Proponował on rozbudowę dworca Wiedenki autorstwa Marconiego. Górny jego poziom miałby przyjmować pociągi z zachodu po normalnym torze, dolny – szerokim torem łączyć się z Dworcami Petersburskim i Terespolskim. Pierwszy raz podkreślono potrzebę zbudowania głównego, wspólnego dla wszystkich linii, warszawskiego dworca kolejowego oraz połączenia prawo- i lewobrzeżnych stołecznych linii kolejowych trasą przebiegającą przez środek miasta (zwaną „linią średnicową" lub wprost „średnicą").

Wg tej koncepcji w 1890 r. Towarzystwo Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej rozpisało „europejski" konkurs na projekt nowego dworca dla pasażerów odjeżdżających. Wpłynęły 32 prace, żadna jednak nie została skierowana do realizacji, lecz zwycięzcy konkursu, inż. Józefowi Hussowi, zlecono opracowanie kolejnego projektu. W 1891 r. Huss zaproponował budowę układu torowego zupełnie nowego dworca – zastępującego Dworzec Wiedeński – w poziomie otaczających ulic, w sąsiedztwie ul. Marszałkowskiej obok Alei Jerozolimskich. To ostatnia taka koncepcja – później wszyscy projektanci tory i perony umieszczali już poniżej poziomu terenu. Choć pod naciskiem Rosjan inż. Huss uwzględnił w swojej koncepcji doprowadzenie do tego dworca „średnicy" – szerokich torów z prawego brzegu Wisły – i tak nie uzyskano w Petersburgu zgody na dalsze działania.

Inicjatywę bowiem przejął rząd. Ministerstwo Komunikacji w Petersburgu zaplanowało kompleksową zmianę kolei warszawskich: budowę „średnicy" zagłębionej poniżej terenu, w części prowadzonej w tunelu, przekraczającej Wisłę dwupoziomowym mostem wspólnym z przedłużeniem Al. Jerozolimskich (późniejszy most Poniatowskiego) oraz dworca, wspólnego dla obu szerokości torów i dla wszystkich, dobiegających do Warszawy linii kolejowych, w postaci czworoboku zwróconego frontem do Marszałkowskiej.

W oczekiwaniu na realizację tego planu zarząd Wiedenki zdecydował się na prowizorkę, uzupełniając w 1900 r. dworzec Marconiego o obiekt tzw. Nowej Poczekalni o rozmiarach w planie 62 x 13,5 m, przejmującej obsługę przyjazdów. Na realizację planu rządu zabrakło pieniędzy i już do końca wojny, do 1918 r., w sprawie centralnego warszawskiego dworca nic ważnego się nie wydarzyło.

Po 1918 r.

Rada Regencyjna i powołany przez nią rząd przygotowywały Polskę do niepodległości. We wrześniu 1918 r. w Ministerstwie Przemysłu i Handlu powołano pod przewodnictwem prof. Aleksandra Wasiutyńskiego komisję analizującą uwarunkowania przebudowy warszawskiego węzła kolejowego. Jednym z rezultatów jej prac było przyjęcie przez Sejm ustawy z 19 lipca 1919 r. o przebudowie warszawskiego węzła kolejowego (Dz. Praw. Nr 63, poz. 369). Sejm upoważnił tą ustawą rząd do rozpoczęcia przygotowań i do wydania na to w 1919 r. 15 mln marek polskich.

Było trochę łatwiej, bo już w czasie I wojny światowej Niemcy przekuli wszystkie szerokie linie w Polsce na europejski prześwit 1435 mm.

Pierwszym etapem przebudowy stołecznego węzła stała się budowa tymczasowego dworca głównego, rozpoczęta w maju 1920 r. przy ul. Chmielnej, między Wielką a Żelazną. Ukończenie tego budynku w 1921 r. pozwoliło na rozbiórkę dworca Marconiego (tak, tego pierwszego warszawskiego dworca Wiedenki) i wykonanie wykopu pod linię średnicową. Budowa „średnicy" przedłużyła się znacznie w wyniku wojny polsko-bolszewickiej i kryzysu budżetowego. Była wymagającym przedsięwzięciem – prowadzona w centrum stolicy, w bardzo trudnych warunkach gruntowych, w części miasta pokrytej siecią instalacji podziemnych. Tunel krzyżował się z trasami wodociągów i kanalizacji, które należało przekładać, nie wyłączając z eksploatacji, powstawał pod ulicami, na których trwał miejski ruch (głównie Al. Jerozolimskie). Pierwszy pociąg parowy przejechał tą trasą dopiero 2 września 1933 r. Z budową średnicy zbiegło się też rozpoczęcie elektryfikacji warszawskiego węzła – 15 grudnia 1936 r. pierwszy elektryczny zespół trakcyjny pojechał średnicą i dalej – trasą ze stolicy do Otwocka.

Średnica korzystała nadal z dworca tymczasowego, dopiero w 1932 r. rozpoczęto bowiem budowę stałego Dworca Głównego według projektu profesorów Czesława Przybylskiego i Andrzeja

Dworzec Główny w Warszawie, 1925 r.

eprasa.pl 46822536

Pszenickiego. Projekt ten został zaakceptowany przez Ministra Komunikacji w lutym 1931 r. Dworzec na planie prostokąta o wymiarach 128 x 84 m stawał nad torami linii średnicowej między ulicami: Chmielną, Marszałkowską, Al. Jerozolimskimi i przedłużeniem Chałubińskiego. Miał powstawać w dwóch etapach – w pierwszym obejmować 8 torów, w drugim 12.

Uwzględniono rosnący udział kolei w obsłudze przewozów pasażerskich na terenie stolicy i aglomeracji, częściowo oddzielając pasażerów pociągów podmiejskich (elektrycznych!) i dalekobieżnych. W budynku dworca zmieściły się poczekalnie wszystkich trzech klas, kasy, restauracje i liczne pomieszczenia służbowe. Przewidziano połączenie dworca przejściem podziemnym ze stacją miejskiej kolei podziemnej (metra) na Marszałkowskiej. Ostatecznie – po rozbudowie do 12 torów – powierzchnia użytkowa Dworca Głównego miała osiągnąć 15 376 mkw. Konstrukcja żelazna – szkielet budynku – ważyła 10 tys. ton.

Budowy Warszawy Głównej nigdy nie ukończono, lecz jeszcze podczas prac gotową część wykorzystywano do obsługi ruchu pasażerskiego. 6 czerwca 1939 r. w trakcie spawania konstrukcji stalowej w budynku dworca wybuchł pożar, który ugaszono dopiero po kilku godzinach, a w akcji zginął strażak.

We wrześniu 1939 r. kolejne zniszczenia spowodowali bombardujący Warszawę Niemcy. Nieukończony, a już częściowo zniszczony dworzec był wykorzystywany przez okupantów jako Warschau Hauptbahnhof. Po powstaniu warszawskim dworzec został przez Niemców zrównany z ziemią. Spalili również tymczasowy dworzec główny na Chmielnej i pozostałą po Dworcu Wiedeńskim Nową Poczekalnię.

Po II wojnie

W 1945 r. najpierw ruszyła stacja Warszawa Zachodnia, przyjmując ruch z lewego brzegu Wisły. 12 lipca 1946 r. oddano do użytku tymczasowy, czołowy Dworzec Główny przy ul. Towarowej, obok pl. Zawiszy. Obiekt, rozbudowany w 1956 r., nadal stoi, od wielu lat mieszcząc muzeum kolejnictwa. W czerwcu 1949 r., po odbudowaniu mostu kolejowego i oczyszczeniu wykopu uruchomiono fragment linii średnicowej od Dworca Wschodniego do prowizorycznego Dworca Śródmieście naprzeciwko hotelu Polonia. W 1954 r. ruszył nowy, również tymczasowy, drewniany Dworzec Warszawa Śródmieście między ul. Emilii Plater a przedłużeniem ul. Chałubińskiego. Po zbudowaniu stałej Warszawy Śródmieścia i otwarciu na linii średnicowej drugiej, dalekobieżnej pary torów w 1963 r. tymczasowy drewniany dworzec Warszawa-Śródmieście stał się prowizorycznym dworcem Warszawa Centralna.

6 CZERWCA 1939 r. W WYNIKU SPAWANIA KONSTRUKCJI STALOWEJ W BUDYNKU DWORCA WYBUCHŁ POŻAR, KTÓRY UGASZONO DOPIERO PO KILKU GODZINACH, A W AKCJI ZGINĄŁ STRAŻAK

Już w 1946 r. rozpisano pierwszy konkurs na projekt koncepcji nowego dworca głównego. Wygrał zespół Arseniusza Romanowicza i Piotra Szymaniaka; obaj architekci, później również główni projektanci przystanków warszawskiej średnicy: Stadion, Powiśle, Śródmieście, Ochota oraz nowego Dworca Wschodniego, byli także po latach autorami projektu, według którego w 1972 r. rozpoczęto budowę stałego Dworca Centralnego. Nim jednak doszło do tej budowy, obaj architekci spędzili ponad 20 lat nad dziesiątkami projektów koncepcyjnych, szkicowych i wstępnych. Prace te toczyły się równolegle z planowaniem zagospodarowania śródmieścia Warszawy, toteż w dokumentacji przewijają się również nazwiska głównych miejskich architektów z Biura Odbudowy Stolicy BOS: prof. Zygmunta Skibniewskiego i Józefa Sigalina. W trakcie prac „poza kolejarzami" przesądzono o oddzieleniu podróży dalekobieżnych od podmiejskich (inaczej niż w przedwojennym Dworcu Głównym!) i podziale tych potoków pasażerów między Warszawę Centralną i Warszawę-Śródmieście. Działający do dziś Dworzec Warszawa-Śródmieście, oddany do użytku we wrześniu 1963 r., był pierwszą stałą częścią kompleksu komunikacyjnego wraz z powstałymi później, czyli Dworcem Centralnym i przystankiem metra na Marszałkowskiej.

Warszawa Centralna

Po rozstrzygnięciu w lipcu 1969 r. konkursu urbanistycznego na zagospodarowanie przestrzenne centrum Warszawy zapadła wreszcie w 1972 r. decyzja, że Dworzec Centralny ma się stać sztandarową inwestycją obok nowego terminala na Okęciu i Trasy Łazienkowskiej. Skoncentrowano na tej budowie siły i środki. Generalnym wykonawcą zostało warszawskie Przedsiębiorstwo Robót Kolejowych Nr 7, które wykonało też 60 proc. prac. Nic dziwnego więc, że nowy dworzec został uroczyście otwarty już 5 grudnia 1975 r.

Stolica zyskała wreszcie wymarzony, monumentalny, reprezentacyjny pałacowy dworzec pełniący funkcję centrum handlowego i kolejowego przystanku. Bogate podziemia mieszczą liczne sklepy i obiekty gastronomiczne. Na początku lat 90. Centralny stał się wielkim bazarem wypełnionym składanymi stolikami i wielojęzycznym słowiańskim gwarem. Plątanina korytarzy stanowi od początku wyzwanie dla przyjezdnych. Wspierające zabłąkanych hostessy PKP szybko niestety opuściły korytarze.

Wymyty i odnowiony na Euro 2012, Dworzec Centralny zyskał drugą młodość. 25 lipca 2019 r. został wpisany do rejestru zabytków już jako Dworzec Centralny im. Stanisława Moniuszki. W muzykalnej Warszawie Moniuszkę (dworzec kolejowy) łączy z Chopinem (port lotniczy Okęcie) szybka kolej miejska (SKM) i kilka linii autobusowych.

Warto wspomnieć, że w trakcie dyskusji programowych lat 60. ub.w. pojawiała się również dość rzeczowo uzasadniana teza, iż na linii średnicowej nie jest potrzebny dworzec, wystarczy bowiem przystanek, ponieważ wszystkie pociągi kończą bieg na innych dworcach. I tak odcinek między Warszawą Zachodnią i Warszawą Wschodnią jest tradycyjnie najbardziej obciążonym fragmentem polskiej sieci kolejowej, od którego zaczyna się coroczne projektowanie rozkładu jazdy.

FOT. NAC

eprasa.pl 914682253b

OLECHNOWICZE

PANI ELMIRA DO KOŃCA ŻYCIA NIE MOGŁA ZAPOMNIEĆ ÓWCZESNYM DECYDENTOM RZĄDU LONDYŃSKIEGO, ŻE WYSŁALI JEJ MĘŻA NA PEWNĄ ŚMIERĆ. PAN KRZYSZTOF MÓWI, ŻE MAMA WOLAŁABY NAWET NIGDY WIĘCEJ NIE WIDZIEĆ OJCA, ALE MIEĆ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE ŻYJE I JEST BEZPIECZNY

JERZY DĄBROWSKI

Antoni Olechnowicz i Elmira Korycka poznali się, studiując w Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej przy Uniwersytecie Batorego w Wilnie. Pierworodny syn państwa Olechnowiczów Krzysztof nie wie, jak to było możliwe, aby katolik ożenił się z muzułmanką.

Wspomnienia syna

Pod oficjalnym świadectwem małżeństwa rodziców z 1935 r. z kościoła św. Kazimierza w Wilnie widnieje podpis księdza proboszcza. Dla rodziców najważniejsze było to, że sobie ufali i darzyli się ogromną miłością. Koleżanki mamy mówiły, że bałyby się wyjść za mąż za Tatara, a mama śmiała się, że to właśnie w niej płynie więcej tatarskiej krwi niż w ojcu. Rodzina książąt Koryckich herbu Koryca pochodziła bowiem ze starożytnej gałęzi rodów tatarskich władców Złotej Ordy. Tuż przed wojną ojciec pani Elmiry, Józef, gospodarzył w 300-hektarowym majątku. Był niezwykle uczciwym człowiekiem – wspomina pan Krzysztof. Chłopi dawali mu nawet swoje pieniądze na przechowanie.

Po skończeniu wileńskiego uniwersytetu Antoni Olechnowicz zdecydował się na karierę wojskową. Wyjechał do Warszawy, gdzie w latach 1935–1937 był słuchaczem Wyższej Szkoły Wojennej. Pani Elmira Korycka przebywała w tym czasie w majątku swoich rodziców w Łowczycach na Wileńszczyźnie. Kiedy wybuchła wojna, a Antoni Olechnowicz walczył w kampanii wrześniowej, włościanie przez kilka tygodni chronili dwór swojego pana przed bandami koniokradów nazywanych przez nową władzę radziecką milicją ludową.

Mimo bardzo młodego wieku, w jakim był podczas wojny, pan Krzysztof pamięta nieustanne ucieczki, w których musiał uczestniczyć. Uciekali przed Niemcami, Rosjanami, Ukraińcami, Białorusinami, a po wojnie przed oficerami Urzędu Bezpieczeństwa. Ciągły strach o życie wytworzył w nim dziwne do opisania uczucie. Nawet dzisiaj, kiedy jest w nowym miejscu, podchodzi do okna i sprawdza, jakie są szanse ucieczki. Szybko zetknął się też ze śmiercią. Bardzo przeżył śmierć swojego dziadka, swego rówieśnika małego Andrzejka, syna siostry matki oraz brata ojca. W wieku 12 lat postanowił sobie, że nie będzie miał dzieci. Nie chciał dawać życia, które i tak będzie brutalnie zabrane...

Antoni Olechnowicz

eprasa.pl 914682253b

W wojsku i konspiracji

Ostatni raz widział swojego ojca, kiedy miał osiem lat. Słabo go pamięta. Ojciec zawsze przebywał poza domem. W czasie kampanii wrześniowej walczył nad Narwią i Bugiem. Po zajęciu Wilna przez wojska niemieckie był komendantem konspiracyjnego garnizonu ZWZ. Jednocześnie dla kamuflażu pracował jako sanitariusz w szpitalu zakaźnym. W kwietniu 1944 r. został dowódcą I zgrupowania AK, na czele którego wziął udział w operacji „Ostra Brama" w ramach akcji „Burza". Oddziały AK pod wodzą ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka" przy pomocy Armii Czerwonej miały oczyścić Wilno z wojsk niemieckich. Do momentu pokonania Niemców Sowieci współpracowali z Polakami, jednak potem aresztowali przywódców AK i wyłapywali naszych żołnierzy. Wcielali ich siłą do LWP, Armii Czerwonej bądź po prostu mordowali.

Płk Krzyżanowski z podległymi mu oficerami został zaproszony przez dowódcę 3 Frontu Białoruskiego gen. Iwana Czerniachowskiego. Spotkanie okazało się pułapką. Polacy zostali podstępnie aresztowani. Widząc, co się dzieje, Olechnowicz przeszedł do konspiracji. Po tym wydarzeniu zaczął ewakuować swoich żołnierzy z Wilna na tereny dzisiejszej Polski. W 1946 r. razem z mjr. Szendzielarzem „Łupaszką" i jego oddziałem chronił ludność Białostocczyzny przed terrorem NKWD i UB.

W 1947 r. przedarł się przez zieloną granicę. W Paryżu spotkał się z przedstawicielem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ppłk. Marianem Zimnalem, który kazał mu wracać do Polski. Był on bowiem przekonany, że najdalej za dwa lata wybuchnie wojna aliantów z Rosją. Pani Elmira do końca życia nie mogła zapomnieć ówczesnym decydentom rządu londyńskiego, że wysłali jej męża na pewną śmierć. Pan Krzysztof mówi, że mama wolałaby nawet nigdy więcej nie widzieć ojca, ale mieć świadomość, że żyje i jest bezpieczny.

Aresztowanie

Po powrocie do kraju Antoni Olechnowicz prowadził działalność wywiadowczą na rzecz władz emigracyjnych. W 1948 r. Urząd Bezpieczeństwa z pomocą NKWD w wyniku nadzwyczajnej łapanki aresztował 6 tys. byłych żołnierzy organizacji niepodległościowych pochodzących z Wileńszczyzny. 28 czerwca 1948 r. bezpieka zrobiła kocioł w domu Olechnowiczów. Aresztowano oboje rodziców pana Krzysztofa, mieszkanie zostało skonfiskowane. Krzysztof z młodszym, czteroletnim, bratem Józiem i babcią znalazł się w ciasnym mieszkaniu ciotki z jej dwojgiem dzieci i mężem. O procesie ojca Krzysztof dowiedział się z radia. W liście pisanym z celi śmierci Antoni Olechnowicz przepraszał swoją rodzinę, że naraził ją na olbrzymie przykrości: „Dopiero teraz odczułem, jak Was szalenie kocham i utraciłem tych, których kocham nad życie... Przepraszam, że byłem złym ojcem. Błogosławię Was. Żegnajcie...". Z kolei dziewięcioletni Krzysztof informował ojca o trudnym życiu w nowym mieszkaniu z ciotką i jej rodziną. Oba listy nigdy nie doszły do adresatów. Pan Krzysztof zobaczył je w 1990 r., po raz pierwszy po 40 latach, w teczce UB. Z koperty, w której był list od ojca, ktoś oderwał znaczek pocztowy... Widocznie wiedział, że i tak się już nie przyda.

Proszę o wypuszczenie mamusi

Był tam jeszcze jeden list Krzysztofa adresowany do prezydenta Bieruta z prośbą o wypuszczenie z więzienia mamy: „Jako mały chłopak, bo mam zaledwie dziewięć lat, zwracam się do obywatela Prezydenta jako Ojca Naszego o zwolnienie i wypuszczenie na wolność mamusi mojej Elmiry Olechnowicz, która została skazana przez Sąd Wojskowy we Wrocławiu na 5 lat więzienia i 3 lata utraty praw publicznych 10 maja 1949 r....". Prezydent Bierut nie wysłuchał prośby dziecka. Elmira Olechnowicz siedziała w więzieniu we Wrocławiu, a po wyroku przewieziono ją do Fordonu. „Mama nigdy nie poddawała się – opowiadał pan Krzysztof. – W czasie śledztwa często, na wiele godzin zamykano ją w karcerze, usiłując złamać jej hardy, tatarski charakter". Była jednocześnie kobietą o wspaniałym sercu. Potrafiła zrozumieć nawet swoich oprawców. Po powrocie do domu tłumaczyła Krzysiowi, że ubecy to też ludzie. Zbłądzili, byli młodzi, pochodzili z biednych domów. Praca w UB to był dla nich awans społeczny i możliwość zarobienia pieniędzy potrzebnych na utrzymanie rodziny. Kiedy pracowała w więziennej kuchni z panią Łukasikową, żoną innego żołnierza wyklętego, „Młota", zawsze dawała takie same porcje jedzenia młodym, co zaawansowanym stażem żołnierzom. Zjednała sobie tym sympatię szeregowców.

Elmira Olechnowicz

W więzieniu brakowało witamin i normalnego jedzenia. W ciągu pierwszego roku pobytu na wolności straciła wszystkie zęby. Dopiero po dwóch latach poszukiwań udało się jej wreszcie dostać pracę jako dozorczyni. W domu panowała straszna bieda. Pan Krzysztof wstydził się, że zazdrościł swojemu młodszemu bratu podwójnej porcji masła, którą ten dostawał na śniadanie. Do dziś pamięta dzień, kiedy odwiedził ich brat ojca, ukrywający się do 1956 r. na Mazurach, i zostawił trochę pieniędzy. Ciotka od razu kupiła pięć kurczaków.

W spisie ludności nie figuruje

Po wyjściu z więzienia mama próbowała się dowiedzieć, co się dzieje z ojcem. Domyślali się najgorszego, ale ciągle tliła się w nich nadzieja, że jakimś cudem przeżył. Z żadnego urzędu nie dostali aktu zgonu. Kiedy mama pytała o niego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie, słyszała ciągle tę samą odpowiedź: „W spisie ludności nie figuruje". Dopiero w 1990 r., kiedy pan Krzysztof po raz pierwszy zobaczył teczkę ojca, dowiedział się, że ojciec nie żyje. Został rozstrzelany w więzieniu na Mokotowie 8 lutego 1951 r. Wychodząc z celi, żegnał się ze swoimi towarzyszami niedoli, mówiąc do nich: „Czołem, panowie. Do zobaczenia w lepszym świecie". Jego ciało wrzucono do dołu na Łączce. Na podstawie pobranego od syna Józefa materiału DNA zidentyfikowano szczątki płk. Antoniego Olechnowicza. Pogrzeb odbył się w 2015 r.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE/ONS

eprasa.pl 914682253b

POLSKOŚĆ – LEK NA NAJTRUDNIEJSZE CZASY

POZNALI SIĘ WE WŁOSZECH, POBRALI W WIELKIEJ BRYTANII. ZAŁOŻYLI RODZINĘ W ARGENTYNIE, BO PO WOJNIE LOS – JAK WIELU POLAKÓW – ZMUSIŁ ICH DO TUŁACZKI PO ŚWIECIE

Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachować życie, ten straci Ojczyznę i życie; a kto opuści Ojczyznę, aby bronił Wolności narażeniem życia swego, ten obroni Ojczyznę i będzie żyć wiecznie

– Adam Mickiewicz, „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego"

BARTOSZ ŻYCIŃSKI

Losy Zygmunta i Hanny Fuglewiczów mogą być dla nas inspiracją i nadzieją, że uformowana w polskim domu dusza nigdy się nie poddaje. Gdy trzeba, jest gotowa na daninę krwi, a kiedy indziej znów na daninę potu i łez. Z walki tej wychodzi zwycięska, z podniesionym czołem.

Zygmunt Tadeusz Fuglewicz przyszedł na świat 11 stycznia 1913 r. w Stanisławowie jako pierwszy syn Rudolfa i Wandy. Szybko się okazało, że mały Mundek ma wielki talent plastyczny. Po mieczu dziedziczy także znakomity słuch muzyczny i talent wokalny. Tymczasem w 1931 r. zdaje w Stanisławowie maturę. Naturalnym wyborem studiów jest architektura – z łatwością zdaje egzaminy na Politechnikę Lwowską. Ma wybitnych profesorów rysunku, co procentuje rozwijaniem talentu, jaki ma okazję zaprezentować światu dzięki wystawom architektury lwowskiej. Jednocześnie jako konferansjer i twórca dekoracji angażuje się w teatr studencki cieszący się wielkim powodzeniem wśród mieszkańców Stanisławowa.

To aktywne, ale i spokojne życie przerywa wrzesień 1939 r., kiedy wali się cały świat. Zygmunt natychmiast angażuje się w polskie sprawy jako konspirator, na początek robiąc to, co umie najlepiej – swój talent wykorzystuje do wyrabiania fałszywych dokumentów. Nie chcąc narażać bliskich, tylko wyszukuje wciąż nowe kryjówki i często je zmienia. Jednak już w końcu października 1939 r. pada ofiarą donosu i zostaje aresztowany przez NKWD. Na szczęście Sowieci nie wiedzą nic o fałszywych dokumentach, gdyż wówczas groziłaby mu natychmiastowa śmierć. Fuglewicza czeka zsyłka i bez mała dwuletni pobyt w łagrach.

Stalinowskie piekło

System Gułag nie oszczędza mu niczego, czego nie opisze później w tak wstrząsająco dokładny sposób Sołżenicyn: wielomiesięczne podróże przeładowanymi bydlęcymi wagonami, kilkuosobowe cele, w których tłoczono po kilkudziesięciu więźniów, ciągnące się tygodniami przesłuchania, brak snu, brak jakiejkolwiek możliwości utrzymywania higieny, karcery za najmniejsze przewinienia, głodowe racje ohydnej żywności. A jednak ta sowiecka machina uśmiercania i odczłowieczania tych, którym uda się przeżyć, nie złamała Zygmunta. Nigdy nie dał się upodlić, bo nigdy nie stracił nadziei.

Atak Hitlera na ZSRR skutkuje podpisaniem 30 lipca 1941 r. polsko-sowieckiej umowy o utworzeniu armii polskiej składającej się z więzionych przez NKWD polskich żołnierzy i oficerów. Sowieci nie spieszą się jednak z otwarciem więzień. W przypadku Zygmunta są wyjątkowo opieszali, musi on czekać jeszcze siedem miesięcy na swoje zwolnienie. Wypuszczony na wolność Fuglewicz, żeby przeżyć, pracuje m.in. jako woźnica, traktorzysta, a nawet grabarz. Z Rostowa nad Donem do oddalonego niemal 3 tys. km Guzaru w Uzbeckiej SRR, gdzie jest polska placówka wojskowa, dociera 24 maja 1942 r. Dostaje przydział na stanowisko w Kwaterze Głównej, a następnie zostaje przeniesiony do Jangi-Jul i przydzielony do szwadronu przybocznego gen. Władysława Andersa, z którego uformowany zostanie później 12 Pułk Ułanów Podolskich. Okres pobytu na „nieludzkiej ziemi" kończy się dla Zygmunta wraz z drugim rzutem ewakuacyjnym wojska polskiego. Najpierw koleją dostaje się do Krasnowodzka, a następnie przeładowanym statkiem do irańskiego Pahlevi (dziś Bandar-e Aznali).

W górę pod Monte Cassino

Następne miesiące w życiu Zygmunta wypełnia realizacja zadań, jakie otrzymywała Armia Andersa na swoim szlaku. W jej szeregach w randze porucznika i jako dowódca plutonu 12 Pułku Ułanów Podolskich ląduje na początku 1944 r. we Włoszech. W szeregach brytyjskiej 8 Armii Polacy są

eprasa.pl 914682253b

szykowani do walki o Monte Cassino. Oddział Fuglewicza uczestniczy w aktywnym natarciu od 22 kwietnia aż do zdobycia twierdzy 18 maja 1944 r. W czasie walk zostaje poważnie ranny w nogę, ale nie schodzi z linii. Za postawę w czasie walk o klasztor na szczycie Monte Cassino otrzymuje order Virtuti Militari. Do końca wojny na jego piersi zawisną także: Krzyż Walecznych, Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Monte Cassino i Medal Wojska Polskiego. Zostaje awansowany do stopnia rotmistrza i bierze czynny udział w dalszych walkach Drugiego Korpusu na ziemi włoskiej. W odtworzonym w tym czasie 7 Pułku Ułanów Lubelskich Fuglewicz zostaje dowódcą pierwszego szwadronu.

W maju 1945 r. kończy się wojna. Za pośrednictwem rzymskich zakonników trafia w ręce Zygmunta list od ojca, który informuje go o szczęśliwym zachowaniu życia przez rodziców i rodzeństwo, ale też odradza powrót do Polski rządzonej już przez sowieckich nominatów. Fuglewicz zostaje we Włoszech, a owocem tego czasu jest poznanie Hanny Baranowskiej, z którą spędzi resztę życia.

Fuglewiczowie we Włoszech

Utracił ojczyznę, znalazł żonę

Hanna Eulalia Baranowska, młodsza od Zygmunta 14 lat, urodziła się 16 lipca 1927 r. w Warszawie. Mimo młodego wieku ma już za sobą doświadczenie bojowe, jakim był udział w powstaniu warszawskim. Po jego upadku trafia do niemieckiej niewoli, do grudnia 1944 r. przebywa w Stalagu X B Sandbostel, a następnie w Stalagu IV C Oberlangen, który zostaje wyzwolony przez żołnierzy gen. Maczka. Po odzyskaniu wolności Hanna wyjeżdża do Włoch, by zasilić szeregi Drugiego Korpusu. Zygmunta poznaje dzięki przydziałowi do pracy w świetlicy dla żołnierzy 3 Dywizji Strzelców Karpackich, w której skład wchodzi także jego pułk.

Chociaż serca obojga rwą się do siebie, muszą jako czynni żołnierze podporządkować się rozkazom, co oznacza bolesną rozłąkę już na początku miłosnej historii. Zygmunt jako pierwszy zostaje przeniesiony do Wielkiej Brytanii, a Hanna trafia tam dopiero po likwidacji sił Drugiego Korpusu na ziemi włoskiej. Upragniony dla obojga dzień następuje 23 listopada 1946 r., kiedy w kościele pw. św. Edmunda w Bury zostają małżeństwem. Po ślubie Hanna decyduje się na demobilizację, by móc mieszkać wspólnie z mężem w Livermere Camp, który jest miejscem stacjonowania 7 Pułku Ułanów Lubelskich.

W tym czasie rząd brytyjski daje jeszcze Polakom możliwość dwuletniego pozostania w wojsku i podjęcia kursów zawodowych przygotowujących do podjęcia pracy po demobilizacji. Zygmunt decyduje się na kurs złotniczy w Szkocji, który zalicza z takim powodzeniem, że zostaje natychmiast zaangażowany jako instruktor do następnych kursów. Otrzymuje też świadectwo majstra i angielskie zezwolenia na pracę w zawodzie.

(Nie)gościnna wyspa

22 października 1947 r. na świat przychodzi pierwsza córka pary, Barbara. Ze Szkocji trzyosobowa rodzina trafia do Walii, gdzie Zygmunt aż do 1949 r. ma kontrakt na prowadzenie kolejnych kursów złotniczych. Po zakończeniu zlecenia rodzina Fuglewiczów wynajmuje mieszkanie w Londynie, Zygmunt występuje z wojska i podejmuje próbę ułożenia życia w cywilu. Zgłasza się do pobliskiego sklepu jubilerskiego, gdzie początkowo nieufny właściciel zleca mu naprawę taniej biżuterii. Anglik szybko się orientuje, że trafił mu się wybitny fachowiec, a przy tym człowiek na wskroś uczciwy i sumienny.

Jednak sytuacja w Anglii staje się coraz trudniejsza. Podnoszący się z wojennej zapaści Brytyjczycy okazują już niemal otwartą niechęć cudzoziemcom, a rząd brytyjski zachęca polskich żołnierzy do wyjazdu do Kanady, Australii lub któregoś z krajów Ameryki Południowej. Hanna obawia się, że w związku z ryzykiem wybuchu III wojny światowej mąż zostanie zmobilizowany, tymczasem ona spodziewa się drugiego dziecka. Wreszcie Zygmunt ulega namowom żony i 7 sierpnia 1949 r. wysiadają w porcie w Buenos Aires, w kraju, który zostanie ich drugą ojczyzną już do końca życia.

Trudne początki

Start za oceanem był dla Zygmunta i Hanny Fuglewiczów kolejnym wielkim życiowym wyzwaniem. Aby opisać argentyńskie losy rodziny, nawiązałem kontakt z ich pierworodną córką Barbarą, która perfekcyjnie posługuje się językiem przodków. W przypomnieniu sobie najwcześniejszych lat w Argentynie pomogły jej kroniki, które prowadziła jej mama Hanna.

– Początek nie był łatwy: nieznany kraj, nieznany język, ogromne trudności w wynajmie mieszkań, których brakowało na skutek nieustającego od trzech lat napływu emigrantów różnych narodowości, uciekających ze zniszczonej wojną Europy. Na początku rodzice zatrzymali się w pensjonacie, gdzie mieszkali już koledzy pułkowi taty. Tata radził sobie z językiem włoskim, więc swoją pierwszą pracę dostał w warsztacie złotniczym należącym do włoskiej rodziny.

Fachowość Zygmunta Fuglewicza została bardzo szybko dostrzeżona przez włoskich właścicieli. – Ci Włosi byli także znakomitymi fachowcami, »

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

eprasa.pl 914682253b

» ale nie mieli wizji rozwoju swojego interesu. Tymczasem tata malował katalogi z nowymi modelami biżuterii, które bardzo szybko zdobyły uznanie klientów. Włosi, widząc to, zaproponowali tacie spółkę i tak firma wypłynęła na szersze wody, a nasza sytuacja materialna nieco się poprawiła i przeprowadziliśmy się do większego mieszkania.

8 grudnia 1949 r. na świat przychodzi siostra pani Barbary. Dla rodziny to wielkie szczęście, ale też okres bardzo trudny. W Argentynie trwa dyktatura prezydenta Juana Perona, wzrastają niepokoje polityczne, a jednocześnie przedsiębiorców dławi galopująca inflacja. Spadek wartości pieniądza przy jednoczesnym wywindowaniu kursu złota sprawia, że złotnicza spółka staje na progu katastrofy finansowej. Ta sytuacja nie załamuje jednak Zygmunta. Wycofuje się ze spółki złotniczej i uwagę kieruje na rozwijający się rynek wyrobów z plastiku. Zamawia małą ręczną maszynkę do produkcji i tworzy pierwsze wzory. Pracuje po 14 godzin na dobę, ale ogromne poświęcenie pomału zaczyna dawać wyniki i firma przynosi coraz lepsze rezultaty.

Babcia na pomoc

Z chwilowej odwilży po śmierci Stalina korzysta mama Hanny – Maria Baranowska, która w 1955 r. dostaje paszport i zezwolenie na wyjazd z Polski do Argentyny.

– Babcia zawsze mawiała o tacie: nas kobiet cztery, a on biedny jeden – wspomina pani Barbara. – Po przyjeździe babcia od razu energicznie zajęła się domem i tym samym mama mogła wreszcie wspomóc trochę tatę w pracy.

W tym samym 1955 r. w Argentynie wybucha rewolucja, która obala Perona. Władzę obejmują wojskowi, starając się przywrócić w kraju porządek, ale nie umieją uzdrowić ekonomii. – Na przestrzeni tych lat w Argentynie było wiele rewolucji, były wzloty i upadki, jeśli chodzi o stronę materialną, ale na szczęście nigdy nie miało to żadnego wpływu na jedność naszej rodziny. Moja siostra i ja należałyśmy do harcerstwa polskiego, jeździłyśmy na harcerskie obozy letnie, znamy dobrze język polski w mowie i piśmie, jak również polską historię – mówi pani Barbara.

Lata 60. przynoszą rozkwit firmy Vinisol państwa Fuglewiczów, która staje się rozpoznawalna na rynku. Jednocześnie Hanna i Zygmunt bardzo mocno angażują się w życie argentyńskiej Polonii. W 1980 r. do chóru im. Fryderyka Chopina jako tenor dołączył Zygmunt, wykorzystując wreszcie ujawniony już w dzieciństwie talent muzyczny, a Hanna śpiewała w nim sopranem. Oboje występowali tam przez 10 lat.

Zygmunt Tadeusz Fuglewicz

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Hanna Baranowska, późniejsza Fuglewicz, była łączniczką podczas powstania warszawskiego

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

7 PUŁK UŁANÓW LUBELSKICH
im. Gen. K. Sosnkowskiego.

ZAŚWIADCZENIE.

Stopień Porucznik
Nazwisko i imiona Fuglewicz Zygmunt
Rocznik i nr. ewid. 1943/101/m
Uprawniony jest do noszenia odznaczeń:
1) „Virtuti Militari V klasy" – nadane rozk. Pers. 2 Korb. Nr 97/44
2) „Krzyż Walecznych po raz I" – rozk. dzienny 12 P.Uł.P. Nr 144/44
3) „Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami" – rozk. Pers. 2 Korb. Nr 151/45
4) „Medal Wojska Polskiego 1939-45" po raz I – rozk. Pers. 2 Korb. Nr 165/46
5) „Gwiazda Italii" i „Gwiazda za Wojnę 1939-45" – nadane ogłoszono rozkazem dziennym 7 P.Uł. dat. Nr 277/45
6) „War Medal" – rozkaz dzienny 7 P.Uł. dat. Nr 257/46
Miejsce, dnia 20 grudnia 1946 r.
Dowódca Pułku
Mokrzycki Bronisław
Ppłk. dypl.

Z Polonii. W 1980 r. do chóru im. Fryderyka Chopina jako tenor dołączył Zygmunt, wykorzystując wreszcie ujawniony już w dzieciństwie talent muzyczny, a Hanna śpiewała w nim sopranem. Oboje występowali tam przez 10 lat.

Polskość siłą rodziny

Od 1975 r. Zygmunt zaczyna rozmyślać o sprzedaży firmy. Argentyna znów płonie wzięta w kleszcze przez komunistów z jednej i nacjonalistów z drugiej strony. Zamiar sprzedaży materializuje się dopiero w 1980 r., a rok później Zygmunt i Hanna przyjeżdżają na Wielkanoc do Polski. Hanna może wreszcie oprowadzić męża po miejscach, w których walczyła w powstaniu.

– Lata 80. były okresem, który wynagrodził rodzicom długie lata ciężkiej pracy. Cieszyli się życiem, spędzając czas z wnuczkami, córkami i zięciami, którzy scalili się z naszą rodziną, przyjęli bez protestu zwyczaje i tradycje polskie, np. te związane ze świętami – mówi Barbara.

Zygmunt umiera 7 listopada 1992 r. Hanna – 4 stycznia 2018 r., wcześniej dwukrotnie odwiedzając Polskę.

– Ja byłam w Polsce już osiem razy, moje córki też już odwiedziły kraj przodków – nie kryje dumy ze swojego pochodzenia, a przede wszystkim ze swoich rodziców, Barbara.

eprasa.pl 914682253b

Uroczystość w Mońkach diecezjalnego przyjęcia kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej do archidiecezji wileńskiej z diecezji łomżyńskiej. Pośrodku stoi arcybiskup metropolita wrocławski, kard. Henryk Gulbinowicz, 16 sierpnia 1987 r.

FOT. NAC

NIE TAKI ANTYKOMUNISTA...

ROZMOWY SB Z BP. HENRYKIEM GULBINOWICZEM, cz. III: 1976–1985

RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań Historycznych IPN

W OCENIE SAMYCH ESBEKÓW UMIARKOWANA I „REALISTYCZNA" POSTAWA ARCYBISKUPA ZMIENIŁA SIĘ PO WYDARZENIACH SIERPNIOWYCH

Dwa spotkania po nominacji: 1976–1977

Dwie pierwsze rozmowy po objęciu przez abp. Gulbinowicza funkcji metropolity wrocławskiego – w październiku 1976 r. oraz styczniu kolejnego roku – zdominowała kwestia rewizyty hierarchy u gen. Straszewskiego w Warszawie (o czym była już mowa). W czasie październikowej rozmowy ppłk Czesław Wiejak podejmował także problematykę aktualnej sytuacji społeczno-politycznej i sytuacji w archidiecezji wrocławskiej. Hierarcha powtarzał swoje deklaracje z okresu białostockiego o chęci współdziałania i bezkonfliktowego ułożenia stosunków z władzami. Prosił także o interwencję w sprawie budowy kościołów, m.in. na osiedlu Legnicka we Wrocławiu i w trzech miejscowościach »

eprasa.pl 914682253b

» w woj. jeleniogórskim. W styczniu 1977 r. abp Gulbinowicz, odnosząc się do kwestii budownictwa sakralnego w archidiecezji, zadeklarował, że najważniejsza dla niego jest budowa kościoła na osiedlu Legnicka i gotów jest dla jej realizacji zrezygnować ze wszystkich pozostałych postulatów. Zaznaczył także, że „jeśli mu w tym nie pomożemy, to dalsze kontakty z nami będzie uważał ze bezcelowe. Co prawda żartem, ale dodał, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu, gdyż nie wie, co odpowiadać ludziom /starania trwają od 10 lat/ i chyba wypadnie mu działać nielegalnie wbrew prawu".

Dialog interwencyjny

Po spotkaniu z kwietnia 1977 r. nastąpiła dwuletnia przerwa w kontaktach. W analizowanej dokumentacji brakuje informacji wskazującej, czym była ona spowodowana. Następna rozmowa – z 19 października 1979 r. – miała wyraźnie interwencyjny charakter i była, jak się wydaje, dość krótka. Wiejak podjął w niej tematy organizacji tygodnia kultury chrześcijańskiej we Wrocławiu i udziału w nim osób związanych z opozycją, takich jak: Stefan Kisielewski, o. Jacek Salij czy Maciej Rayzacher. Esbek wskazywał, że mogą oni wykorzystać wspomnianą okoliczność do „szkodliwej działalności politycznej, a ich postawy są przecież znane". W odpowiedzi abp Gulbinowicz stwierdził, że władze ulegają donosom, a w poprzednim roku impreza miała spokojny przebieg i analogicznie będzie w tym roku. Podkreślił także, że lepiej, by coś się działo oficjalnie, niż „ma iść w podziemie". Hierarcha w czasie spotkania wskazał, że archidiecezja jest szykanowana, gdyż nie dostał w ostatnim okresie zezwoleń na budowę kościołów w żadnym z sześciu województw wchodzących w jej skład.

Z punktu widzenia bezpieki równie mało efektywne było kolejne spotkanie, do którego doszło dopiero ponad półtora roku później. W czasie rozmowy z sierpnia 1981 r. abp Gulbinowicz krytykował działalność propagandy władz mówiącej stale, że „jest źle, będzie gorzej", wskazywał także, że społeczeństwa nie można ciągle straszyć interwencją sowiecką. Równocześnie jednak metropolita stwierdził, że nie rozumie sensu manifestacji Solidarności regionu Mazowsze, i uważał, że jej działacze „chcieli się po prostu popisać, by było o nich równie głośno, jak o Wybrzeżu czy Śląsku". W podsumowaniu hierarcha zauważył: „Władze muszą przyjąć do wiadomości, że Solidarność nie będzie wszystkiego akceptować, że będzie wysuwać swoje racje i bronić ich". Wspomniana opinia była dość charakterystyczna dla metropolity wrocławskiego, który uważał, że nowy związek zawodowy powinien się stać trwałym elementem rzeczywistości społeczno-politycznej PRL.

Pogorszenie atmosfery

W lutym 1982 r. z abp. Gulbinowiczem spotkał się szef SB we Wrocławiu płk Czesław Błażejewski. W czasie rozmowy omawiano dwie zasadnicze kwestie: sytuacji społeczno-politycznej oraz stosunku Kościoła do wydarzeń z początku stanu wojennego. Błażejewski miał za zadanie „doprowadzić do świadomości ordynariusza" kilka kluczowych dla władz myśli. Wśród nich na pierwszy plan wysuwało się włączenie Kościoła do działań na rzecz stabilizacji sytuacji w kraju. Po drugie, wskazanie, że „poglądy o potrzebie reaktywowania Solidarności w wydaniu sprzed 13 grudnia są szkodliwą utopią". Kolejnym celem było zwrócenie uwagi na teatralny katolicyzm, „z jakim obnosił się Wałęsa", a który „był rezultatem manipulacji jego doradców, którzy wykorzystując w ten sposób autorytet moralny Kościoła, zbijali kapitał polityczny". Abp Gulbinowicz na tak przedstawione kwestie odpowiedział, że Kościołowi, tak jak i władzom, zależy na tym, by stabilizację przyspieszyć, ale „nie wszystko od niego zależy". Metropolita wrocławski zaprzeczył także opiniom, że kuria sprzeciwia się stabilizacji sytuacji społecznej, oraz zaznaczył, że pojedyncze sytuacje nieprzyjaznych kazań wynikają z dwóch czynników. Po pierwsze, „księża wiedzą o tym, że wielu ludzi przychodzi do Kościoła, aby usłyszeć krytyczne uwagi pod adresem władz i jeśli od czasu do czasu tego nie uczynią, wówczas wpływają na nich donosy do kurii i biskupów, że kolaborują z UB. Nie chcąc narażać się na takie podejrzenia, muszą nieraz »wsadzić wam szpilkę – tak samo jak i mnie zdarzy się w stosunku do was«". Po drugie, „nie wszyscy księża są zdyscyplinowani /»tak jak i panie pułkowniku – pańscy oficerowie«/". Równocześnie abp Gulbinowicz dodawał, że tego typu cykl kazań nie będzie kontynuowany. Odnosząc się zaś do oskarżeń pod adresem ks. Gustawa Tyburczego, zapewniał, że było to działanie bez jego udziału, nie miał na ten temat wiedzy, i „Jeżeli fakt rzeczywiście miał miejsce, »upoważniam osobiście SB« do przeprowadzenia rozmowy z delikwentem". Metropolita dodawał, że Kościół wszystkim potrzebującym udziela pomocy, ale w żadnym razie nie daje wskazówek do działalności opozycyjnej. Ponadto, jak zaznaczał Błażejewski we wnioskach, abp Gulbinowicz dawał do zrozumienia, że „dialog na tym szczeblu może być kontynuowany, a nawet aluzyjnie do tego zachęcał".

W marcu 1983 r. odbyło się kolejne spotkanie, tym razem jednak przebiegało w o wiele mniej przyjaznej atmosferze, gdyż dotyczyło kwestii przechowywania przez metropolitę wrocławskiego środków finansowych dolnośląskiej Solidarności. Abp Gulbinowicz w czasie rozmowy zdecydowanie zaprzeczał, jakoby sławne 80 mln znajdowało się w pałacu arcybiskupim. Szef SB we Wrocławiu przedstawił jako pośredni dowód pokwitowanie wystawione przez hierarchę opiewające na 10 mln zł, które w 1981 r. metropolita wrocławski przyjął od Solidarności. Hierarcha stwierdził, że była to pożyczka na budowę kościoła, którą pożyczkodawcom osobiście zwróci. Czesław Błażejewski w raporcie skierowanym do ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka zaznaczył, że ordynariusz „odmówił pisemnego sformułowania przytoczonych wyżej wyjaśnień, wyraził jednak gotowość zaprotokołowania ich w oficjalnym postępowaniu, powadzonym przez upoważniony organ państwowy. [...] W czasie rozmowy na powyższy temat arcybiskup sprawiał wrażenie zaskoczonego i nieprzygotowanego do składania wyjaśnień w tym względzie". W dalszej części dokumentu szef SB we Wrocławiu sugerował, że należałoby podjąć działania rewindykacyjne wobec wspomnianych 10 mln, a nawet by prokuratura wezwała abp. Gulbinowicza do złożenia wyjaśnień. Czesław Kiszczak nie przyjął tego typu sugestii, gdyż oznaczałoby to otwarty konflikt z episkopatem.

Niewątpliwie opisane wyżej spotkanie znacząco pogorszyło kontakty aparatu bezpieczeństwa z metropolitą wrocławskim. W związku z tym uznano za konieczne, żeby z abp. Gulbinowiczem spotkał się funkcjonariusz, który pierwszy nawiązał z nim kontakt. Do rozmowy z ppłk. Majem doszło 3 czerwca 1983 r., a więc krótko przed rozpoczęciem drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny. Głównym zadaniem oficera Departamentu IV MSW było przekonanie me-

eprasa.pl 914682253b

tropolity, by wrocławski etap papieskiej wizyty odbył się bez „politycznych" akcentów i we współpracy z władzami wojewódzkimi. Abp Gulbinowicz zadeklarował, że zrobi wszystko, by spotkanie z papieżem we Wrocławiu przebiegało „spokojnie i uroczyście". Wydaje się, że wspomniana rozmowa na tyle poprawiła stosunek abp. Gulbinowicza do przedstawicieli MSW, że kolejny raz spotkał się z płk. Błażejewskim, w czerwcu 1984 r. Dyrektor Departamentu IV gen. Zenon Płatek rozmowę ocenił pozytywnie, gdyż poruszono „wszystkie interesujące nas problemy, i co należy podkreślić, wszystkie one w zasadzie – za wyjątkiem sprawy 10 milionów złotych – zostały wyjaśnione z korzyścią dla nas".

Ostatnie spotkanie

Kontakty hierarchy z funkcjonariuszami MSW, jak wynika z dokumentacji, zakończyły się ostatecznie w październiku 1985 r. Kard. Gulbinowicz prawdopodobnie uznał już wtedy, że nie osiągnie z nich żadnych dla siebie korzyści. Ze względu na nominację kardynalską uważał prawdopodobnie, że jego rozmówcy to już zbyt niska dla niego ranga. Świadczy o tym wyraźnie ostatnie spotkanie z ppłk. Majem. Już w rozmowie telefonicznej, w czasie której umawiano termin spotkania, metropolita wrocławski „»nie wykazał zachwytu«, jak to było w poprzednich rozmowach". Maj w czasie rozmowy planował poruszenie m.in. tematu „nadaktywności" kard. Gulbinowicza w organizowaniu duszpasterstw specjalistycznych czy wyrażenie zdziwienia, że hierarcha jest kreowany przez niektóre zachodnie środki przekazu na przywódcę duchowego opozycji politycznej w Polsce. Rozmowa z metropolitą przeprowadzona 10 października daleko jednak odbiegała od założeń przyjętych przez funkcjonariusza Departamentu IV MSW. Już na jej wstępie kard. Gulbinowicz zapytał ppłk. Maja o delegację na piśmie od jego przełożonych i zażądał, by w czasie kolejnego spotkania takową posiadał. W dalszej części rozmowy hierarcha krytykował również działania aparatu bezpieczeństwa związane z wezwaniem dziekanów archidiecezji wrocławskiej przez kierownika WdsW. Hierarcha wysuwał też pretensje pod adresem działań płk. Błażejewskiego oraz zdecydowanie odcinał się od opinii, że jest duchowym przywódcą opozycji politycznej. Sugerował także, że władze powinny się zająć przede wszystkim kwestią długów i wyprowadzenia gospodarki z kryzysu. Wnioski ppłk. Maja z rozmowy jasno pokazują, że kard. Gulbinowicz chciał uciąć kontakty z aparatem bezpieczeństwa:

„1. »Henryk« w moim przekonaniu chce unikać kontaktów typu operacyjnego, gdyż mają one posmak konfidencjonalny.

2. Na skutek 15-letniej znajomości między nami, jak dotychczas »Henryk« nie zdobył się na postawienie przede mną tej sprawy wręcz. Jednak jego pytanie czy mam delegację do rozmów z nim i kogo reprezentuję, wskazują, iż w dalszych kontaktach przedstawicieli władz z nim pragnąłby mieć partnera politycznego mogącego podejmować decyzję w sprawach o szerokim wymiarze, a nawet w kwestiach polityki [...].

3. W związku z powyższym proponuję rozważenie celowości doboru osoby ze szczebla centralnego administracji państwowej jako rozmówcy z »Henrykiem«".

W DALSZEJ CZĘŚCI ROZMOWY HIERARCHA KRYTYKOWAŁ RÓWNIEŻ DZIAŁANIA APARATU BEZPIECZEŃSTWA ZWIĄZANE Z WEZWANIEM DZIEKANÓW ARCHIDIECEZJI WROCŁAWSKIEJ PRZEZ KIEROWNIKA WYDZIAŁU DS. WYZNAŃ

Podsumowanie i ocena

Oceniając relacje z SB biskupa, arcybiskupa, a następnie kardynała Gulbinowicza, należy mieć na względzie, że we własnym przekonaniu podejmował on swego rodzaju grę z aparatem bezpieczeństwa. Był przekonany, że uda mu się przechytrzyć funkcjonariuszy bezpieki i uzyskać określone korzyści dla diecezji, którymi zarządzał. Rozmowy te były cenne dla aparatu bezpieczeństwa, o czym świadczy wyraźnie ranga kontaktujących się z hierarchą funkcjonariuszy (a szczególnie co najmniej cztery rozmowy z dyrektorem Departamentu IV MSW), zastrzeżenie dokumentów z teczki ktw na 10 lat oraz oceny formułowane przez oficerów.

Dokumentacja z rozmów SB z kard. Gulbinowiczem jasno pokazuje, że obraz tego hierarchy, jaki wyłania się z poprzednich publikacji, łączony z postawą zdecydowanie antykomunistyczną, jest dalece niepełny i nieprawdziwy. Nie tylko bowiem utrzymywał on przez 16 lat tajne kontakty z wysokimi rangą funkcjonariuszami SB, ukrywając je przed episkopatem (czyniąc to, w pełni zdawał sobie sprawę, z kim prowadzi dialog), lecz również jego postawa wobec władz była ugodowa i pełna chęci do współdziałania. O wiele bliższa prawdy jest charakterystyka abp. Gulbinowicza przygotowana w 1984 r. przez Urząd ds. Wyznań, gdzie oceniano: „Jako rządca diecezji jest niejednoznaczny. Dotychczas nie przeprowadził istotnych zmian personalnych i strukturalnych. Nawet w sprawach małej wagi nie podejmuje jednoosobowo decyzji. Przy występujących różnicach zdań nie zajmuje stanowiska i zawiesza bieg sprawy. Do wydarzeń sierpniowych w 1980 r. oceniany był przez wojewódzkie władze administracyjne jako umiarkowany, dość realistycznie myślący ordynariusz. Tuż po wydarzeniach sierpniowych w oficjalnych wystąpieniach do duchowieństwa, a także w kazaniach włączył nurt totalnej krytyki partii i rządu oraz naszych sojuszy. Szczególną sympatią darzył za to Solidarność, także w wydaniu ekstremalnych działaczy. Okazał także swój krytyczny stosunek do wprowadzenia stanu wojennego. Wspierał materialnie i moralnie internowanych oraz ich rodziny. Nie ograniczał działalności politycznej podległego mu kleru. Po zawieszeniu stanu wojennego, szczególnie po jego zniesieniu, jego stanowisko polityczne nie wyraża się wprost".

Poprzednie dwa odcinki materiału dr. Rafała Łatki opublikowaliśmy w „wSieci Historii" nr 9-10/2020 i nr 01-02/2021

eprasa.pl 914682253b

CYKLICZNE LEKCJE DLA POKOLEŃ

Słownik biograficzny polskiego katolicyzmu społecznego i polskiego obozu narodowego

PIERWSZE TYGODNIE 2021 r. PRZYNIOSŁY NOWOŚĆ WYDAWNICZĄ – NIEZBĘDNIK KAŻDEGO KONSERWATYSTY, PATRIOTY, NARODOWCA, KATOLIKA, HISTORYKA I MIŁOŚNIKA HISTORII POLSKI WYDANY STARANIEM INSTYTUTU DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ IM. ROMANA DMOWSKIEGO I IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO

Deklaracja

My, naukowcy i my, czytelnicy czekamy na kontynuację wydawniczą obu słowników. Wszak nasz Mistrz Roman Dmowski w liście do prałata Józefa Prądzyńskiego tak pisał 13 lutego 1934 r.: „[...] zlikwidować obozu narodowego nikt nie zdoła: nie jest on wyrazem ani jakiejś doktryny, ani jakichś partykularnych interesów; wyrasta on z istoty narodu, jest organizacją narodowego ducha i gdy naród żyje, on zginąć nie może. Może on tylko nie stanąć na wysokości swych zadań, gdy zgłupieje i gdy go zaprzątać będą wewnętrzne rozterki".

MARTA CYWIŃSKA

Pierwsze tomy „Słownika biograficznego polskiego obozu narodowego" oraz „Słownika biograficznego polskiego katolicyzmu społecznego" to jedynie początek długofalowego zamierzenia, a odzwierciedla on nie tylko profil naukowy Instytutu, lecz także misję, do której został powołany. Polska polityka pamięci w połączeniu z wymiarem naukowym dzieła, popularyzatorskim i wychowawczym, czyni oba tomy wyjątkowymi na skalę europejską, a może nawet światową. Nasze dziedzictwo, dzieło i postacie związane z myślą narodową oraz chrześcijańską były pomijane, deprecjonowane, ośmieszane oraz wreszcie miały na zawsze zostać wykreślone ze świadomości Polaków. Według zamierzeń dyrektora IDMN prof. dr. hab. Jana Żaryna seria ma liczyć w sumie 14 tomów wydawanych w latach 2021–2023.

W stronę polskiego katolicyzmu społecznego

Pierwszy tom „Słownika biograficznego polskiego katolicyzmu społecznego", wydany staraniem IDMN i wydawnictwa Neriton pod redakcją dr. hab. Rafała Łatki, składa się z 60 biogramów najważniejszych postaci – nie tylko znanych, ale i często zapomnianych.

We wstępie prof. Rafał Łatka pisze: „Fenomen polskiego katolicyzmu nie doczekał się dotychczas wystarczającego zainteresowania badaczy dziejów naszej ojczyzny. Brakuje monografii ujmującej

eprasa.pl 914682253b

to zagadnienie w całościowy sposób, zaś prace o charakterze cząstkowym są dalece niewystarczające, by wspomniane zjawisko dobrze zrozumieć. Z tego względu wymaga ono pogłębienia, przybliżenia, a następnie spopularyzowania jego wybitnych przedstawicieli w społeczeństwie i w sferze publicznej. Temu celowi służy publikacja, którą przekazujemy do rąk Czytelników" (strona XI).

W pierwszym tomie słownika znalazły się biogramy nie tylko osób duchownych czy naukowców, ale także polityków, wojskowych, dziennikarzy oraz społeczników. Hasła biograficzne dotyczą postaci urodzonych w połowie XIX w. aż do naszych czasów. Okres aktywności niektórych przypadał na I wojnę światową, innych zaś zakiełkował w II Rzeczypospolitej czy dopiero podczas II wojny światowej. Łączyła ich jednak działalność w różnych miejscach Polski, a także na terenach Ziem Zabranych czy w środowiskach emigracyjnych.

Najbardziej znaczące postacie mają najobszerniejsze biogramy. Wśród nich wymienić należy prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego czy Ignacego Jana Paderewskiego. Każdy biogram zwieńczony jest szczegółową bibliografią obejmującą archiwalia, źródła publikowane, relacje publikowane, publikacje prasowe, opracowania, hasła słownikowe oraz w niektórych przypadkach relacje ustne.

Recenzentami tomu I byli: prof. dr hab. Tadeusz Wolsza oraz ks. prof. dr hab. Zygmunt Zieliński.

W stronę polskiego obozu narodowego

„Słownik biograficzny polskiego obozu narodowego" jest drugim wydawniczym zamierzeniem długofalowym, odzwierciadlającym misję, do której Instytut został powołany. Ów słownik wpisuje się w zamysł serii tomów biograficznych osadzonych w dziejach polskiego Ruchu Narodowego. Sylwetki prezentowanych tu działaczy, naukowców, pedagogów, publicystów, bojowników, osób duchownych stanowią wykładnię całej złożoności idei narodowej oraz jej etosu paseistycznego. Ów tom pokazuje, że nie wszyscy czerpali jedynie z myśli Romana Dmowskiego, lecz za główny cel stawiali sobie odbudowę, umocnienie tożsamości narodowej w różnych wymiarach, łącząc ideę z romantycznym duchem i pozytywistycznym kultem pracy u podstaw.

W niniejszym tomie znalazł się m.in. biogram Ernesta Konrada Adama, finansisty i społecznika (1868–1926) zaangażowanego w pracę nad odbudową Lwowskiej Ligi Narodowej. Swoje miejsce znalazł też Zygmunt Balicki, jeden z założycieli i twórców myśli politycznej Obozu Wszechpolskiego (1858–1916). Przywrócona została pamięć o Włodzimierzu Bilanie (1903–1951), działaczu Ruchu Młodych OWP, a także o Stanisławie Cywińskim (1888–1941), słynnym norwidologu i filozofie. Swoje miejsce w słowniku otrzymali Adam Doboszyński (1904–1949), ale także Karol Stefan Frycz (1910–1942), prawnik i publicysta, Tadeusz Stefan Gajcy (1922–1944), żołnierz AK, poeta i dramaturg, Maria Holder-Eggerowa, działaczka NOK, posłanka na Sejm RP (1875–1941), Bożysław Antoni Kurowski (1911–2006), działacz społeczny i emigracyjny, Kazimierz Lutosławski (1880–1924), duchowny rzymskokatolicki, poseł i publicysta, Jan Salamucha, ksiądz profesor (1903–1944), jeden z liderów Organizacji Polskiej, a także Wojciech Józef Wasiutyński, publicysta, prawnik i działacz społeczny.

Tom pierwszy „Słownika biograficznego polskiego obozu narodowego" pod redakcją dr. Krzysztofa Kawęckiego został przygotowany z ogromną starannością. Każdy biogram zawiera odniesienia do archiwaliów, relacji publikowanych, haseł słownikowych, opracowań oraz w wielu przypadkach do odniesień internetowych. Autorzy haseł tomu pierwszego pochodzą z różnych środowisk akademickich, naukowych, muzealnych oraz społecznych.

Recenzentami tomu byli profesorowie Krzysztof Kawalec oraz Tadeusz Rutkowski.

W skład Rady Programowej pierwszych tomów serii wydawniczej słowników weszli: prof. dr hab. Krzysztof Kawalec, prof. dr hab. Grzegorz Kucharczyk, prof. dr hab. Wojciech Roszkowski, dr hab. Tadeusz Rutkowski, dr hab. Paweł Skibiński, dr hab. Wojciech Turek, prof. dr hab. Tomasz Wituch, prof. dr hab. Tadeusz Wolsza, ks. dr hab. Dominik Zamiatała prof. UKSW, ks. prof. dr hab. Zygmunt Zieliński, prof. dr hab. Jan Żaryn – przewodniczący. Autorami biogramów są wybitni znawcy przedmiotu, a także młodsze pokolenia badaczy zafascynowanych dorobkiem obozu narodowego i katolicyzmu społecznego.

Oba tomy zostały zaopatrzone w słowo wstępne prezydenta RP oraz ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Prezydent Andrzej Duda w przedmowie do tomu poświęconego idei narodowej zwrócił się do czytelników, przypominając najwybitniejszych mężów stanu, dowódców wojskowych oraz ojców niepodległości. Odwołał się także do pamięci narodowej, sztafety dziejowej, której ogniwa tworzą: generacja Polski Walczącej, uczestnicy powojennego oporu przeciw komunizmowi oraz działacze opozycji demokratycznej, a „wreszcie i my, współcześni, którzy budujemy dzisiejszą Niepodległą". Podkreślił, iż idea obozu wywarła istotny wpływ na oblicze nowoczesnego polskiego społeczeństwa: „Obóz polityczny, do którego założycieli i głównych liderów należał jeden z ojców Niepodległej, Roman Dmowski, czerpiąc z tradycji i dziedzictwa, zarazem dążył do modernizacji, pragnąc wzmocnić jedność narodu i uwolnić potencjał potrzebny do mierzenia się z wyzwaniami naszych czasów. Dlatego też narodowcy byli ze szczególną zaciekłością zwalczani przez okupantów niemieckich i Sowietów, a po II wojnie światowej przez reżim narzucony z Moskwy" (s. V).

eprasa.pl 914682253b

PUBLICZNE INSTYTUCJE, KTÓRE MOGĄ SIĘ CHWALIĆ WIELOLETNIĄ, NIEPRZERWANĄ DZIAŁALNOŚCIĄ, NIE SĄ W POLSCE CZĘSTYMI PRZYPADKAMI. OCZYWIŚCIE JEST TO ZWIĄZANE Z TRUDNĄ HISTORIĄ NASZEGO NARODU, KTÓREMU OD CZASÓW ROZBIORÓW RAZ PO RAZ ODMAWIANO PRAWA DO SAMOSTANOWIENIA LUB NAWET ISTNIENIA

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego

DOM DZIECKA IM. KS. GABRIELA PIOTRA BAUDOUINA

RAFAŁ KOWALCZYK

Ks. Gabriel Piotr Baudouin (1689–1768)

Istnieje jednak w Warszawie pewna placówka, Dom Dziecka im. Ks. Baudouina, która pomimo rozbiorów, wojen i powstań funkcjonuje bez przerwy od niemalże 300 lat.

Misjonarz z Francji

Historia najstarszego, działającego w Polsce domu dziecka sięga 1717 r. Wtedy właśnie przybył z Francji do Warszawy Gabriel Piotr Baudouin, katolicki kapłan należący do Zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego à Paulo. Gabriel Piotr Baudouin zamieszkał przy kościele św. Krzyża, gdzie rozpoczął działalność duszpasterską i charytatywną, opiekując się chorymi, nędzarzami, a w szczególności porzuconymi i osieroconymi dziećmi. Wkrótce za zgodą władz diecezjalnych i własnych przełożonych rozpoczął starania o zorganizowaną opiekę nad dziećmi, które dotychczas przekazywał na wychowanie u kobiet mieszkających w mieście i okolicy, wspierając je zebraną jałmużną. Równocześnie zabiegał o to, by stworzyć przytułek, gdzie starsze dzieci pod okiem Sióstr Miłosierdzia, tzw. szarytek, mogłyby znaleźć dalszą opiekę. W końcu, ok. 1733 r., za pieniądze zebrane z datków, kupił dwupiętrową kamienicę stojącą naprzeciwko kościoła św. Krzyża i zorganizował w niej Dom Podrzutków.

Koło podrzutków

Wieść o utworzeniu przytułku szybko rozeszła się po Warszawie. W niedługim czasie pod bramą domu na Krakowskim Przedmieściu co noc znajdowano kolejne podrzucone niemowlęta. Dziś skala tego zjawiska z pewnością może zadziwiać, pamiętać należy jednak, że wiek XVIII to okres, w którym idea państwowych instytucji opiekuńczych dopiero zaczynała kiełkować. To samo zresztą dotyczyło opieki nad chorymi, niedołężnymi i biednymi. W większości przypadków domy opieki i pomocy,

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 914682253b

sierocińce i jadłodajnie były domeną Kościoła, w szczególności zaś zgromadzeń zakonnych. Jeśli chodzi natomiast o porzucanie noworodków, to praktyka ta była na tyle powszechna, że przy wielu klasztorach i przytułkach w całej Europie zakładano specjalne kraty czy tzw. koła podrzutków. Osoba, która chciała zostawić niemowlę, wkładała je do umieszczonego w murze, obracającego się koła lub korytka. Zamykane korytko potrącało dzwonek, na którego sygnał z drugiej strony muru odbierała niemowlę pracownica zakładu, najczęściej siostra zakonna. W niektórych zakładach dzieci przyjmowano przez okratowane okno w murze, a czasem miejscem do tego przeznaczonym była chrzcielnica. Nie bez powodu nasuwa to skojarzenia z dzisiejszym oknem życia.

Przywilej królewski

W ówczesnej Europie dzieci urodzone poza małżeństwem miały status nielegalnych, a więc pozbawionych prawa do nazwiska, zamieszkania czy nawet pracy. Starając się więc zapewnić wychowankom Domu Podrzutków miejsce w społeczeństwie, w 1746 r. ks. Baudouin uzyskał od króla Augusta III specjalny przywilej, przyznający wszystkim podopiecznym domu wszelkie prawa dzieci legalnych. Co więcej, król zadecydował również, by część dochodów z królewskiej kopalni soli w Wieliczce była co roku przekazywana na potrzeby Domu ks. Baudouina. Wobec tak hojnej darowizny oraz w związku ze stale rosnącą liczbą przyjmowanych dzieci w 1754 r. rozpoczęto budowę większej placówki, która w zamyśle miała zostać przekształcona w szpital. Wkrótce po ukończeniu budowy kompleksu szpitalnego przy pl. Wareckim (dziś pl. Powstańców Warszawy) król wydał akt erekcyjny, powołując tym samym do życia Szpital Generalny im. Dzieciątka Jezus, którego dożywotnim rektorem został ks. Gabriel Baudouin.

Matka na etat

Szpital Generalny stał się domem nie tylko dla sierot i porzuconych dzieci, lecz również miejscem dla osób chorych, niepełnosprawnych i ubogich. Ówczesne europejskie szpitale bardziej niż zakładami leczniczymi nazwalibyśmy dziś przytułkami, w których umieszczano zarówno chorych, jak i potrzebujących opieki. Nic więc dziwnego, że do Szpitala Dzieciątka Jezus zaczęto też przyjmować samotne matki, które z braku możliwości zarobku, a często również bez dachu nad głową, zgłaszały się, będąc w ciąży lub z noworodkiem na rękach. Szybko się zorientowano, że matki te mogą pomóc siostrom zakonnym w prowadzeniu zakładu opiekuńczego. Dodatkowo ich obecność pozwalała na uzupełnienie braków w pokarmie, który uzyskiwano odpłatnie od kobiet niezamieszkałych w przytułku. Ustalono więc, że w zamian za wikt i opierunek przyjęte do ośrodka matki zobowiązują się do pomocy przy wychowywaniu porzuconych dzieci, a dodatkowo będą także udzielały pokarmu innym niemowlętom. Wydawać by się zatem mogło, że przy takim założeniu wszystko powinno działać bez zarzutu. Niestety liczba podopiecznych szpitala stale rosła, a to w warunkach sanitarnych XVIII i XIX w. nie mogło wróżyć niczego dobrego.

FOT. BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY

Otwarcie ochronki ks. Baudouina w Warszawie dla ubogich dzieci

Okrutne żniwo

Wysoka śmiertelność niemowląt to problem, z którym ludność europejska poradziła sobie stosunkowo niedawno. Rozwój medycyny i idący z nią w parze wysoki poziom higieny to w głównej mierze zdobycze przełomu XIX i XX w. Dodatkowo europejskie miasta, w których dopiero rozpoczynano poważne prace kanalizacyjne, raz po raz stawały się ogniskami epidemii chorób zakaźnych, których wskaźnik śmiertelności wydaje się dziś absurdalny. To wszystko działo się w warunkach stale wzmagającej się migracji ludności wiejskiej do miast. W przytułkach, szpitalach i innych instytucjach o charakterze opiekuńczym wszystkie te problemy skupiały się jak w soczewce, co przekładało się na ponure statystyki. Problem nie ominął również Szpitala im. Dzieciątka Jezus i działającego w nim Domu ks. Baudouina. Sale wypełnione po brzegi łóżkami i kolebkami zmuszały do podjęcia działań rozwiązujących chociaż w części problem szerzących się chorób i wysokiej umieralności. Oprócz regulacji prawnych ograniczających liczbę przyjmowanych dzieci wypracowano też kolejną innowacyjną i bardzo współcześnie brzmiącą metodę.

Rodzina zastępcza

Choć w połowie XIX w. nadzór nad szpitalem przejęły od misjonarzy władze miejskie, księża nadal mogli pełnić w nim posługę duchową. Również Siostrom Miłosierdzia pozostawiono prawo do opieki nad chorymi i dziećmi, ale już bez możliwości zarządzania »

eprasa.pl 914682253b

» szpitalem. Nie oznacza to jednak, że klasztory i kościoły diecezjalne przestały wspierać formalnie miejską placówkę. Wtedy to właśnie na szerszą skalę zaczęto przekazywać dzieci na wychowanie do wiejskich rodzin, które odnajdywano dzięki sieci parafialnej. Władze szpitala regularnie wysyłały pisma do proboszczów podmiejskich parafii z prośbą o propagowanie wśród wiernych idei adopcji dzieci porzuconych. Rodzinom, które zdecydowały się na przyjęcie dziecka, szpital oferował zapomogę finansową, o czym również informowano z ambony.

W parafii św. Zygmunta, w podwarszawskim Słomczynie zachowała się korespondencja miejscowego proboszcza z władzami Szpitala im. Dzieciątka Jezus, z której można się dowiedzieć, jak wyglądały takie rodziny zastępcze. Rodzina, która zgłaszała chęć przysposobienia dziecka, opiniowana była przez proboszcza, który odtąd pełnił funkcję pośrednika w kontakcie z władzami szpitala. To przez niego informowano m.in. o wyznaczonych terminach, w których należało się zgłosić do szpitala po wypłacenie zapomogi. Pomocy udzielano na podstawie dokumentów wystawianych każdemu dziecku, wręczając mu również specjalny identyfikator, medalik, który obowiązkowo musiało nosić zawieszony na szyi.

Dzięki temu rozwiązaniu pobyt dzieci przyjętych do zakładu skrócono do minimum. Po diagnozie stanu zdrowia i zaszczepieniu przeciw ospie jak największą liczbę dzieci powierzano na wychowanie rodzinom, w których często pozostawały do momentu usamodzielnienia.

Kolejna przeprowadzka

W 1901 r. ukończono budowę nowego kompleksu przy ul. Nowogrodzkiej, dokąd przeniesiono siedzibę Szpitala Dzieciątka Jezus, a dawne zabudowania przy pl. Wareckim rozebrano. Moment przeprowadzki wykorzystano jednocześnie do oddzielenia i usamodzielnienia się placówki, którą odtąd nazwano Domem Wychowawczym ks. Baudouina. Na jego potrzeby przekazano trzy osobne budynki. Pierwszy przeznaczono na dom dla niemowląt z mamkami, w drugim umieszczono dzieci starsze, a w ostatnim dzieci chorujące na choroby zakaźne. Taki stan rzeczy pozwolił na odseparowanie dzieci chorych od zdrowych, poprawiły się równocześnie warunki sanitarne, co wraz z dobrym stanem technicznym nowych budynków przyczyniło się do zmniejszenia śmiertelności. Również sytuacja finansowa poprawiła się na tyle, że dziesięć lat później, w ramach Domu Wychowawczego, otworzono pierwszą w Warszawie kuchnię mleczną, w której przygotowywano posiłki przeznaczone specjalnie dla niemowląt.

WARUNKI OKUPACYJNE PRZYCZYNIŁY SIĘ DO PONOWNEGO WZROSTU ZACHOROWAŃ I ŚMIERTELNOŚCI. MIMO TO KIERUJĄCA WÓWCZAS DOMEM DR MARIA WIERZBOWSKA WŁĄCZYŁA SIĘ W AKCJĘ POMOCY DZIECIOM Z RODZIN ŻYDOWSKICH

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości dom rozszerzył swoją działalność o pomoc dla samotnych matek. W 1933 r. utworzono Biuro Opieki Przyzakładowej, które zajmowało się opieką nad rodzącymi w warszawskich szpitalach kobietami znajdującymi się w trudnej sytuacji życiowej, poszukiwaniem matek i ojców dzieci porzucanych, a także kierowaniem sprawami adopcyjnymi. O ile wcześniej do zakładu przyjmowano wyłącznie mamki karmicielki, teraz znaleźć tu schronienie mogła każda potrzebująca pomocy kobieta z niemowlęciem.

Okres wojny i PRL

W trakcie okupacji dom nie zawiesił swojej działalności. Wielokrotnie ewakuowany przetrwał zarówno bombardowania we wrześniu 1939 r., jak i okres powstania warszawskiego. Warunki okupacyjne przyczyniły się do ponownego wzrostu zachorowań i śmiertelności. Mimo to kierująca wówczas domem dr Maria Wierzbowska włączyła się w akcję pomocy dzieciom z rodzin żydowskich. Każde przyjęte dziecko wpisywano ołówkiem w dokumentach zakładu pod przybranym nazwiskiem, a to następnie brano w cudzysłów. Był to znak rozpoznawczy, o którym wiedziało tylko kilku najbardziej zaufanych pracowników. Następnie dziecko umieszczano, w miarę możliwości jak najszybciej, w zakładach podwarszawskich, w których Niemcy rzadziej niż w Domu Baudouina przeprowadzali specjalne inspekcje. Dziś trudno oszacować dokładną liczbę dzieci ukrywanych w zakładzie, faktem jest jednak, że Instytut Yad Vashem przyznał dr Wierzbowskiej medal Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, zaznaczając, że należy się on wszystkim ówczesnym pracownikom placówki.

Po 1945 r. instytucje opiekuńcze podzielono na zakłady dla dzieci do lat trzech oraz dla dzieci starszych. W świetle nowych przepisów Dom ks. Baudouina uznano za placówkę dla dzieci młodszych i wkrótce przekształcił się on w państwową instytucję opieki nad matką i dzieckiem. W latach 50. zanikła dominująca pierwotnie grupa dzieci porzuconych, a w domu zaczęto umieszczać dzieci rodziców, którzy nie byli w stanie zapewnić im odpowiedniej opieki. Do placówki przyjmowano także matki karmiące, znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej, oraz kobiety w ostatnich miesiącach ciąży.

Epilog

Dziś Dom ks. Baudouina wciąż przyjmuje niemowlęta – zarówno osierocone, jak i porzucone, a także małoletnie matki z dziećmi. Ponadto pełni funkcję placówki specjalistycznej dla dzieci chorych i niepełnosprawnych. Jego siedziba mieści się w budynku przeznaczonym na ten cel ponad sto lat temu, przy ul. Nowogrodzkiej, a misja jego założyciela, mimo tak drastycznie różnych od pierwotnych warunków, wciąż jest kontynuowana.

eprasa.pl 914682253b

PAWEŁ SKIBIŃSKI

1953 – rok splątanej kariery premiera

Nazwisko Imre Nagy każdemu zainteresowanemu historią najnowszą Polakowi kojarzy się z przywódcą powstania węgierskiego jesienią 1956 r. i ofiarą komunistycznych represji po stłumieniu wolnościowego zrywu Węgrów. Jednak życie węgierskiego premiera okresu powstania było znacznie bardziej skomplikowane.

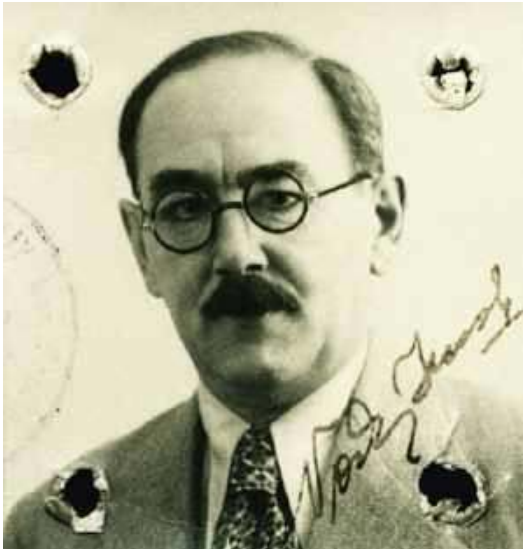

Imre Nagy był jednym z najważniejszych węgierskich komunistów, którzy montowali system totalitarny nad Balatonem, ale został zapamiętany jako przywódca antysowieckiej rewolty 1956 r.

Trzy lata wcześniej – 4 lipca 1953 r. – Nagy został wyznaczony na premiera Węgier pod wpływem bezpośredniej interwencji Moskwy, a we wcześniejszym okresie był kolejno ministrem rolnictwa oraz ministrem spraw wewnętrznych w komunistycznym rządzie. Wcześniej w 1949 r. został wydalony z Biura Politycznego Komunistycznej Partii Węgier.

Gdy sięgał na komunistycznych Węgrzech po najwyższe stanowiska państwowe, był już wówczas sprawdzonym towarzyszem, w latach rewolucji bolszewickiej był bowiem żołnierzem Czerwonej Gwardii i członkiem WKP(b), a niektórzy historycy przypisują mu nawet uczestnictwo w egzekucji zamordowanego przez bolszewików cara Mikołaja II.

Na Węgry wrócił z Rosji w 1921 r., działając tu w strukturach Komunistycznej Partii Węgier. Z tego tytułu spędził kilka lat w więzieniu. Prowadził jednak niezmiennie działalność konspiracyjną, a pod koniec lat 20. XX w. emigrował do Wiednia, by ostatecznie w latach 1930-1944 zamieszkać na stałe w Związku Sowieckim. Tam w latach 1933–1944 miał współpracować z NKWD, używając pseudonimu Wołodia i donosząc na kolegów. W czasie II wojny światowej był redaktorem naczelnym węgierskich programów radiowych nadawanych z Moskwy – tzw. radia Kossuth. Rok spędził na froncie jako żołnierz jednostek specjalnych.

W 1944 r. był obok Mátyása Rákosiego i Ernö Gerö jednym z głównych liderów węgierskiej partii komunistycznej, którzy montowali system totalitarny nad Balatonem. Był ministrem rolnictwa w latach 1944–1945, kiedy została przeprowadzona reforma rolna polegająca na parcelacji wielkich majątków ziemskich.

W latach 1945–1946 kierował natomiast Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a więc w znacznej części odpowiadał za terror komunistyczny w kraju. Miał na koncie m.in. wypędzenie z kraju Niemców węgierskich. Główną specjalność Nagya stanowiła zawsze polityka rolna, którą wykładał nawet na wydziale ekonomii budapeszteńskiego uniwersytetu, nie mając wcześniej ukończonych żadnych studiów.

W 1949 r. został usunięty z Biura Politycznego partii komunistycznej ze względu na krytykę polityki ekonomicznej partii. Wrócił do centrum władzy w 1951 r. i podpisał wówczas m.in. rozkaz skazania Jánosa Kádára, późniejszego wieloletniego lidera partii, na mocy którego Kádár był więziony i torturowany.

W lipcu 1953 r. Nagy na stanowisku szefa węgierskiego rządu komunistycznego zastąpił Mátyása Rákosiego. Zmiana na stanowisku premiera miała bezpośredni związek z dojściem do władzy w Moskwie – po śmierci Stalina – Ławrientija Berii, za którego nominata uchodził Nagy. Jego zaletą w oczach szefa sowieckiej bezpieki miało być m.in. czysto węgierskie pochodzenie (znaczna część bowiem ścisłego kierownictwa węgierskiego z Rákosim na czele była z pochodzenia Żydami). W czasie sprawowania funkcji premiera Nagy wprowadzał tzw. nowy model socjalizmu, wstrzymując forsowną kolektywizację na wzór sowiecki oraz zwiększając wydatki na cele konsumpcyjne, aby polepszyć nastroje społeczne.

W 1955 r. wraz z odsunięciem od władzy w Moskwie Malenkowa i przejęciem kontroli przez Nikitę Chruszczowa nastąpiły zmiany polityczne także na Węgrzech. Nagy został pozbawiony wszystkich funkcji i usunięty z partii. Po roku jednak wrócił do władzy, jako ofiara systemu stając na czele partii w okresie powstania węgierskiego. Dokonał wówczas m.in. rozwiązania węgierskiej policji politycznej AVH i wyjścia Węgier z Układu Warszawskiego.

Po upadku budapeszteńskiego powstania w wyniku interwencji sowieckiej musiał się ukryć w ambasadzie jugosłowiańskiej. Został jednak stamtąd wywabiony, a następnie aresztowany i wywieziony na terytorium Rumunii. Został osądzony i skazany za zdradę stanu, a następnie wraz z innymi przywódcami powstania stracony. Ciało Nagya spoczęło w bezimiennym grobie.

W ten sposób Nagy – wieloletni członek partii, komunista wszechstronnie zasłużony dla rewolucji bolszewickiej w Rosji i wprowadzenia reżimu na Węgrzech po 1945 r., protegowany Berii i Malenkowa, został ostatecznie zamordowany przez reżim jednej ze swoich ofiar – Jánosa Kádára, który cieszył się zaufaniem nowego władcy na Kremlu – Nikity Chruszczowa.

Paradoksalnie po latach Nagy pamiętany wciąż jest jednak raczej jako bohater węgierskiego powstania narodowego w 1956 niż jako premier z 1953 r.

FOT. FORTEPAN

eprasa.pl 914682253b

Hawker Hunter – brytyjski myśliwiec odrzutowy z lat 50. w barwach RAF. Taką maszynę chciał kupić płk Czesław Dęga (na zdjęciu poniżej z lat 70. już w randze generała LWP)

FATALNA POMYŁKA

„Miał kupić zabawki, a zaczął handlować bronią”

W POŁOWIE GRUDNIA 1958 r. MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ POLECIŁO ATTACHÉ WOJSKOWEMU PRZY AMBASADZIE PRL W LONDYNIE PŁK. CZESŁAWOWI DĘDZE (NA ZDJ.) KUPIĆ MODELE UZBROJENIA I SPRZĘTU ZNAJDUJĄCEGO SIĘ NA WYPOSAŻENIU ARMII BRYTYJSKIEJ. RESORTOWI CHODZIŁO O PLASTIKOWE MODELE SAMOLOTÓW, POCISKÓW KIEROWANYCH CZY CZOŁGÓW, KTÓRE MIAŁY BYĆ WYKORZYSTANE DO CELÓW SZKOLENIOWYCH

KRZYSZTOF TARKA

Attaché potraktował sprawę nadzwyczaj serio. Błędnie interpretując polecenie z Warszawy, był przekonany, że przełożonym chodzi o zakup pojedynczych egzemplarzy sprzętu wojskowego, a nie plastikowych modeli. Te ostatnie można było przecież kupić w każdym większym magazynie handlowym. Wraz ze swoim zastępcą ds. lotniczych mjr. Eugeniuszem Waszyrowskim rozpoczął w Ministry of Supply (Ministerstwo Zaopatrzenia) i w brytyjskich firmach lotniczych oficjalne starania o zakup wojskowego sprzętu lotniczego. Zabiegi attaché wywołały konsternację w brytyjskich kołach rządowych. W pierwszych dniach stycznia 1959 r. Ministry of Supply oficjalnie udzieliło odmownej odpowiedzi co do możliwości zakupu samolotów będących na wyposażeniu armii brytyjskiej.

Od ochotnika do pułkownika

Czesław Dęga urodził się w 1923 r. na Lubelszczyźnie. We wrześniu 1939 r. wraz z grupą gimnazjalnych kolegów ochotników został skierowany do ochrony lotniska polowego k. Pińska. W 1943 r. po kilkudniowym aresztowaniu przez okupacyjne władze niemieckie został wypuszczony na wolność, po czym zbiegł do lasu i wstąpił do działającej w okolicy partyzantki sowieckiej. Kilka miesięcy później przeszedł do zgrupowania partyzanckiego dowodzonego przez Roberta Satanowskiego, działającego na Wołyniu, Polesiu, a następnie na Lubelszczyźnie. W 1944 r. wstąpił do tworzonego przez komunistów Ludowego Wojska Polskiego, gdzie błyskawicznie awansował. W 1946 r. jako porucznik rozpoczął studia w Wojskowej Akademii Artylerii im. Feliksa Dzierżyńskiego w Moskwie. Gdy po czterech latach wracał z Moskwy, był już majorem. Przed trzydziestką (w 1952 r.) awansował na stopień podpułkownika. W latach 1953–1954 został oddelegowany na stanowisko dowódcy polskiej 2 Grupy Kontrolnej do Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Korei. Po powrocie do kraju był wykładowcą w Akademii

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 914682253b

FOT. IANC66/SHUTTERSTOCK.COM

Sztabu Generalnego w Rembertowie. W końcu 1956 r. przeszedł do Zarządu II Sztabu Generalnego (wywiad wojskowy). Po przeszkoleniu w marcu 1957 r. wysłano go na placówkę do Londynu. Początkowo był zastępcą attaché ds. morskich, a od września 1958 r. pełnił funkcję attaché wojskowego. W lipcu tego roku awansował też na stopień pułkownika.

Wyrzuty MSZ

Chcąc wyjaśnić dziwne i zagadkowe działania peerelowskiego attaché wojskowego, podsekretarz stanu w Foreign Office Con O'Neill 20 stycznia 1959 r. wezwał na rozmowę ambasadora Eugeniusza Milnikiela. Poinformował polskiego dyplomatę, że do rządu brytyjskiego dotarły informacje o zamiarze nabycia przez płk. Dęgę sortów mundurowych i uzbrojenia, w tym samolotów wojskowych. Oświadczył też, że władze brytyjskie nie zgodzą się na sprzedaż tego rodzaju artykułów do kraju należącego do Układu Warszawskiego. Ambasador, łagodząc sprawę, tłumaczył brytyjskiemu urzędnikowi, że attaché działał legalnie i zgłosił jedynie zapytanie do właściwych władz. Wyjaśniał, że w jego postępowaniu nie było niczego dziwnego ani zagadkowego. Przypomniał też, że w niedalekiej przeszłości Londyn sam wystąpił wobec władz w Warszawie z ofertą sprzedaży samolotów wojskowych.

W depeszy do MSZ Milnikiel stwierdził jednak, że zlecenie przez MON płk. Dędze nabycia wzorów umundurowania i broni, a zwłaszcza czołgów i samolotów wojskowych, nie należało do szczęśliwych. Dodał, że strona brytyjska mogła to bowiem błędnie interpretować. Dopytywał też, czy sprawa zakupu uzbrojenia była konsultowana przez MON z MSZ.

Zagadnienie było poważne, gdyż jeszcze tego samego dnia wiceminister spraw zagranicznych Józef Winiewicz zawiadomił Milnikiela, że MSZ wcześniej nic na ten temat nie wiedziało. Winiewicz, nie znając kulis sprawy, nie był też pewien, czy płk Dęga działał legalnie. Miał również pretensje do ambasadora, że ten, gdy dowiedział się o sprawie, natychmiast nie zawiadomił centrali MSZ. Do czasu otrzymania odpowiedzi z Warszawy powinien polecić attaché wstrzymanie się z wykonaniem rzekomego polecenia MON. Winiewicz pouczał Milnikiela, że do jego obowiązków należy zapobieganie tego rodzaju kontrowersjom.

A winny ambasador...

Działania attaché wywołały konsternację w Londynie, rychło okazało się jednak, że sprawa jest jeszcze bardziej kompromitująca. Początkowo ani kierownictwo MSZ, ani ambasador Milnikiel nie przypuszczali, że płk Dęga popełnił aż tak fatalną pomyłkę. W odpowiedzi na monity z Warszawy ambasador wręcz bagatelizował sprawę. Wyjaśniał MSZ, że attaché na polecenie swych przełożonych prowadził oficjalne rozmowy z brytyjskimi czynnikami wojskowymi. Podkreślił też, że pułkownik działał legalnie. Rozmowy co prawda nie przyniosły pozytywnego rezultatu, w tej sytuacji ambasador uważał sprawę za zakończoną. Ponieważ nie mógł się skontaktować z Dęgą, o szczegółach sprawy obiecał zawiadomić MSZ w późniejszym terminie. Już nazajutrz Winiewicz zawiadomił Milnikiela, że dla kierownictwa MSZ sprawa nie była zakończona. Oczekiwał też od ambasadora pilnej odpowiedzi i szczegółowych informacji.

Gdy kompromitacja stała się faktem, Milnikiel tłumaczył się kierownictwu MSZ, że w końcu grudnia 1958 r. płk Dęga poufnie pytał go o radę, jak ma wykonać polecenie MON w sprawie nabycia wzorów sortów mundurowych i uzbrojenia. Ambasador był zdziwiony poleceniem władz wojskowych, ale nie chcąc zaszkodzić attaché, nie zawiadomił o sprawie MSZ. Poradził płk. Dędze, aby zwrócił się z oficjalnym zapytaniem do Ministry of Supply. Zdecydowanie odradzał mu natomiast podejmowanie działań nielegalnych bądź zgłoszenie pisemnego zapotrzebowania kupna sprzętu do wojskowych władz brytyjskich. Za radą Milnikiela attaché 31 grudnia przeprowadził rozmowę z dyrektorem departamentu sprzedaży w Ministerstwie Zaopatrzenia. Został przyjęty życzliwie, choć pytanie o możliwość zakupu wojskowych samolotów zdziwiło Anglika, który kurtuazyjnie wskazał na pewne trudności formalne. Równocześnie mjr Waszyrowski skontaktował się z kilkoma prywatnymi firmami lotniczymi. Brytyjskie firmy wyraziły wstępne zainteresowanie sprawą niecodziennego kontraktu, choć trudno było sobie wyobrazić, aby rząd w Londynie zgodził się na sprzedaż sprzętu wojskowego do kraju będącego członkiem wrogiego paktu wojskowego. O realizacji sprawy płk Dęga miał na bieżąco informować Sztab Generalny w Warszawie.

Kierownictwo MSZ uważało, że milczenie ambasadora w sprawie działań podjętych przez attaché było poważnym błędem. Wiceminister Winiewicz wyjaśnił Milnikielowi, że płk Dęga nie otrzymał zadania nabycia wzorów sortów mundurowych i uzbrojenia, lecz jedynie polecenie zakupu i przesłania do Sztabu Generalnego plastikowych modeli sprzętu wojskowego, potrzebnych do gier wojennych. Attaché wojskowi w innych krajach zrozumieli to polecenie i poprawnie wykonali zadanie. Miarą kompromitacji płk. Dęgi było to, że – jak stwierdził Winiewicz – „miał kupić zabawki, a zaczął handlować bronią".

Zasłużony specjalista

Kierownictwo MSZ na czele z ministrem Adamem Rapackim domagało się od MON natychmiastowego usunięcia nieudolnego pułkownika ze stanowiska attaché wojskowego w Londynie. Sprawa miała być uzgodniona z ministrem obrony narodowej gen. Marianem Spychalskim. Wbrew zapowiedziom płk Dęga nie został jednak usunięty z zajmowanego stanowiska. Nad Tamizą przebywał jeszcze przez ponad dwa lata, do końca marca 1961 r.

Wpadka z zakupem modeli samolotów nie zaszkodziła mu też w karierze wojskowej. Po powrocie z misji dyplomatycznej w Londynie płk Dęga zajmował różne stanowiska w Wojsku Polskim. W 1963 r. otrzymał nominację na generała brygady. W latach 1964–1967 był szefem artylerii Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. W 1974 r. został zastępcą przedstawiciela PRL ds. wojskowych w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Wietnamie.

Dęga zrobił też karierę naukową i w dyplomacji. Po powrocie z Wietnamu w 1975 r. wrócił do pracy w Akademii Sztabu Generalnego. W 1979 r. otrzymał tytuł profesora nauk wojskowych. W 1983 r. generał objął kierownictwo Wydziału Zagranicznego KC PZPR. Niebawem przeszedł do służby dyplomatycznej. W latach 1984–1989 był ambasadorem na Kubie i Jamajce. Po powrocie z placówki pozostawał w dyspozycji MON, a w 1990 r. został przeniesiony w stan spoczynku. Zmarł w Warszawie w 2008 r.

eprasa.pl 914682253b

OD KRESOWYCH LATYFUNDIÓW PO LEGIĘ CUDZOZIEMSKĄ

RÓD RDUŁOWSKICH WYDAŁ WIELU ZASŁUŻONYCH W DZIEJACH RZECZYPOSPOLITEJ RYCERZY, WODZÓW, POSŁÓW I SENATORÓW

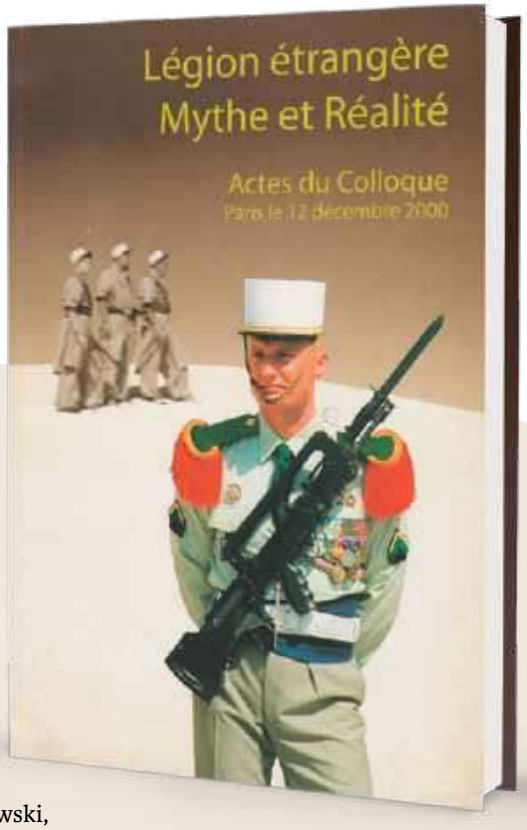

Okładka książki o Legii Cudzoziemskiej z wizerunkiem Sławomira Wojciecha Rdułtowskiego

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Sławomir Wojciech Rdułtowski (ur. 1967 r.) herbu Drogosław, 15-letnią służbę w Legii Cudzoziemskiej zakończył w 2006 r. Odznaczony dziesiątką medali i krzyży stał się też do pewnego stopnia twarzą tej elitarnej, sławnej na całym świecie jednostki wojskowej. Otóż jego postać w galowym mundurze Legii znalazła się na okładce bestselerowej książki „La Legion Etrangere. Mythe et Realite" („Mit i rzeczywistość Legii Cudzoziemskiej"), wydanej w 2000 r. Przez parę lat wizerunek Sławomira Wojciecha Rdułtowskiego figurował na rozsianych po całym świecie plakatach werbunkowych tej formacji.

O swoich żołnierskich decyzjach mieszkający dziś w Nicei Rdułtowski pisze tak: „Wiele czytałem, jeszcze w Polsce, o moich pradziadach, którzy zamieszkując w średniowieczu Kujawy, walczyli z Krzyżakami za króla Władysława Łokietka, później brali udział w bitwach pod Smoleńskiem w wojnie rosyjskiej. Pod Kircholmem w walce ze Szwedami wyróżnił się porucznik chorągwi Samuela Paca Paweł Rdułtowski, który w roku 1621 zginął pod Chocimiem. Znając więc pokrótce historyczne dzieje własnego rodu, zrozumiałem, że też posiadam waleczną krew i upodobanie do wojenki. Do służby w Legii Cudzoziemskiej skłoniła mnie chęć przeżycia wyjątkowej przygody i związana z tym adrenalina. Też pragnienie niesienia humanitarnej pomocy narodom jej dramatycznie potrzebującym. Myślałem o sprawdzeniu swoich sił i możliwości w ekstremalnych warunkach, nieobca mi była chęć rywalizacji. Byłem dość przekornym młodym mężczyzną, wolącym zawsze iść pod prąd, niż płynąć w masowym nurcie. Pragnąłem przekraczać własne możliwości i przypomnieć wszystkim polską waleczność".

O wojnach w Afryce, w krajach dawnej Jugosławii, o codziennym trudzie służby w Legii Cudzoziemskiej Sławomir W. Rdułtowski nie opowiada, zasłaniając się żołnierskim obowiązkiem zachowania tajemnicy. Jedną natomiast z dziwnych jego przygód w Afryce wspomina jego kuzyn Romuald Floryanowicz (ur. 1959 r.) herbu Ślepowron, również wywodzący się z kresowych polskich ziemian. Otóż w czasie akcji Legii Cudzoziemskiej w Czadzie dzięki postawie Sławomira uratowało się kilka osób z miejscowego plemienia. Okazało się później, że syn wodza czy króla tego plemienia jest znanym w tej części Afryki rzeźbiarzem. Ów ludowy artysta z wdzięczności za okazaną swojej rodzinie pomoc zgłosił chęć wykonania rzeźby pamiątkowej. Niewiele się zastanawiając, Sławomir W. Rdułtowski przekazał mu maleńki rysunek rodzinnego herbu, który zawsze nosił w portfelu. Po pewnym czasie otrzymał paczkę zawierającą kwadratową, drewnianą i polichromowaną płaskorzeźbę, w miarę przypominającą szlachecki herb Drogosław. Artysta jednak skopiował mały rysunek na lewą stronę większej karty papieru, którą z kolei przeniósł na drewnianą deskę. Dlatego widoczne w klejnocie herbu rycerskie ramię wraz z mieczem jest skierowane w prawo, zamiast – jak w oryginale – w lewo. Również otaczające herbową tarczę labry sprawiają wrażenie tropikalnych pnączy, afrykańska dekoracyjność nakazała zaś artyście naszyjnik ze świętym medalionem zdobiący herbową zbroję zamienić na szur afrykańskich korali. Całość uzupełniona jest nazwiskiem „Rdułtowski", bez nazwy rodowego

ZDJĘCIA: ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 914682253b

Żołnierze KOP przed pałacem w Snowie

Pałac w Snowie, obecnie centralna Białoruś

herbu Drogosław. Niemniej Sławomir W. Rdułtowski z sentymentem do dziś przechowuje tę afrykańską pamiątkę, która została dołączona do zbioru rodzinnych archiwaliów.

Herby i wizyty

Ród Rdułtowskich był i jest bardzo przywiązany do h. Drogosław, który – jak głosi legenda i potwierdzają to herbarze (Niesiecki) – nadany został im bezpośrednio przez króla Władysława Łokietka. Rdułtowscy należeli do większego szczepu Ogończyków (herb Ogończyk rysunkiem godła nie odbiega od herbu Drogosław), do czasu gdy jeden z nich (przypuszczalnie o imieniu Drogosław) w bitwie z Krzyżakami wyróżnił się odwagą pozwalającą przerwać krąg otaczających polskich rycerzy nieprzyjaciół. Za tę zasługę król Władysław Łokietek zatwierdził dla tego rodu herb Drogosław jako odmianę herbu Ogończyk.

Na początku XVI w. rodzina przeniosła się z Kujaw na Litwę i na Białą Ruś. W 1639 r. Jan Hieronim Rdułtowski kupił od słonimskiego deputowanego do Trybunału Litewskiego Jerzego Haraburdy h. Habdank duży majątek w Snowie, położony jakieś 20 km na zachód od Nieświeża. Jego potomek Jan Bogusław Rdułtowski (1665–1744), kasztelan nowogródzki żonaty z Heleną z Wańkowiczów h. Lis, zapisał ten majątek swoim wnukom, z których Jan Chryzostom (1735-1791) uchodzi za fundatora ogromnego, późnoklasycystycznego pałacu – głównej siedziby rodu.

Pierwsze zachowane opisy pałacu w Snowie związane są z wizytą, jaką złożył tam podczas swojego pobytu u Radziwiłłów w Nieświeżu król Stanisław August Poniatowski. Obecny na przyjęciu w Nieświeżu Jan Chryzostom Rdułtowski poprosił, by Jego Królewska Mość łaskawie odwiedził jego pobliską posiadłość, na co Stanisław August wyraził zgodę. Kronikarz wizyty zanotował: „Dnia 15 Septembra (1784 r.) przybyliśmy do Snowia, dóbr JP Rdułtowskiego, chorążego nowogródzkiego, około południa, gdzieśmy obiadować i nocować mieli. Zastaliśmy dom bardzo wygodny, murowany, ze skrzydłami i rozmaitem pomieszczeniem”.

Inną, znacznie obszerniejszą relację z pobytu króla Stanisława Augusta w Snowie odnajdujemy w znanej książce Henryka Rzewuskiego „Pamiątki Imci Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego”. Autor książki Henryk Rzewuski (1791–1866) h. Krzywda był synem Adama Wawrzyńca i Justyny Rdułtowskiej, córki Jana Chryzostoma, stąd znał dobrze posiadłość w Snowie. Rzewuski, brat Karoliny Sobańskiej i Eweliny Hańskiej, secundo voto Balzac, o królewskiej wizycie słyszał już co prawda tylko z przekazów rodzinnych, nie mniej barwnie opisuje uroczyste powitanie: ująwszy króla pod rękę, pani domu zaprowadziła go do sali balowej pałacu w Snowie. Wytworny obiad, do którego obok Jego Królewskiej Mości i gospodarzy domu zasiedli bp Adam Naruszewicz, poeta Stanisław Trembecki oraz licznie przybyła szlachta nowogródzka, podano w odpowiednio przystosowanych zabudowaniach gospodarczych, gdyż pałacowe wnętrza nie były w stanie pomieścić tak znacznej liczby gości. W Snowie król uhonorował Jana Chryzostoma Rdułtowskiego Orderem św. Stanisława.

Wykonany przez afrykańskiego rzeźbiarza herb szlachecki Drogosław

Pałac w Snowie

W tym mniej więcej czasie w Snowie spłonęła większa część zabudowań. Historycy spierają się o to, czy Stanisław August gościł tam przed pożarem czy po nim. Odbudował i poważnie rozbudował rezydencję syn Jana Chryzostoma, Kazimierz Michał Rdułtowski (1785–1855), marszałek szlachty nowogródzkiej. Była to bryła wzniesiona nad brzegiem rzeczki Snówki, składająca się z kilku różnej wielkości i kształtów połączonych ze sobą zabudowań. Oś główną dwukondygnacyjnej budowli stanowił mocno wysunięty do przodu czterokolumnowy portyk. Szeroko rozciągnięte horyzontalne zabudowania pałacu liczyły ok. 140 m długości, całość głównego korpusu oparta była zaś na planie litery H. Skrzydła niższych pawilonów z częścią główną połączone były wydłużonymi galeriami, których »

eprasa.pl 914682253b

zadaszenie opierało się na 16 ozdobnych kolumnach. W jednej z tych galerii znajdowała się wspomniana sala balowa o powierzchni ponad 100 mkw. Górną kondygnację pałacu zajmowały pokoje sypialne i gościnne. Całą niezwykle efektowną i mimo zróżnicowanej architektonicznej bryły harmonijną budowlę otaczał obszerny park z systemem wodnych kanałów, wysepek i altanek.

Po śmierci marszałka Kazimierza Rdułtowskiego majątek w Snowie dostał się w ręce jego młodszego syna Eustachego (1824–1902), który chociaż wykształcony na uniwersytecie w Dorpacie, okazał się kiepskim gospodarzem, w dodatku hazardzistą. Według przekonania rodziny Eustachy w 1856 r. cały olbrzymi majątek przegrał w karty i nowym właścicielem został baron Gustaw Hartingh (1819–1879), żonaty z księżniczką Elfrydą Drucką-Lubecką. Mocno zniszczony w czasie I wojny światowej pałac wymagał bardzo kosztownego remontu, na który nie zdecydowali się nowi właściciele i całość w okresie międzywojennym sprzedali wojskowemu Korpusowi Ochrony Pogranicza. Wojsko zaopiekowało się starannie budowlą, jednak zabytkowe wnętrza zostały mocno przebudowane zgodnie z żołnierskimi wymaganiami. W uratowanym od zniszczeń po II wojnie światowej pałacu mieścił się szpital wojskowy. Ostatnią krótką informację o pałacu w Snowie otrzymałem od Mikołaja Radziwiłła (ur. 1959), który często bywa w Nieświeżu: „Byłem tam parę lat temu. Pałac zamknięty, stoi milicjant i nikogo nie wpuszcza. Nie mogłem go przekonać, by wpuścił mnie za bramę i pozwolił wykonać parę zdjęć. Byliśmy za to w miejscowym kościele, gdzie jest kilka tablic nagrobnych, i w pobliskim folwarku, gdzie właśnie wyprowadzał się wojskowy szpital, zaś zabudowania nowy prywatny właściciel przeznacza na spa".

Dwie linie rodu Rdułtowskich

Marszałek Kazimierz Michał Rdułtowski miał dwóch synów, starszego Konstantego (1804–1869), który po ojcu dostał kilka mniejszych folwarków, oraz młodszego Eustachego, który utracił pałac w Snowie. Od tych braci pochodzą dwie rodzinne linie Rdułtowskich. Potomkowie Konstantego, do których należy legionista Sławomir Wojciech, zamieszkiwali majątek i dwór w Czernichowie Górnym, potomstwo bankruta Eustachego w spadku otrzymało zaś niewielką posiadłość Odachowszczyzna. Oba ziemskie majątki położone były pomiędzy Snowem a Baranowiczami i do 1939 r. należały do Rdułtowskich.

Krypta grobowa Rdułtowskich w Czernichowie Górnym

RÓD RDUŁTOWSKICH BYŁ I JEST BARDZO PRZYWIĄZANY DO HERBU DROGOSŁAW, KTÓRY – JAK GŁOSI LEGENDA I POTWIERDZAJĄ TO HERBARZE (NIESIECKI) – NADANY ZOSTAŁ IM BEZPOŚREDNIO PRZEZ KRÓLA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA

Sam marszałek Kazimierz Michał Rdułtowski był postacią wybitną i za jego czasów rezydencja w Snowie przeżyła swoją największą zarówno gospodarczą, jak i reprezentacyjną świetność. Młodość spędził w Anglii, gdzie na uniwersytecie w Oksfordzie obronił tytuł doktora filozofii. Po licznych podróżach powrócił do Snowa i zajął się gospodarczymi innowacjami. Założył w Odachowszczyźnie dużą fabrykę sukna, gorzelnie i hodowlę owiec. Był też kawalerem maltańskim, a w 1810 r. wraz z księciem Ksawerym Druckim-Lubeckim wybrany został do delegacji udającej się do cara Aleksandra I. Autor pamiętników „Z nad Wilji i Niemna" Edward Pawłowicz pisał: „Kazimierz Rdułtowski był to człowiek nadzwyczaj rozumny, uczony, miły, w towarzystwie łatwy i wesoły, z rzadka spotykanym dowcipem, którego nigdy na cudzą szkodę nie używał".

Wśród wnuków i prawnuków marszałka Kazimierza Michała należy wymienić z bronią w ręku walczących o niepodległość Polski Eugeniusza Rdułtowskiego (1839–1910), powstańca styczniowego zesłanego na Sybir, także jego syna Jana (1883–1920), legionistę poległego w wojnie polsko-bolszewickiej. Po stracie rodowej rezydencji w Snowie rodzinne archiwa, zbiory dzieł sztuki i pamiątki uległy rozproszeniu, ostatnie zaś zaginęły w powstaniu warszawskim. Dziś by je odnaleźć, wiele starań czyni Sławomir Wojciech Rdułtowski i zainteresowany polską historią jego syn Maksymilian Amadeusz (ur. 2004 r.).

eprasa.pl 914682253b

CHRISTIANITAS AETERNA

Litwin znad Warty

MAREK JUREK

Minęła 10. rocznica śmierci Restytuta Staniewicza (1929–2011). Był politykiem i historykiem, liderem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Wielkopolsce, badaczem stosunków polsko-niemieckich w dwudziestoleciu międzywojennym, organizatorem pierwszych nielegalnych obchodów 24. rocznicy poznańskiego Czerwca. Jednak te suche fakty nie wyczerpują opisu jego roli i osobowości.

Choć przez większą część życia mieszkał w Poznaniu, czuł się zawsze wilnianinem i był bez reszty zanurzony w pamięci swych stron rodzinnych. Po ojcu, prof. Witoldzie Staniewiczu (1887–1966), ministrze w rządach pomajowych i rektorze Uniwersytetu Stefana Batorego, odziedziczył kult marszałka Piłsudskiego. Młody Restytut przyłączył się do środowiska „Więzi", jednak ojciec zaimpregnował go na jakikolwiek krytycyzm wobec kard. Wyszyńskiego. To prymasowi stary prof. Staniewicz, należący jeszcze do pokolenia ukształtowanego przez pozytywizm, zawdzięczał swoje religijne przebudzenie po wojnie. To w prymasie widział nadto kolejne ucieleśnienie królewskiego ducha naszej historii.

Restytut Staniewicz do końca życia deklarował się jako socjalista, człowiek niepodległościowej i chrześcijańskiej lewicy. W swych poglądach odwoływał się (w duchu „Więzi") do Emmanuela Mouniera, Henryka Dembińskiego, bł. ks. Hlebowicza. Ale było to raczej szukanie aktualizacji poglądów, których właściwym źródłem był polski romantyzm. W jego wyobraźni tradycja szlachecka, kilkunastu przodków, którzy bili się w powstaniach (a kilku z nich poszło na Wielką Emigrację), Towarzystwo Demokratyczne Polskie, służba ojca w Polskiej Organizacji Wojskowej, „żeromszczyzna" ukochanej matki, Ewangelia i sprzeciw wobec komunistycznych prześladowań – splatały się w jedną całość, stanowiącą najbardziej autentyczną polską tożsamość (o co się często i gorąco spieraliśmy).

Poglądy te były spójne, ale nie zamknięte. Nam, swoim młodym prawicowym przyjaciołom, polecał lekturę „Poszło z dymem" ks. Waleriana Meysztowicza, papieskiego dyplomaty i syna jednego z przywódców konserwatystów wileńskich – prawdziwy hymn na cześć spuścizny Wielkiego Księstwa Litewskiego i ludzi, których ta ziemia dała Kościołowi i odrodzonej Polsce. Dzięki niemu poznaliśmy też gdańskich przyjaciół z podziemnego magazynu „Bratniak", z którymi krótko potem zakładaliśmy Ruch Młodej Polski.

Największą pasją Restytuta Staniewicza była Wielka Rzeczpospolita, wspólnota narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Przywoływał narodowe sztandary państw bałtyckich czy biało-czerwono-biały Białorusi w czasach, gdy traktowaliśmy to jako heraldyczną fantazję. Uważał, że to nasz właściwy region geopolityczny, różny od reszty środkowej Europy, ciągnącej się przez Węgry na południe (o co spieraliśmy się również). W swych poglądach geopolitycznych był więc prekursorem Lecha Kaczyńskiego.

Los prekursorów nie jest jednak łatwy. Przed rokiem 1989 – i nawet bezpośrednio po nim – jego poglądom brakowało realnego tła. Polska chciała zrzucić, a przynajmniej rozluźnić, pęta Związku Sowieckiego, nie czekając na jego rozpad. Restytut uparcie jednak powtarzał, że ZSRS jest ostatnim imperium kolonialnym i nie może ominąć go los innych, dekolonizacja bowiem – czy to się komuś podoba, czy nie – jest charakterem epoki. Chętnie powoływał się na książkę Andrieja Amalrika „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?".

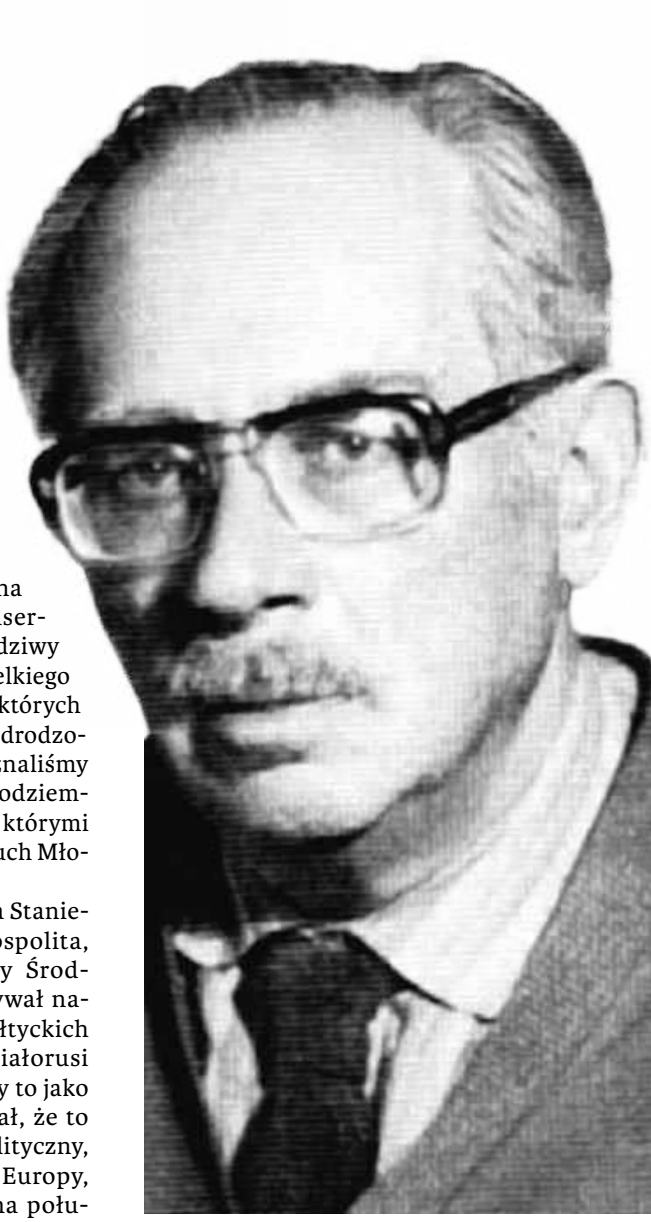

Po odzyskaniu niepodległości hasłem dnia stał się „powrót do Europy", czyli jak najszybsze i bezproblemowe włączenie się w struktury politycznego Zachodu. Reszta była na drugim planie. Nie to jednak zdecydowało, że Staniewicz nie odnalazł się po odzyskaniu niepodległości w życiu politycznym, albo że raczej to ówczesna polityka nie znalazła dla niego miejsca. Mimo całej swej „postępowości" był anachroniczny, jednak w sensie dosłownym i pozytywnym. Nie pasował do tych czasów. Jego światem były idee, a nie propaganda, dyskusje, a nie nagonki, poświęcenie, a nie kariera. Tym bardziej trzeba dziś o nim pamiętać.

FOT.: FOT. MUZEUM HISTORII POLSKI

eprasa.pl 914682253b

POSTĘPOWCY JĘCZĄ Z ZACHWYTU, ŻE KAMALA HARRIS TO PIERWSZA NIEBIAŁA WICEPREZYDENT USA, NO I PIERWSZA KOBIETA NA TYM STANOWISKU

MAREK JAN CHODAKIEWICZ

FOT. GAGE SKIDMORE

WSZYSCY LUDZIE WICEPREZYDENTKI

Ona sama podpompowuje swoje pochodzenie, podkreślając szczególnie murzyńskość, w tym nawet rzekome dziecinne wspomnienia o wymyślonym stosunkowo niedawno święcie Kwanza. Co dociekliwsi podkreślają jej afrojamajskie korzenie po ojcu, a tamilskie po matce.

Tylko niewielu wie, że Harris wywodzi się z demokratycznej maszyny partyjnej w północnej Kalifornii, której szefuje od niemal 50 lat Willie Brown. W karierze politycznej bardzo pomogła jej rola jego kochanki. Jak to się mówi w Ameryce: „all politics is local", czyli wszelka polityka ma miejscowe korzenie. Znam tę historię z autopsji.

Harris zjawiła się w życiu Browna, kiedy był u szczytu sławy i wpływów: najpierw jako radny, potem burmistrz San Francisco, a w końcu marszałek zgromadzenia stanowego (assembly speaker). Budował swoją pozycję przez dekady, a zwycięską formułę na maszynę miejscowej Partii Demokratycznej wynalazł w latach 70. ub. stulecia. Polegała ona na przymierzu mniejszości etnicznych i białej, radykalnej inteligencji wspieranym prawie wyłącznie przez białych milionerów o wrażliwości społecznej. Od tego czasu postępowcy dominują w Mieście nad Zatoką (City on the Bay).

Opisuje te ponure, perwersyjne i krwawe początki Daniel J. Flynn, „Cult City: Jim Jones, Harvey Milk, and 10 Days that Shook San Francisco" (Willmington, DE: ISI Books, 2018). Autor koncentruje się na jądrze postępowej koalicji: guru sekty religijnej o nazwisku Jim Jones oraz Harveyu Milku, przywódcy „wesołkowatej społeczności" (gay) w tym mieście. Obaj współpracowali blisko z Brownem. Pierwszy naganiał mu głosy, a drugi szedł z nim w kontrkulturowej koalicji. Do końca dekady lat 70. osiągnęli pozycję niemal monopolistyczną w San Francisco.

Jones założył sektę fundamentalistyczną opartą na elementach chrześcijańskich w Indianapolis w latach 50. Tak powstała Świątynia Ludów (Peoples Temple). Formalnie nie był samozwańcem. Uznały go za pastora dwie różne protestanckie orientacje. Ale działał osobno. Powoli jego interpretacja Biblii stawała się coraz bardziej ezoteryczna. W pewnym momencie zaczął uczyć, że jest pomazańcem Boga na ziemi. Nakazał sekciarzom zwracać się do siebie jako do Ojca. Z czasem stał się bardziej radykalny i obwołał się Jezusem – oczekiwanym mesjaszem.

Samodeifikacja natężyła patologie, które drążyły guru i jego sektę od początku. Jones od razu zrozumiał, że seks to potężny środek do sprawowania kontroli. Zaczęło się od podmiany żon (wife swapping). Na początku zachęcano dobrowolnie, potem tłumaczono, a z czasem stało się to obowiązkowe. Następnie Jones zaczął aktywnie praktykować biseksualizm. W pewnym momencie policja złapała go in flagranti w publicznej toalecie męskiej w Los Angeles, gdzie

eprasa.pl 914682253b

szukał anonimowych przygód. Kolejny krok to pedofilia. Ojciec przygruchiwał sobie dzieci sekciarzy. A na końcu zaczął testować wiernych, sprawdzając, czy na ochotnika popełniliby samobójstwo na jego rozkaz.

Jednocześnie zaczął coraz bardziej flirtować z komunizmem, który wnet – selektywnie – przyjął za swoją ideologię. Wychwalał Lenina i Stalina. Po pewnym czasie wyznawcy Jonesa zaczęli oficjalnie zmieniać swoje imiona na nazwiska wodzów bolszewickich. A dzieci chrzczono choćby imieniem Che. Codziennie Świątynia Ludów zaczynała swój dzień od odśpiewania „Międzynarodówki". Niektórzy zaczęli podcierać sobie tyłki kartkami z Biblii. Po co Stary i Nowy Testament, skoro byli Jim Jones oraz Lenin i Stalin? Naturalnie był to proces stopniowy, ale stale rosnący.

Jones uznał USA za zgniły, rasistowski, reakcyjny, nazistowski kraj. Poszukiwał miejsca na własny raj. Zwrócił się do Związku Sowieckiego z prośbą o pozwolenie na masową emigrację sekciarzy na Syberię. Odmówiono mu, więc próbował gdzie indziej. Pojechał na Kubę. Po powrocie rozpływał się w zachwycie. Według niego był to czerwony raj na ziemi. Miał tylko żal do Fidela Castro, że ten prześladował homoseksualistów, a za usługi aborcyjne kazał płacić. Podkreślmy, że to właśnie Willie Brown napisał osobiście list do Castro, aby wpuścił Jonesa na wyspę.

Poza tym guru utrzymywał bliskie więzy z mordercą i terrorystą Hueyem Newtonem i innymi Czarnymi Panterami. Zarówno pastora, jak i terrorystę fascynowała koncepcja „rewolucyjnego samobójstwa" jako sposobu na zbawienie. Miało to się wnet tragicznie odbić na wyznawcach Jonesa. Natężały się próby wierności, zabawy w samobójstwo. Jones obracał to w dowcip, tym sposobem psychologicznie obezwładniając swych wyznawców. Jednak wciąż wierzył w teologię „rewolucyjnego samobójstwa".

Taki czarny scenariusz spełnił się w 1978 r. w Jonestown w Gujanie, dokąd przeniosła się sekta. Ponad 900 osób (z czego więcej niż 304 dzieci) na rozkaz Jonesa (a wielu pod przymusem) popełniło samobójstwo, pijąc truciznę. Była to największa tragedia, która dotknęła obywateli USA – jeśli chodzi o liczbę zmarłych gwałtownie w czasach pokojowych – do czasu ataków terrorystycznych 11 września 2001 r.

Kamala Harris

Większość ofiar z Jonestown to Afroamerykanie. Jones zwabił ich na lep równości rasowej. Zakrawa to na parodię, że samozwańczym Jezusem czarnej w większości sekty był biały psychopata. Wystarczyło sączyć słodkie słowa o równości i całe tłumy waliły do Świątyni Ludów drzwiami i oknami w San Francisco. Jones kazał im oddawać sobie czeki zapomogi społecznej i przykazywał, aby głosowali na kandydatów, których wspierał – takich jak Willie Brown i Harvey Milk. To właśnie sekciarze tworzyli trzon koalicji.

Harvey Milk był mniej skomplikowany. Był nowojorczykiem, służył w marynarce wojennej, początkowo głosował na republikanów, uważał wtedy siebie bowiem za libertarianina. Okazało się jednak, że był libertynem, a jego wolność zaczynała się poniżej pasa. Przeprowadził się do San Francisco i oddał odpowiednim rozrywkom. Gustował w sadomasochizmie. Szczególnie odrażający był jego zwyczaj czatowania na nastoletnich (niekiedy małoletnich) uciekinierów, zapraszania do domu i uwodzeniu ich za pomocą narkotyków. Pewnego razu Milk poszedł do pracy i zostawił u siebie w domu wykorzystanego młodzieńca. Chłopiec popełnił samobójstwo.

O swoim trybie życia tak pisał w liście do przyjaciół: „Zbyt wiele do zrobienia dziś mam... ugotować obiad, wyruchać Jacka, posłuchać muzyki, wyruchać Jacka, pozmywać naczynia, wyruchać Jacka, wykąpać się i wyruchać Jacka, dlatego muszę już kończyć... bo Jack jest w sypialni i ma nową tubę oliwy, którą chce spróbować".

Milk zaczął udzielać się w „społeczności wesołkowatej". Organizował homoseksualistów jako zdyscyplinowanych wyborców. Dzięki nim trafił do rady miejskiej. Jego główni przeciwnicy to ludzie pochodzenia irlandzkiego czy meksykańskiego, zwykle katolicy – ale niestety demokraci.

Milk pobił ich z kretesem, splagiatował bowiem narrację praw człowieka, całkiem otwarcie i cynicznie opierając się na naukach Martina Luthera Kinga i jego ruchu czarnych Amerykanów. W ten sposób stał się jednym z pionierów sztuczki zrównywania seksualności z rasą. Według tej wykładni te dwa zjawiska są tożsame. Dzięki takim jak Milk stało się to również kamieniem węgielnym tzw. ruchu wesołkowatego wyzwolenia (gay liberation movement).

W 1978 r. Milk został zamordowany przez kolegę rajcę, swoje przeciwieństwo: Dan White to irlandzki katolik, weteran Wietnamu, spadochroniarz z 101 dywizji, policjant, strażak, a potem radny w San Francisco. Wraz z Milkiem White zastrzelił burmistrza miasta George'a Mosconego. Był to protest przeciwko złamaniu słowa przez mera w sprawie odrzucenia rezygnacji White'a, a szerzej przeciw korupcji miejskiej i szalejącej rewolucji obyczajowej oraz kontrkulturowej.

Tym sposobem Milk został świeckim świętym, którego czci się do dziś nie tylko w San Francisco, lecz i w całym kraju. Hollywood zrobił o nim hagiograficzny film. Wille Brown często o nim wspomina. Natomiast siedzi cicho na temat Jima Jonesa.

Właśnie takie brudne układy wyniosły Kamalę Harris na sam szczyt władzy w USA.

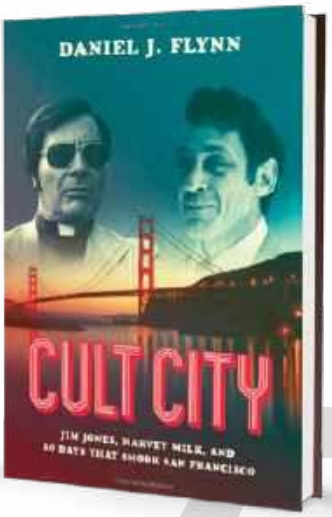

FOT. NUMENASTUDIOS/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 914682253b

„Hitler ma prosty język, naiwność, a zarazem technikę proroków. [...] Włada tłumem. Hipnotyzuje i podnieca zarazem" – pisał w 1933 r. w reportażach z Berlina Zygmunt Nowakowski

BERLIŃSKIE REPORTAŻE EMIGREJTANA

NIEWIELU POLSKICH PISARZY POTRAFIŁO W SWOICH REPORTAŻACH O HITLEROWSKICH NIEMCZECH UCHWYCIĆ ATMOSFERĘ POLITYCZNEGO PRZEŁOMU LAT 1932/1933. JEDNYM Z NICH BYŁ ZYGMUNT NOWAKOWSKI. WARTO SIĘ PRZYJRZEĆ JEGO „NIEMIECKIM" ZAPISKOM, NIE TYLKO Z POWODU 130. ROCZNICY URODZIN AUTORA

eprasa.pl 914682253b

WOJCIECH OSIŃSKI

W pierwszej połowie XX w. Berlin należał niewątpliwie do tych metropolii, w których historia zakręciła najwięcej piruetów. Zostawmy na boku kuszące wizje historii alternatywnej prowokujące do zadawania pytań, czy losy Republiki Weimarskiej mogły się potoczyć inaczej. Zresztą coraz częściej padają dziś przekonujące dla historyków argumenty, że prawdopodobnie by nie mogły. W odczuciu większości Niemców weimarska demokracja poniosła klęskę. Proklamacja Drugiej Rzeszy w 1871 r. była dla nich spełnieniem marzeń, dowartościowując ich poczuciem dumy i przekonaniem, że wreszcie zajęli miejsce godne wielkiego narodu. Miejsce, z którego Niemcy wcześniej były przez stulecia wyzute wskutek rozbicia na osobne państewka. Przy czym po I wojnie światowej nasi zachodni sąsiedzi nie chcieli bynajmniej zrezygnować ze swojej potęgi, nie zastanawiając się nad tym, czy nie zbudowali jej wcześniej na kolonizowaniu słabszych państw, również tych sąsiednich. Ogólne poczucie klęski oraz bóle fantomowe wynikające z utraty wschodnich terytoriów przywiodły Niemców pod koniec lat 20. XX w. do przekonania, że należy dawną świetność odzyskać choćby kosztem udzielenia bezwarunkowego poparcia furiatowi z Austrii. Ten zaś potrafił umiejętnie zarządzać ich rozhuśtanymi rojeniami o „wielkoniemieckim" mocarstwie. Tak czy inaczej kres epoki kajzerowskich Niemiec, porażka Weimaru tudzież powołanie Trzeciej Rzeszy – to wszystko nałożyło się także na palimpsestowy charakter dziejów międzywojennego Berlina.

Reporterskim okiem

Świadectwo tychże przemian w stolicy można odnaleźć w wielu publicystycznych reportażach z tych czasów. Warto wymienić choćby tak wybitnych niemieckich pisarzy jak Kurt Tucholsky czy Erich Kästner. Przewrót polityczny w Niemczech skutkujący kolejną katastrofą i kolejnym zerwaniem ciągłości wzbudził zainteresowanie także w Polsce. Przed wyborami w 1933 r. w polskich redakcjach pojawiło się zapotrzebowanie na informacje zza zachodniej granicy. Opiniotwórcze warszawskie pisma, jak „Wiadomości Literackie", delegowały do Berlina swoich korespondentów i niekiedy – szczęśliwym trafem – mistrzów literackiej eseistyki. Krakowski „Ilustrowany Kuryer Codzienny" wysłał do Niemiec swojego felietonistę Zygmunta Nowakowskiego, znakomitego pisarza i aktora, a także dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego. Wyborne reportaże autora „Gałązki rozmarynu" zostały opublikowane już w 1933 r. w zbiorze zatytułowanym „Niemcy à la minute". Kilka lat temu zawarte tam teksty zostały udostępnione polskim czytelnikom w poszerzonym wydaniu „Za zamkniętymi drzwiami". Warto o nich przypomnieć nie tylko z okazji przypadającej w tym roku 130. rocznicy urodzin Zygmunta Nowakowskiego (właściwie Zygmunt Tempka, 1891–1963).

Zygmunt Nowakowski

POLSKI PISARZ POTRAFIŁ JUŻ W 1933 r. ZARYSOWAĆ SYLWETKĘ NAZISTOWSKIEGO DYKTATORA CELNIEJ NIŻ NIEKTÓRZY POWOJENNI BIOGRAFOWIE HITLERA

Badacze, którzy ulegli modom dekonstruktywizmu „za wszelką cenę", dostrzegają w jego reportażach stylistyczne „niedociągnięcia". Miejscami rzeczywiście trudno nie zauważyć ich roboczego charakteru. Tyle że sprawozdawcze teksty są z natury doraźne i fragmentaryczne, właśnie w tym ich cała wartość. Rys korespondencji krakowskiego pisarza odzwierciedla niemieckie realia epoki lepiej, niż gdyby zostały one przed ich opublikowaniem poddane obróbce filologicznych „cenzorów". Zresztą Nowakowski o tym doskonale wiedział, sam był bowiem doktorem filologii polskiej. Aby móc uchwycić dokonujące się na jego oczach przejście ze swobodnego ducha Republiki Weimarskiej na restrykcyjny i zbrodniczy ustrój hitlerowskich Niemiec, musiał pisać właśnie w taki, a nie inny sposób.

Szybko i zdecydowanie

Wysłannik „Ikaca" przybył do Berlina w 1933 r., kiedy kryzys gospodarczy pogłębił doznane w Wersalu upokorzenia i gdy zagraniczna prasa zaczęła przypisywać Hitlerowi zamiar zaostrzenia retoryki. „Przecież to... rewolucja! Tak. Oto najodpowiedniejsze słowo, którego szukałem na próżno. Rewolucja. W tej chwili nabiera tempa, wzmaga się, ogarnia błyskawicznie wszystkie dziedziny życia i wszystkie kraje Rzeszy. Rewolucja ducha, a zarazem wielkie pranie" – zauważa Nowakowski. Krakowski korespondent okazuje się bacznym obserwatorem metamorfoz, którym na jego oczach zaczynają w zawrotnym tempie być poddawane miejskie przestrzenie Berlina. W założeniu hitlerowców symboliczne odcięcie się Trzeciej Rzeszy od Republiki Weimarskiej miało być widoczne od razu, bez fazy przejściowej. „Nagle »

FOT. NAC. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 914682253b

» podniosłem głowę i zobaczyłem chorągiew ze swastyką. Rano nie było jej na tym gmachu... Na tamtym także... I na tamtym... Przecież nie dalej jak przed godziną przechodziłem tą ulicą! Nie mylę się! Ulica była szara. Teraz jest czarna, biała i czerwona. Stało się to niesłychanie nagle. W ciągu chyba kilku minut" – pisze polski reporter.

Na ulicach stolicy Niemiec 88 lat temu, niemal z dnia na dzień, pojawiły się emblematy partii NSDAP oraz niezliczona liczba plakatów z antysemickimi hasłami szerzonymi przez dzieci w brunatnych koszulach. Nowakowski szybko dostrzegł, że wymierzona w Żydów propaganda stanowi nieodłączny element nowej niemieckiej ideologii zwiastującej najgorsze z możliwych nieszczęść. „Oni już mieli plan gotowy. I teraz idą na pewniaka. W tej czystce nie pominą niczego, żadnej, nawet najmniejszej części frontu i oficyn. Prasa i sąd, kliniki i operetka, radio i sport. Wszystko, wszystko! Gdy patrzę na to olbrzymie miasto, mam wrażenie, że zaaplikowano jakąś gigantyczną lewatywę kalibru co najmniej Grubej Berty!" – czytamy.

Banalne, a nawet jednakowe

Nowakowski oczywiście wie, że nie wszyscy berlińczycy są omamieni ideologią Hitlera. Już wtedy zaskakuje go jednak daleko posunięta bierność i obojętność wielu Niemców wobec represji, które dotykały Żydów. W 1933 r. korespondent „Ikaca" uchwycił w swoich tekstach atmosferę, która wtedy dopiero zaczęła ogarniać stolicę oraz inne miasta, a kilka lat później była już dla wielu mieszkańców Berlina „normalnością". Kiedy w 1942 r. umundurowani naziści zapędzali żydowskich mieszkańców ulicami dzielnicy Moabit na dworzec Westhafen, „aryjscy" sąsiedzi zamykali okna, by nie słyszeć ich krzyków. Brak przejawu jakiegokolwiek oporu wobec scen przemocy rozgrywających się latami na berlińskich podwórkach był coraz bardziej uderzający.

Uwadze wnikliwego dziennikarza z Krakowa nie mogła umknąć jeszcze inna istotna rzecz. W hitleryzmie argument estetyczny został zaprzężony w służbę zbrodniczej polityki, co nie mogło się nie odbić na kulturowym pejzażu stolicy. Przed 1933 r. Berlin tętnił życiem, a jego bary i kabarety przyciągały ludzi z całej Europy. O ile jeszcze w latach 20. pisarze zgodnie podkreślali różnorodność mieszkańców znad Sprewy (wiernie odrysowaną w tekstach Kurta Tucholskiego bądź obrazach Heinricha Zillego), o tyle już po przejęciu władzy przez nazistów Nowakowski przyjmuje z zaskoczeniem do wiadomości, że „twarze ich są banalne, a nawet – jednakowe".

W 1933 r. wielu Niemców upoiło się swoją euforią i przestraszyło zarazem jej skutków, co wpędziło ich w stan częściowej apatii. Było jednak już za późno, aby zatrzymać wzbierającą lawinę brunatnego terroru. „Gdy obcy idzie ulicą, i to nawet główną, coraz częściej zaczepiają go natrętne wzroki. Szukają opaski na ramieniu, potem kontrolują klapę marynarki. A kończą na nosie" – pisze krakowski „emigrejtan" (jeden z jego wielu używanych publicznie przydomków).

„HITLER ROZUMUJE NAIWNIE, MYŚLI PRYMITYWNYMI KATEGORIAMI, JEST GENIALNYM DYLETANTEM"

Zygmunt Nowakowski odnotowuje, że obok biernych i zmuszonych do emigracji osób, miliony Niemców dostrzegło w Adolfie Hitlerze wyczekiwanego Wodza, mającego przywrócić im utracony „honor". Sam Führer chętnie podchwycił puszczoną przez naród piłkę. „Hitler ma prosty język, naiwność, a zarazem technikę proroków. Ma również ich niezawodną rutynę. Mówi w kółko to samo. Ale są ludzie, którzy porównują go z... Goethem. W każdym razie musi to być wielki magik. Kobiety mdleją, dostają ataku histerii. Całują szklankę, z której pił wodę... Zjawia się na estradzie, poprzedzony trabantami, głosem i pieśnią. Włada tłumem. Hipnotyzuje i podnieca zarazem" – zauważa Nowakowski. Polski pisarz potrafił już w 1933 r. zarysować sylwetkę nazistowskiego dyktatora celniej niż niektórzy jego powojenni biografowie. „Hitler rozumuje naiwnie, myśli prymitywnymi kategoriami, dąży do upraszczania najbardziej skomplikowanych zjawisk. Jest genialnym dyletantem" – czytamy w zapiskach „Niemcy à la minute".

Odrodzone mity

Nowakowski nie lekceważy Hitlera i bierze pod uwagę, że jego umiejętności nie ograniczają się jedynie do talentów oratorskich. Widzi i słyszy, że Führer sprawnie zarządza niemieckimi umysłami, wprasowując germańskie mity w swoje propagandowe potrzeby. Przede wszystkim jednak, że trafnie odczytał nastroje społeczne. Hitler sam ich nie wywołał.

Już w 1930 r., czyli trzy lata przed objęciem przezeń władzy, Niemcy przeszły właściwie do rządów pod znakiem na wpół autorytarnej konstytucji rezerwowej. Rządy Paula von Hindenburga przypominały praktykę rządzenia w czasach władzy zwierzchniej kajzera. Osłabienie Reichstagu ożywiło siły antyparlamentarne, z czego największe korzyści odniósł niedoszły malarz z Braunau am Inn. Hitler zręcznie posługiwał się mitem Cesarstwa Niemieckiego, które nigdy nie było w pełni demokratyczne. W ten sposób mógł się z jednej strony z pozoru opowiadać za prawem wyborczym, a z drugiej przywoływać sięgające kajzerowskich czasów i tym samym głęboko zakorzenione w niemieckiej duszy urazy do parlamentaryzmu. Nowakowski słusznie zauważa, że Hitler był przede wszystkim głównym beneficjentem „nierównoczesnej demokracji" Niemiec.

Podczas swojego trzytygodniowego pobytu w Trzeciej Rzeszy polski pisarz przebywał jeszcze w Lipsku, Kolonii oraz Monachium. Jednak tylko w Berlinie, gdzie do dziś kontrastują ze sobą cienie różnych epok, Nowakowski mógł niczym w soczewce odczytać zachodzące w Niemczech zmiany i napisać genialne w swoim profetyzmie reportaże. Dla niektórych dopiero dziś odsłaniają one swoje znaczenie, podobnie zresztą jak późniejsze jego teksty, w których felietonista londyńskich „Wiadomości" wśród łomotu komunistycznych zagłuszarek podnosił żarliwy protest przeciwko ustrojowi Polski Ludowej.

eprasa.pl 914682253b

GÓRNA PÓŁKA

Czerwona dynastia

ANTONI DUDEK

Kiedy w grudniu 2011 r. Kim Dzong Un obejmował władzę w Korei Północnej, wielu obserwatorów żywiło nadzieję, że jego młody wiek (27 lat) przyczyni się do rozkładu totalitarnego państwa. Blisko dziesięć lat później widać, że były to złudzenia.

Ten otyły i sprawiający wrażenie niezbyt rozgarniętego młody człowiek okazał się godnym następcą założyciela pierwszej komunistycznej dynastii, swojego dziadka Kim Ir Sena. Znacznie skuteczniejszym od schorowanego ojca – Kim Dzong Ila, po którym odziedziczył czerwony tron.

Poświęcona Unowi książka byłej analityczki CIA Jung H. Pak pozwala zrozumieć, w jaki sposób ten pozornie mało doświadczony człowiek zdołał w ciągu kilku lat skonsolidować pogrążający się w kryzysie reżim. Przede wszystkim sprzyjała mu sytuacja międzynarodowa. Chiny, które odbierają blisko 90 proc. północnokoreańskiego eksportu, nie były zainteresowane destabilizowaniem reżimu Kimów. Nie była też tym zainteresowana Rosja, która jak mogła próbowała rywalizować z Pekinem o utrzymanie wpływów w Korei Północnej. Putinowi do tego stopnia zależało na sympatii Pjongjangu, że w 2014 r. anulował większość sięgającego aż 11 mld dol. zadłużenia Korei Północnej wobec Rosji. A później do akcji wkroczył z wdziękiem słonia w składzie porcelany prezydent USA Donald Trump, który uwierzył, że swoimi oratorskimi talentami skłoni Una do rezygnacji z fundamentu jego władzy, czyli posiadania broni nuklearnej.

Dwa spotkania Trumpa z Unem, które zakończyły się kompletnym fiaskiem, zapewniły północnokoreańskiemu reżimowi paliwo propagandowe na długie lata. W rezultacie, poddawanemu permanentnej indoktrynacji przeciętnemu poddanemu Una, znacznie trudniej przyjdzie zwątpić w mocarstwowość swojego kraju, skoro z jego „najwyższym przywódcą" spotyka się – i to w roli petenta – sam prezydent USA. Nie bardzo też przemówi mu do wyobraźni informacja, że wymiana handlowa Korei Południowej jest 130 razy większa niż Północnej, skoro ta pierwsza musi utrzymywać na swoim terytorium wielotysięczny amerykański korpus wojskowy, aby ochronić się przed milionową armią Una wyposażoną w broń nuklearną.

Oczywiście Un postawił nie tylko na argumenty militarne. Bezlitośnie rozprawił się też z potencjalnymi konkurentami do władzy, czego symbolem stało się widowiskowe zabójstwo jego przyrodniego brata Dzong Nama, otrutego na oczach kamer na lotnisku w Malezji w 2017 r.

Jung H. Pak, „Kim Dzong Un. Historia dyktatora", Warszawa 2020

POLSKIM OKIEM

Babcia Czarnecka i dzieci z getta...

RYSZARD CZARNECKI

Dowiedziałem się, jaki jest temat najnowszego numeru „wSieci Historii" i postanowiłem napisać o mojej Babci – Bronisławie Czarneckiej. Podczas okupacji niemieckiej była żołnierzem AK i współpracowała z Radą Pomocy Żydom „Żegota".

W jej mieszkaniu w Warszawie (gdzie się urodziła), w Śródmieściu przy ul. Wareckiej 9, na ostatnim w tym budynku szóstym piętrze, były przechowywane żydowskie dzieci wyprowadzane z getta. Po wojnie babcia Bronia nie mówiła o tym, bo była z tej staroświeckiej szkoły, w której – może to i źle? – nie mówiło się o własnych zasługach.

Dzieciaki z getta spędzały w mieszkaniu Babci i Dziadka pierwszą kluczową noc. Taka była reguła, choć ojciec opowiadał mi, że w jednym przypadku nie znaleziono na czas mieszkania na dłużej i żydowskie dziecko było w babcinym mieszkaniu chyba ze trzy noce. W sumie nocowało tam blisko 30 dzieci. Najmłodsze miało dwa lata, najstarsze – około dziesięciu.

Po agresji Niemiec na Polskę okupacyjne władze podzieliły mieszkanie na Wareckiej na dwa osobne. W drugim zakwaterowano... oficera Wehrmachtu, Austriaka. Mieszkała tam również jego żona. Ukrywanie tam żydowskich dzieci – mieszkanie jako choćby jednodniowa „meta" – było pomysłem ryzykownym, a z drugiej strony przecież „najciemniej jest pod latarnią"...

Konspirację ułatwiało to, że do mieszkania prowadziły dwie windy: jedna od frontu, z wyściełaną ławeczką do siedzenia i kryształowym lustrem, druga od podwórza, dla służby.

Budynek powstał ok. 1914 r. i był uważany za bardzo elegancki. Dziadek Henryk Karol Czarnecki – był od 1905 r. dyrektorem teatrów w różnych miastach Polski: Kaliszu, Płocku, Kielcach, Sosnowcu, Katowicach, Częstochowie (gdzie zresztą zmarł niedługo po wojnie, po powstaniu wygnany przez Niemców z Warszawy wraz z całą rodziną), Grudziądzu.

A teraz najważniejsze: jedno żydowskie dziecko było przechowywane w mieszkaniu dziadków Czarneckich znacznie dłużej niż pozostała blisko trzydziestka. Mojego ojca, urodzonego w 1934 r., nie było przez dłuższy czas w Warszawie – był u rodziny we wschodniej Polsce – i na jego papierach, udając małego Henia, mieszkał przez ponad rok żydowski chłopiec w podobnym wieku...

Babcia Bronisława nigdy się nie chwaliła tym, co robiła. Bardzo oburzało ją tylko – pamiętam nasze rozmowy – gdy w drugiej połowie lat 80. zapanowała moda na oskarżanie Polaków o antysemityzm...

Babcia Czarnecka nie ma drzewka w Yad Vashem. A przecież takich cichych bohaterów jak ona było wielu...

eprasa.pl 914682253b

Z OKAZJI OBCHODÓW STULECIA CUDU NAD WISŁĄ POSTAĆ NUNCJUSZA BYŁA WIELOKROTNIE PRZYWOŁYWANA. JEGO DOKONANIA W POLSCE PRZYCZYNIŁY SIĘ OGROMNIE DO JEGO WYBORU NA PAPIEŻA 6 LUTEGO 1922 r.

Tablica upamiętniająca 50-lecie kapłaństwa Achille Rattiego – papieża Piusa XI, kościół parafialny w Sobocie

JERZY MIZIOŁEK

ACHILLE RATTI – PAPIEŻ PIUS XI

– W POLSKIEJ KULTURZE ARTYSTYCZNEJ

Wśród dzieł sztuki związanych z przyszłym papieżem Piusem XI znajduje się monumentalny tryptyk w ołtarzu głównym kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku w Warszawie. Ta piękna świątynia, uratowana dzięki Opatrzności Bożej od pożogi II wojny światowej, powstała jako wotum za Cud na Wisłą. Zanim przejdziemy do omówienia tego tryptyku i przywołania innych dzieł sztuki i pamiątek po nuncjuszu Rattim, należy przypomnieć mniej znane fakty z jego życia w Polsce. W tym świetle o wiele łatwiej zrozumieć powstanie nie tylko tryptyku na Kamionku, lecz także innych jego wizerunków i poświęconych mu tablic pamiątkowych, jak i arcypolskich w swej treści fresków w papieskiej kaplicy w Castel Gandolfo oraz w kaplicy polskiej w bazylice w Loreto.

Achille Ratti w Polsce i pamiątki z nim związane

Jak powszechnie wiadomo, apogeum dobrych relacji między I Rzecząpospolitą a Stolicą Apostolską miało miejsce w czasach Jana III Sobieskiego, zwłaszcza po słynnej odsieczy Wiednia w 1683 r. Papiestwo nie było niestety w stanie zapobiec upadkowi państwa polskiego w końcu XVIII w., ale niemal do rangi symbolu urasta to, że nuncjusz papieski Lorenzo Litta był ostatnim ambasadorem, który opuścił stolicę Polski po jej unicestwieniu przez zaborców w 1795 r. Jakby z niedowierzaniem, że tak wielkie katolickie państwo zniknęło z mapy świata, wyjechał dopiero na początku 1797 r. Trzy dekady później w relacjach Polski z Rzymem doszło do prawdziwie dramatycznego wydarzenia. Papież Grzegorz XVI, nie najlepiej zorientowany w sytuacji politycznej i dający posłuch rosyjskiej dyplomacji, potępił powstanie listopadowe. Jednak jego następcy – wśród nich Pius IX i Leon XIII – mocno wspierali działania prowadzące do odrodzenia Polski. Kilka lat po upadku powstania styczniowego miało miejsce wydarzenie o głęboko symbolicznym znaczeniu. Do Polski przywieziono ozdobną świecę, która płonęła w 1866 r. w Rzymie podczas uroczystości kanonizacyjnych bp. Jozafata Kuncewicza. Papież Pius IX, wręczając ją biskupowi Pelczarowi, nakazał jej przechowywanie do momentu odrodzenia Polski. Świeca ta trafiła do rąk abp. Aleksandra Kakowskiego i jako symbol wartości chrześcijańskich oraz patriotycznych była obnoszona przez wiele lat po ulicach Warszawy, m.in. w procesjach w święto Bożego Ciała.

Wyrazem mocnego wsparcia Watykanu dla sprawy polskiej było ulokowanie w Rzymie w 1842 r. polskiej kongregacji zmartwychwstańców, która w 1885 r. doczekała się własnej świątyni na via San Sebastianello, w samym sercu miasta. Jak wspomniana świeca papieska, także oni mieli swoimi modlitwami świecić blaskiem idei odrodzenia Polski. W 1883 r., w 200-lecie wiktorii wiedeńskiej, doszło do umieszczenia w Pałacu Papieskim w Watykanie obrazu Jana Matejki „Sobieski pod Wiedniem", gdzie do dzisiaj oglądany jest przez miliony zwiedzających z całego świata.

eprasa.pl 914682253b

Jan Wiśniewski, tryptyk w ołtarzu głównym kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej na Kamionku w Warszawie, na prawym skrzydle klęczy nuncjusz Achille Ratti

To wydarzenie i kolejne, kiedy kard. Jan Puzyna zgłosił w czasie konklawe w 1903 r. skuteczne weto przeciw kandydaturze na stolec apostolski prorosyjskiego kandydata – Mariana Rampolli de Tindara – pokazują proces zmazywania wspomnianego bolesnego potępienia powstania listopadowego przez Grzegorza XVI.

25 kwietnia 1918 r. Benedykt XV mianował prałata Achillesa Rattiego (1857–1939) wizytatorem apostolskim dla metropolii warszawskiej. „Nie wiem, jak to się stało – pisze o Rattim ks. Walerian Meysztowicz – że go Benedykt XV, na pewno wbrew jego własnej woli, wyrwał z biblioteki i posłał do Polski. Może chodziło papieżowi o to, by mieć naprawdę ścisłe, naukowo dokładne wiadomości z tego kraju, który tak nieoczekiwanie zrastał się z trzech zaborów w podwójnej walce z ginącymi cesarstwami germańskimi i z zupełnie nowym zjawiskiem, jakim był bolszewizm".

Wybór Rattiego, uczonego teologa z trzema doktoratami i bibliotekarza ze słynnej Biblioteki Ambrozjańskiej w Mediolanie, na wysłannika z arcytrudną misją okazał się wręcz doskonały. Jego ogromna pracowitość, wiedza o Europie Środkowej i naturze bolszewizmu zostały docenione tak bardzo, że niedługo po powrocie z Polski w 1921 r. został kardynałem, a w lutym następnego roku papieżem. Przez cały okres swego pontyfikatu Pius XI dawał odpór nie tylko komunistycznej wizji świata, lecz także niemieckiemu nazizmowi (encyklika „Divini Redemptoris"): nie wpuścił Hitlera do Muzeów Watykańskich w czasie jego wizyty w Rzymie w maju 1938 r.; udał się do Castel Gandolfo, gdzie modlił się w urządzonej przez siebie w latach 1932–1935 kaplicy z kopią obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i ozdobionej – przez polskiego malarza Jana Henryka Rosena – freskami ukazującymi „Obronę Jasnej Góry" w czasie potopu i „Cud nad Wisłą".

Prałat, a następnie biskup Achille Ratti był aktywnym świadkiem odradzania się Polski i jej heroicznej walki z sowieckim najeźdźcą. Ponadto właśnie w Warszawie (19 października 1919 r.) otrzymał sakrę biskupią i niezłomnie pozostał w tym mieście nawet w okresie największego zagrożenia, w sierpniu 1920 r.; co więcej, odwiedził miejsce batalii pod Ossowem i Radzyminem tuż przed śmiertelnym starciem. Był doktorem honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego i kawalerem Orderu Orła Białego. O okolicznościach wręczenia – tuż przed konklawe w lutym 1922 r. – tego najważniejszego polskiego odznaczenia pisze świadek tamtych czasów – cytowany już prałat Meysztowicz. Do dziś zachował się dyplom uniwersyteckiego doktoratu honorowego i odręczny list z podziękowaniami – już wówczas Piusa XI – dla prof. Jana Mazurkiewicza, rektora Uniwersytetu Warszawskiego. Inną cenną pamiątką po nuncjuszu Rattim w Warszawie jest jego tron biskupi przechowywany w jednym z klasztorów. O jego serdecznym stosunku do naszego kraju i heroizmu Polaków w czasie Bitwy Warszawskiej – już jako papieża – najlepiej świadczą malowidła zamówione do kaplicy w Castel Gandolfo i obecność jego wizerunku w scenie „Cudu nad Wisłą", wykonanej przez Artura Gattiego w Loreto.

Liczne zdjęcia z Józefem Piłsudskim i innymi politykami, ale przede wszystkim fotografie wykonywane w czasie wizytowania wielu mniejszych i większych parafii, pokazują skalę aktywności tego niestrudzonego wysłannika papieskiego, a następnie nuncjusza. Rezydował przy ul. Książęcej 21, nieopodal kościoła św. Aleksandra, i to właśnie tu przebywał w czasie największego naporu bolszewików na Warszawę w owe sierpniowe dni 1920 r. „Byłem w Warszawie – pisze jeden z dyplomatów – w tym czasie, kiedy hordy bolszewickie miały spaść na stolicę Polski. Wszyscy byli przerażeni, ciało dyplomatyczne gotowało się do wyjazdu. Udałem się do abp. Rattiego. Byłem oszołomiony jego spokojem. – Wszyscy wyjeżdżają – rzekłem. – Ja zostaję – odparł niewzruszony. A gdy z tego powodu wyraziłem zdziwienie, dodał spokojnie: – Doskonale zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, ale dziś rano przy ofierze mszy świętej poświęciłem życie Bogu. Przygotowany jestem na wszystko".

O miejscu zamieszkania nuncjusza Rattiego w Warszawie przypomina spiżowa tablica umieszczona na fasadzie okazałego budynku parafialnego wspomnianej świątyni. Upamiętniają tamten czas również osobiste zapiski i listy przyszłego papieża, w których mowa jest m.in. o starciu anioła światłości z ciemnymi siłami zła. 17 sierpnia, a więc tuż po zwycięstwie, nuncjusz Ratti wraz z gen. Józefem Hallerem i abp. Kakowskim dziękował za nie, modląc się do wizerunku Matki Boskiej w Mińsku Mazowieckim. Mieli tam być obecni również członkowie francuskiej misji – gen. Maxime Weygand i młody oficer Charles de Gaulle.

Nie ma potrzeby przypominania tu licznych faktów z przeszło trzyletniej działalności Achillesa Rattiego w Polsce, ale w kontekście interesujących nas malowideł, będących wyrazem jego przywiązania do polskich spraw, warto przywołać dwa wydarzenia z jego intensywnego wizytowania kolejnych diecezji. Niedługo po przybyciu do Warszawy, w połowie lipca 1918 r., udał się najpierw na kilka dni na Jasną Górę, a następnie do diecezji sandomierskiej i lubelskiej. Przyszły papież opisał te wizytacje w listach pełnych entuzjazmu kierowanych do kard. Petra Gasparriego, ówczesnego sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej. W jednym z nich, z 2 listopada, ale dotyczącym wizyty we Włostowie na początku września 1918 r., czytamy o tym, jak wysłannika papieża Benedykta XV uhonorowano wielkim łukiem triumfalnym ozdobionym kolorami papieskimi, pod którym czekali na niego biskup sandomierski Ryx i prałat Kubicki, duchowni całego dekanatu i wielki tłum wiernych. Przyszły papież uznał to serdeczne powitanie, dzięki łukowi triumfalnemu bardzo rzymskie w duchu, za głęboko poruszający akt »

eprasa.pl 914682253b

wiary. Z takim serdecznym przyjęciem spotykał się na każdym kroku.

Niestrudzony wizytator odwiedził też Kraków i jego okolice, wreszcie – po krótkim odpoczynku w Warszawie – udał się wraz z abp. Aleksandrem Kakowskim do dekanatu łowickiego. Odwiedził m.in. parafie Chruślin i Sobota. Na nocleg przyjęto go w zabytkowym pałacu w Walewicach, będącym wówczas w posiadaniu rodziny Grabińskich. Pobyt w pałacu utrwalono na zdjęciu, a wizyty w wymienionych parafiach, a także w Łowiczu upamiętniają do dziś okrągłe tablice/medaliony z brązu z portretem papieża. Na tabliczce objaśniającej upamiętnienie tej szczególnej wizyty pastoralnej w pięknym gotycko-renesansowym kościele w Sobocie czytamy: „Roku Pańskiego 1928–1929 z okazji 50-lecia kapłaństwa Jego Świątobliwości Ojca św. Piusa XI największego przyjaciela odrodzonej Polski ufundowało tę płaskorzeźbę 16 kółek różańcowych". W jednej ze impresji z swoich wizytacji, zapewne z tej w Łowickiem, Achille Ratti trafnie zauważył, że stroje ludowe przypominają ubranych w kolorowe, pasiaste ubiory dworzan papieża Juliusza II na freskach Rafaela w Watykanie.

Wizerunki nuncjusza Rattiego

W napisie na tablicy w Sobocie nie znajdujemy bezpośredniego odniesienia do Bitwy Warszawskiej, ale myśl o niej jest bez wątpienia zawarta w słowach mówiących o „odrodzonej Polsce". Ta odrodzona Polska, ograbiona i zrujnowana przez najeźdźców w kilka lat po zwycięskiej wojnie z bolszewikami, wystawiła na warszawskim Kamionku piękny i przestronny kościół wotywny. To właśnie w tym miejscu w skromnej kaplicy odprawił swoją ostatnią mszę św. ksiądz Ignacy Skorupka, tu też spowiadał studentów Uniwersytetu Warszawskiego i harcerzy będących żołnierzami sławnego 36 pułku piechoty Legii Akademickiej.

Kościół zaczęto wznosić w 1925 r., ale większość prac – w iście rekordowym tempie – wykonano w latach 1929–1931. Serce tej pełnej elegancji świątyni w stylu art déco stanowi tryptyk Jana Wiśniewskiego z 1935 r., z wizerunkiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem (Matki Boskiej Zwycięskiej) w centrum. Na lewym skrzydle widnieją dwaj święci – Andrzej Bobola i św. Stanisław Kostka, zaś na prawym – na tle rozgrywającej się bitwy – ks. Skorupka i bp Ratti. Ukazany poniżej bohaterskiego księdza klęczący nuncjusz, ze złożonymi modlitewnie rękoma, wpatruje się nabożnie w oblicze Madonny i Dzieciątka Jezus. Jego wizerunek tchnie radosną wiedzą o cudzie. Zwycięstwo zostało wymodlone.

W takiej samej pozie widzimy Achillesa Rattiego we freskach w kaplicy polskiej w słynnej bazylice w Loreto. Wykonał je wprawdzie nie polski (jak w Castel Gandolfo) artysta, lecz włoski – Arturo Ratti – ale w ufundowanie kaplicy i jej program ikonograficzny zaangażowany był polski episkopat, tak więc w części należy do polskiej kultury artystycznej.

Słynna bazylika w Loreto, za sprawą znajdujących się w niej Domku Matki Boskiej i licznych dzieł sztuki, jest od wieków celem pielgrzymek z całego świata. W jej ogromnym wnętrzu mieści się także kilka kaplic narodowych, pośród nich jest również kaplica polska. Pomysł na jej powstanie narodził się już w 1907 r., a więc na ponad dekadę przed ponownym pojawieniem się Polski na mapie świata. Praca nad jej pełnym ozdobieniem i wyposażeniem trwała niezwykle długo. Pomimo bez mała 40-letniego okresu pracy powstało niezmiernie interesujące dzieło, bogate w treści religijne i patriotyczne. Obok scen o tematyce chrystologicznej i maryjnej tematami głównymi są „Odsiecz wiedeńska" i „Bitwa Warszawska".

Czy o namalowaniu Cudu nad Wisłą zdecydował prymas August Hlond czy Aluigi Cossio, biskup Loreto czy raczej sam ówczesny papież Pius XI? Wydaje się to całkiem prawdopodobne. Jeśli nawet sugestia wyszła od biskupa Cossia, to niewątpliwie dlatego, że znane mu były związki papieża z Polską. Tak oto w Loreto powstało malowidło o niezwykle ciekawej ikonografii.

W centrum górnej części fresku, na tle błękitu nieba, widać w dysku promienistym Matkę Boską z Dzieciątkiem, podczas gdy z lewej strony aniołowie unoszą do nieba ks. Ignacego Skorupkę, śmiertelnie rannego w bitwie pod Ossowem – ta dramatyczna scena ukazana jest poniżej. Po prawej stronie sfery nieba przedstawieni są na klęczkach: nuncjusz Ratti, arcybiskup warszawski, kard. Aleksander Kakowski i prymas Polski, kard. Edmund Dalbor. Na pierwszym planie dolnej części malowidła Gatti ukazał dramatyczne zmagania żołnierzy polskich i sowieckich. Ci pierwsi – dowodzeni przez Józefa Piłsudskiego, Naczelnego Wodza, w otoczeniu generałów Tadeusza Rozwadowskiego i Józefa Hallera – zdecydowanie zwyciężają.

Dzięki jednemu ze studiów przygotowawczych wykonanych przez malarza możemy dokonać całkowicie pewnej identyfikacji Achillesa Rattiego w grupie skupionych na modlitwie hierarchów kościelnych. Przedstawiony jest po prawej stronie, w ujęciu z profilu, nad jego głową świeci dysk słońca z papieską tiarą w centrum. Tak oto w latach 1933–1939 powstało – w znacznym stopniu dzięki Piusowi XI – imponujące malowidło z jego „obecnością", ukazujące jedną z najważniejszych bitew w dziejach świata. Już w czasie wspomnianych wizytacji przychodziło Rattiemu nieraz myśleć o Polsce jako przedmurzu chrześcijaństwa. Pisał o tym w swoich listach z Polski kierowanych do Watykanu, by następnie, w czasach swej posługi apostolskiej, być animatorem i świadkiem powstania dwóch arcypolskich w charakterze malarskich opowieści o bohaterstwie Polaków pod Częstochową, Wiedniem i Warszawą.

O heroicznym nuncjuszu i wielkim papieżu pamiętano także w 2019 r. 6 czerwca w siedzibie Nuncjatury Stolicy Apostolskiej przy al. Szucha w Warszawie odsłonięto odlany w brązie pomnik (obok na zdj.) autorstwa Armada Benata. Napis umieszczony na cokole głosi:
„Na pamiątkę
setnej rocznicy
nominacji ks. Achillesa Rattiego
późniejszego papieża Piusa XI
na pierwszego Nuncjusza Apostolskiego
w Warszawie
po przywróceniu relacji dyplomatycznych
między Polską i Stolicą Apostolską"
6 VI 2019

Rafał Łatka rozmawia z...

...dr. hab. Pawłem Skibińskim o najnowszym, czwartym tomie „Pro memoria" kardynała Stefana Wyszyńskiego z lat 1956–1957

Panie profesorze, ukazał się właśnie wyczekiwany tom IV zapisków „Pro memoria" kardynała Stefana Wyszyńskiego, obejmujący notatki z lat 1956–1957. Jakie w pana przekonaniu najistotniejsze tematy prymas tam opisywał?

Paweł Skibiński: W tomie IV „Pro memoria", opracowanym przez toruńskiego badacza Michała Białkowskiego, który dotyczy okresu następującego tuż po zwolnieniu kardynała Wyszyńskiego z komunistycznego więzienia, znajdujemy kilka naprawdę zasadniczych kwestii. Mam tu na myśli choćby próbę znalezienia przez Kościół katolicki w Polsce nowego modus vivendi z państwem komunistycznym, usiłowanie wyjaśnienia przez prymasa sytuacji wewnętrznej Kościoła w Polsce i rozliczenia się z księżmi patriotami oraz „postępowymi" katolikami zaangażowanymi w akcję ubezwłasnowolnienia Kościoła przez komunistów w okresie do 1956 r. i w relacji Episkopatu Polski do Stolicy Apostolskiej. Jesteśmy także świadkami rozpoczęcia przez prymasa realizacji jego sztandarowego programu duszpasterskiego – Wielkiej Nowenny Tysiąclecia Chrztu Polski. Poza tym możemy obserwować wraz z prymasem próby odrodzenia się życia religijnego i społecznego w naszym kraju po latach stalinowskiego zamrożenia, które kończą się jednak w znacznej mierze niepowodzeniem. Może szczególnie interesujący jest aspekt aktywizacji w tym czasie tzw. katolików oficjalnych – zarówno środowisk PAX-owskich i post-PAX-owskich, jak i tych, które stworzą tzw. ruch Znak, którzy próbowali znaleźć swoje miejsce w życiu społeczno-politycznym PRL i stopniowo są uzależniani przez władze państwowe.

Czy możemy znaleźć zapisy dotyczące tego, jak internowanie odmieniło prymasa?

Myślę, że zwłaszcza fragmenty zapisków związane z kwestią znaczenia programu Wielkiej Nowenny pokazują duchową przemianę, jaka zaszła u prymasa Wyszyńskiego w okresie uwięzienia. Cała koncepcja tzw. macierzyńskiej niewoli Maryi, rozwijana przez kardynała w odpowiedzi na moralne wyzwania tych lat, była owocem jego głębokiego życia duchowego z lat, gdy trwał w przymusowej izolacji więziony przez komunistów. Można więc powiedzieć, że z więzienia prymas wyszedł z koncepcją obchodów milenijnych opartych na pogłębionym kulcie maryjnym.

Jakie wyzwania kardynał Wyszyński uważał w latach 1956–1957 za najważniejsze?

Wydaje mi się, że z jednej strony było to możliwie maksymalne odwojowanie przez Kościół terenu instytucjonalnego i społecznego, bezprawnie zagrabionego przez totalitarne państwo przed 1956 r. Z drugiej było to oczyszczenie struktur kościelnych z osób skompromitowanych jawną kolaboracją z komunistami, przy jednoczesnym zachowaniu niezbędnej jedności Episkopatu Polski i spójności struktur kościelnych. Niektóre z tych wyzwań są rzadko dostrzegane przez historyków. Tytułem przykładu wymieniłbym w tym kontekście pierwszy etap odbudowy jawnej działalności kościoła greckokatolickiego w Polsce, w co prymas angażuje się jako pełniący funkcję ordynariusza dla rozproszonych wiernych tego obrządku, pozbawionych po 1945 r. niemal wszystkich praw.

Jak kształtuje się obraz władz komunistycznych w zapiskach prymasa z tego okresu?

Obraz komunistów, z którymi styka się prymas w latach 1956–1957, jest złożony. Ekipa Gomułki, z oddelegowanym przez komunistycznego lidera na „odcinek wyznaniowy" Zenonem Kliszką na czele, wydaje się pod pewnymi względami łagodniejsza niż ich towarzysze z okresu bierutowskiego. Zawierają przecież tzw. małe porozumienie z Kościołem, umożliwiające Kościołowi katolickiemu zachowanie elementarnej autonomii wewnętrznej. Jednak jednocześnie – mimo że jest to okres względnego zawieszenia broni w walce państwa komunistycznego z Kościołem w Polsce – to prymas nie ma wątpliwości, że trzeba zbierać siły do dalszej walki – w końcu komuniści nie zwracają Kościołowi organizacji Caritas, zagarniętej bezprawnie w 1950 r., a ustanowiony do szykanowania Kościoła Urząd ds. Wyznań nadal działa. Gdzieś w tle dostrzegamy zaś działalność ekipy Chruszczowa, która w Związku Sowieckim zaostrza przecież politykę wobec Kościołów chrześcijańskich w stosunku do okresu stalinowskiego.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE OM.IPN

RAFAŁ ŁATKA
Biuro Badań Historycznych IPN

W KRĘGU KLIO

Antykomunizm znowu w modzie

Adalbert Rock [Henryk Glass], „Mein Kampf Józefa Stalina. Rewolucyjna strategia i taktyka komunistycznego imperializmu", wstęp i oprac. Karol Sacewicz, Białystok-Warszawa 2020, IPN

Mirosław Dzielski, „O potrzebie twórczego antykomunizmu. Wybór pism", wstęp i redakcja Maciej Zakrzewski, Kraków 2020, Ośrodek Myśli Politycznej

Antykomunizm w Polsce pozostaje zjawiskiem ciągle niewystarczająco opisanym; ba, przez wiele środowisk o lewicowych poglądach jest w dalszym ciągu wyszydzany jako rzekomo trend antyintelektualny. Dodać należy, iż przyczyniła się do tego dominacja medialna środowiska „Gazety Wyborczej" funkcjonująca przez pierwsze 20 lat od transformacji ustrojowej, na łamach której antykomunizm był regularnie wykpiwany. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro Adam Michnik i wielu jego bliskich współpracowników postanowiło budować „nową Polskę" z dawnymi aparatczykami PZPR, a wielu dziennikarzy tego pisma wywodziło się z komunistycznych rodzin. Na szczęście w XXI w. spojrzenie na antykomunizm zaczęło się zmieniać. Powstawały znakomite prace dotyczące jego ważnych przedstawicieli, intelektualnych liderów. Widać to choćby po wielkim zainteresowaniu postaciami Józefa Mackiewicza i Zbigniewa Herberta. Od kilku lat rozwijają się badania nad antykomunizmem w Polsce, wydawane są monografie i prace źródłowe poświęcone myślicielom zwracającym uwagę na zagrożenie, jakie stanowił komunizm. Mogą być one przydatne także dzisiaj jako ostrzeżenie przed marksizmem kulturowym, który zyskuje w Europie (szczególnie Zachodniej) coraz większe znaczenie.

Chciałbym zwrócić uwagę czytelników „wSieci Historii" na dwóch niezwykle interesujących myślicieli, którzy w różny sposób pokazywali, że komunizm jest zjawiskiem antyludzkim, które należy zwalczać. Chodzi o Henryka Glassa i Mirosława Dzielskiego. Ich dorobek intelektualny nie jest niestety szeroko znany w Polsce, ale można mieć nadzieję, że z czasem się to zmieni, a być może przyczynią się do tego książki świeżo wydane przez IPN i Ośrodek Myśli Politycznej.

Niezwykle pożyteczną publikacją pozwalającą na zapoznanie się z celami komunizmu jest niewydana dotychczas praca Henryka Glassa: „Mein Kampf Józefa Stalina". Karol Sacewicz, autor wprowadzenia i opracowania tej pozycji, trafnie zwrócił uwagę, że walka z komunizmem była życiową misją Glassa. Dzieło tego żołnierza i jednocześnie intelektualisty zostało przygotowane w 1949 r. w Wielkiej Brytanii, niestety nie znalazło swojego wydawcy. Pozostaje żałować, że ta książka nie dotarła wówczas do czytelników, gdyż zawiera syntetyczny i pogłębiony wykład dotyczący komunizmu i Związku Sowieckiego. Kluczową zaletą dzieła „Mein Kampf Józefa Stalina" jest całościowe opisanie celów i metod stosowanych przez komunistów, którzy dążyli do dominacji nad światem. Część źródłową poprzedza świetnie przygotowany wstęp, w którym K. Sacewicz przybliża życie i działalność H. Glassa.

Równie interesująco przedstawia się wybór pism Mirosława Dzielskiego dokonany przez Macieja Zakrzewskiego, nieprzypadkowo zatytułowany „O potrzebie twórczego antykomunizmu". Dzielski był bez wątpienia jednym z najciekawszych myślicieli związanych z opozycją antykomunistyczną lat 80. w Polsce, działaczem małopolskiej Solidarności. Jego główną tezą, którą systematycznie propagował po wprowadzeniu stanu wojennego, było stwierdzenie, że należy porozumieć się z władzami PRL: oddać im władzę polityczną w zamian za wprowadzenie wolnorynkowej gospodarki. Można powiedzieć, że ten scenariusz spełnił się w momencie śmierci Dzielskiego (zmarł 15 października 1989 r.), gdy trwała już w najlepsze transformacja ustrojowa, a jej przebieg wpisywał się w scenariusz nakreślony przez niego u progu dekady lat 80. Krakowski myśliciel to jednak nie tylko autor tej tezy, lecz również zwolennik twardego egzekwowania norm moralnych w życiu publicznym. Jak trafnie zauważył Ryszard Legutko, Dzielski doskonale łączył wysokie poczucie moralne i skrajny realizm polityczny. Dodałbym, że takich myślicieli nam właśnie teraz bardzo potrzeba!

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 914682253b

Andrzej Nowak, „Między ładem a niewolą. Krótka historia myśli politycznej", Kraków 2020, Wydawnictwo Biały Kruk

Postaci autora książki nie trzeba nikomu przedstawiać, Andrzej Nowak to nie tylko znakomity historyk, lecz również intelektualista obdarzony szerokim spojrzeniem na rzeczywistość minioną i współczesną. Tym razem przygotował swego rodzaju podręcznik dziejów myśli politycznej. Nie ma on charakteru typowego dla opracowania przeznaczonego dla studentów, ale jest to dzieło syntetyczne, obejmujące dorobek intelektualny od starożytności do współczesności. Autor w ciekawy sposób udowadnia, że refleksja nad polityką nie ma charakteru linearnego, a niektóre ważne koncepcje pochodzące sprzed wielu wieków zachowują aktualność. Nowak pokazuje także, jak wiele problemów dotyczących kwestii takich jak charakter władzy, jej legitymizacja, sposób sprawowania rządów pozostaje nierozwiązanych. Co istotne i co jest wielkim walorem refleksji krakowskiego historyka, poglądy myślicieli na przestrzeni dziejów odnosi on do współczesności. Do najciekawszych rozdziałów pracy należą te poświęcone Arystotelesowi (postaci szczególnie bliskiej autorowi), Machiavellemu, a przede wszystkim polskiej tradycji wolności. Szczególnie ta ostatnia część wymaga wnikliwej uwagi. Nowak przedstawia dzieje myśli politycznej w naszej ojczyźnie od jej początku aż do upadku I Rzeczypospolitej i konsekwencji w postaci rozbiorów. Kreśli sylwetki i poglądy najwybitniejszych myślicieli, prowadzi z nimi polemikę oraz udowadnia główną tezę swojej intelektualnej twórczości, że umiłowanie wolności było kluczowym wyznacznikiem poglądów naszych przodków. Prowadziło ono do czynów zarówno wielkich, jak i nieprzynoszących chluby, ale można je odnaleźć niemal zawsze w centrum refleksji politycznej Polaków na przestrzeni ośmiu opisywanych przez Nowaka wieków. Książka „Między ładem a niewolą" ma w moim przekonaniu dużą szansę stać się niekonwencjonalnym podręcznikiem dla studentów z dziedzin humanistycznych i społecznych, napisana została bowiem żywym językiem, a jej autor nie boi się stawiać tez kontrowersyjnych, aczkolwiek dobrze udokumentowanych.

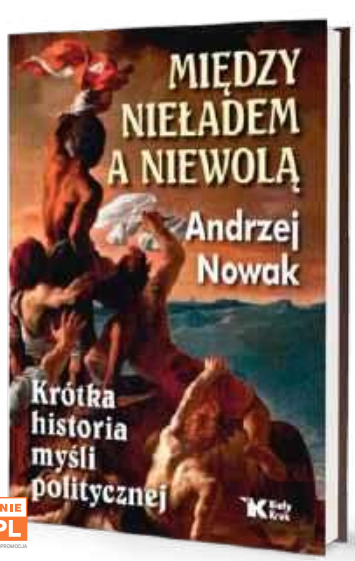

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Sławomir Gralka, „Biografia: Łysiak", Warszawa 2020, Wydawnictwo Nobilis

Waldemar Łysiak od czterech dziesięcioleci należy do najchętniej czytanych autorów w Polsce. Jego dzieła charakteryzują niezwykły styl, językowe mistrzostwo, liczne odniesienia zarówno literackie, jak i historyczne, daleko idąca umiejętność uwodzenia czytelnika, który rzuca wszelkie inne zajęcia, byle dokończyć lekturę rozpoczętego dzieła. Sławomir Gralka podjął się niezwykle trudnego zadania – napisania biografii wybitnego pisarza, który nie ogranicza się tylko do prozy literackiej, ale sprawdza się także jako historyk (dzieła napoleońskie); historyk sztuki (z racji zawodu wyuczonego i doskonałej serii „Malarstwo Białego Człowieka"); dramaturg (wybitna „Cena" – moim zdaniem najlepsza jego książka); publicysta (któż zrobił więcej dla ukazania, czym jest michnikowszczyzna niż autor „Salonu"?), a nawet, jak udowadnia Gralka, jako poeta i autor przekładów. Autorowi biografii Waldemara Łysiaka udało się sprawnie połączyć wszystkie te płaszczyzny i w plastyczny sposób przedstawić życie, działalność, a przede wszystkim zasady życiowe warszawskiego pisarza. Otrzymaliśmy dzieło ciekawe, utrzymane w Łysiakowym stylu (choć w tym przypadku uczeń nie przebił mistrza, tylko nieco się do niego zbliżył), bogato ilustrowane i odsłaniające co nieco nieznanych faktów z życia bohatera. Zabrakło mi polemiki z niektórymi poglądami głoszonymi przez autora „Kolebki" lub choćby podjęcia próby sprawdzenia, w jakim stopniu dzieła historyczne bohatera książki doceniają badacze ery napoleońskiej. Jak jednak ujął to sam Gralka, jego dzieło ma pokazywać wielkość Łysiaka, a w tej roli sprawdza się naprawdę znakomicie.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

9/0221/F

eprasa.pl 914682253b

Państwowy Instytut Wydawniczy

Rewolucja to nie bankiet

ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Zaryzykuję stwierdzenie, że Julia Lovell, autorka monumentalnej pracy „Maoizm. Historia globalna", zgodziłaby się ze mną, że gdyby rozpisać diaboliczny konkurs na najbardziej zbrodniczą i zatruwającą umysły narrację XX w., maoizm miałby wszelkie szanse na najwyższe podium.

I to nie tylko za sprawą liczby ofiar, choć te – nawet według ostrożnych szacunków i ograniczając się do Chińskiej Republiki Ludowej – wręcz paraliżują (ofiary reformy rolnej, rozmaitych kampanii walki z wrogami ludu, okupacji Tybetu, wielkiego głodu wywołanego kampanią Wielkiego Skoku Naprzód, rewolucji kulturalnej, rozległego systemu obozów pracy – w sumie co najmniej 70 mln ludzi), zostawiając w tyle Józefa Stalina, o Adolfie Hitlerze nie wspominając.

Równie przerażający jest bilans ogólnoświatowy. I nie chodzi tu bynajmniej o zaczadzonych myślą Wielkiego Sternika zachodnich studentów, którzy w halucynogennych latach 60. dowodzili w praktyce wyższości myśli Mao nad tą Trockiego, czytając ich dzieła sadzonkom konopi (inna rzecz, że część z nich stała się wpływowymi do dziś osobistościami). Idee Mao Zedonga okazały się zabójcze dla milionów mieszkańców Trzeciego Świata. Najpierw jego wpływy budowała legenda. Czym dla Guevary stało się zdjęcie „Guerrillero Heroico" Alberta Kordy, tym dla Mao była książka „Red Star over China" Edgara Snowa – tłumaczona i sprzedawana w milionach egzemplarzy rozsławiła na cały świat chińskiego rewolucjonistę, czyniąc z jej autora mocnego kandydata na zwycięzcę w kategorii na najbardziej szkodliwego „pożytecznego idiotę" XX w. Jego apologetyczne dzieło będzie można znaleźć wśród indyjskich nacjonalistów, radzieckich komunistów, nepalskich rebeliantów, malajskich partyzantów, bojowników o zniesienie apartheidu, na stolikach amerykańskich buntowników, zachodnich radykałów i terrorystów...

Ale umiejętnie podsycana legenda to nie wszystko – ChRL nie szczędziła pieniędzy ni wysiłków, by umacniać wpływy i szerzyć myśl Przewodniczącego – potężnym wydatkom na propagandę towarzyszyły zastępy chińskich specjalistów, wysyłanych z bratnią pomocą do krajów Trzeciego Świata, gdzie z zapałem wdrażali rozwiązania, które w ich ojczyźnie zebrały już wielomilionowe ofiary. Do Pekinu z kolei przyjeżdżały późniejsze ponure sławy jak Abimael Guzmàn czy Saloth Sar. To tylko nieliczne fragmenty gigantycznej układanki, którą pieczołowicie scala Julia Lovell. Czy jest ona skończona? Z Xi Jinpingiem dożywotnio rządzącym ChRL wszystko wskazuje, że nie. ■

Julia Lovell, „Maoizm. Historia globalna", tłum. Filip Majkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2020

Dziecięcy pamiętnik czasów wojny

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Prawie każde dziecko ma ulubioną przytulankę, która towarzyszy mu w dzieciństwie i której powierza swoje sekrety. Czasami najlepszym przyjacielem staje się miś, czasami pies lub kot, a tytułowej bohaterce książki Małgorzaty Berwid w codzienności towarzyszy lalka.

A jest to codzienność trudna. Małą Marysię poznajemy bowiem w przededniu wybuchu wojny, kiedy niecierpliwie czeka na pierwszy dzień w szkole. Oczekiwaniu towarzyszy szmaciana, uszyta przez dziewczynkę, lalka Rozalka. To ona ma być powiernicą dziecięcych wspomnień i to jej Marysia chce opowiedzieć wrażenia z pierwszego dnia szkoły.

Niestety – tej opowieści nie będzie. Wybucha wojna i Marysia musi się zmierzyć z zupełnie innymi wyzwaniami. Rozalka będzie towarzyszyć Marysi podczas okupacyjnej codzienności, tajnych kompletów czy konspiracyjnej działalności ojca i rodzeństwa. Wraz z dziewczynką będzie świadkiem pierwszych dni powstania warszawskiego, a potem, tak jak jej właścicielka, opuści Warszawę. W czasie wojennej tułaczki lalka się gubi. Marysia z mamą i bratem trafiają do Wrocławia – tam dziewczynka pracuje ciężko w kuchni, a pozbawiona swej ukochanej zabawki, by przeżyć, ucieka w świat wyobraźni. Gdy wojna dobiega końca, mama podejmuje decyzję o powrocie do Warszawy. Wtedy w ręce dziewczynki trafia inna lalka – będzie ona miała duży wpływ na losy rodziny. I czy to będzie ostatnia lalka tej historii? Jak potoczą się dalsze losy dziewczynki i jej rodzeństwa? Odpowiedzi szukaj w książce „Wojenne lalki Marysi".

Napisana z perspektywy dziecka opowieść odwołuje się do losów mamy autorki. Jej wspomnienia stały się kanwą opowiedzianej historii. Stylizowana na dziennik forma (graficznie okładka książki nawiązuje wyglądem do starego szkolnego zeszytu) pozwala wczuć się w emocje, które mogły towarzyszyć bohaterce. Pomagają w tym także wymowne i przejmujące ilustracje.

W przeciwieństwie do wielu książek dla dzieci, poruszających trudną tematykę wojenną, tu nie mamy metafory, ale bardzo osobiste doświadczenie dziecka, które musi się zmierzyć z wojenną rzeczywistością, pełną trudnych, bolesnych, a bardzo często nie do końca zrozumiałych sytuacji. To zdecydowanie opowieść dla nieco starszych dzieci (8+), także do wspólnego czytania. ■

Małgorzata J. Berwid, „Wojenne lalki Marysi", ilustracje Ania Jamróz; wiek 8+, Wydawnictwo Tadam, 2019

eprasa.pl 914682253b

Ciut inaczej

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Przekład literacki w Polsce kuleje. O ile rynek księgarski ma się u nas dobrze i w skali roku otrzymujemy tysiąc znaczących tytułów z różnych dziedzin humanistycznych, z czego wiele to tłumaczenia tekstów ze świata, o tyle nadal nie nadążamy z dobrymi (warto to podkreślić: dobrymi!) przekładami literatury pięknej.

Jesteśmy w ogonie, nawet jeśli chodzi o wydania wydawałoby się tak oczywistych tytułów jak choćby te, które okazały się zwycięzcami najważniejszych nagród literackich. Lepiej jest w kontekście wyróżnień takich jak Booker Prize, bo od kilkunastu lat, co prawda z wyraźnym poślizgiem, możemy już czytać przekłady powieści laureatów.

To nie kwestia tego, że brak nam znakomitych tłumaczy, bo jest dokładnie odwrotnie. To sprawa tradycji i priorytetów. Widać to na przykładzie teatru. Powinno być zasadą, że przekłady klasyki światowej dramaturgii konkurują z sobą, a każde kolejne pokolenie, które przecież wytwarza swój oryginalny socjolekt, zostawia po sobie ślad własnego postrzegania świata poprzez literaturę. A zatem „Antygona", „Hamlet" czy „Wiśniowy sad" w kilkunastu wersjach – przynajmniej co 20 lat? To wygląda na marzenie, ale przecież w Niemczech czy Anglii tłumaczenie sztuki często wiąże się z zamówieniem reżysera, który przygotowuje spektakl. To sytuacja nieporównywalna, bo my nawet nie możemy sobie poradzić z oddaniem w ręce polskiego czytelnika całej klasyki scenicznej XX w.

Zatem cieszmy się, kiedy zdarzają się wyjątki, być może dające sygnał, że warto działać inaczej. To, że właściwie w tym samym czasie zostają opublikowane dwa tomy tłumaczeń dramatów Czechowa, zasługuje na zauważenie, bo to też ogromne ryzyko wydawnicze. Mimo że w zbiorze wydanym przez Instytut Teatralny im. Hertza i łódzki Teatr Nowy dostajemy tłumaczenia, które są z nami od dziesięcioleci, jak choćby Natalii Gałczyńskiej, Jarosława Iwaszkiewicza czy Artura Sandauera, to warto odnotować, że po wielu latach zdecydowano się je umieścić w jednym tomie. Z kolei drugi zbiór, wydany przez Officynę, zawiera przekłady Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej w większości pochodzące z ostatniego 15-lecia. Tłumaczka ta to zresztą od wielu lat ambasadorka literatury rosyjskiej w Polsce, dzięki której znamy też współczesną dramaturgię naszych sąsiadów. Pozostają jednak uzasadnione oczekiwania i cicha nadzieja, że jej wersje dramatów Czechowa nie zostaną z nami na dekady i ktoś może już za chwilę podejmie się kolejnego spolszczenia np. „Trzech sióstr". Oby. Takie publikacje może przynajmniej wskażą ogólny trend i zmienią postrzeganie literatury teatralnej w naszym kraju.

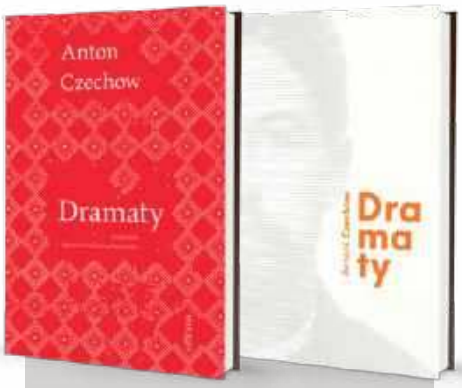

Antoni Czechow, „Dramaty", Wydawnictwo Officyna, Łódź 2019;

Antoni Czechow, „Dramaty", Instytut Teatralny im. Mieczysława Hertza i Teatr Nowy w Łodzi im. Kazimierza Dejmka, Łódź, 2020

Autopromocja

wPolityce.pl
NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE
nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA: wPolityce.pl

KSIĘŻNA Z ROBÓTKĄ W SEJMIE

„DZIŚ 50 LAT MINĘŁO, JAKEŚMY SIĘ POBRALI. PRZEZ TEN DŁUGI PRZECIĄG CZASU NIE MIAŁEM I CHWILI, W KTÓREJ BYM BYŁ ŻAŁOWAŁ, IŻEM TO UCZYNIŁ. OWSZEM, NIERAZ DZIĘKOWAŁEM I TERAZ DZIĘKUJĘ OPATRZNOŚCI, ŻE MI DAŁA TAKĄ TOWARZYSZKĘ" – NAPISAŁ LEON SAPIEHA WE „WSPOMNIENIACH"

JOANNA PUCHALSKA

Urodzona w 1806 r. Jadwiga Zamoyska była wnuczką słynnej puławskiej pary Adama Kazimierza Czartoryskiego i Izabeli z Flemmingów oraz siostrzenicą Marii Wirtemberskiej, autorki jednej z pierwszych polskich powieści psychologicznych.

Szóste dziecko Stanisława Kostki Zamoyskiego i pięknej Zofii z Czartoryskich otrzymało nie tylko staranne wykształcenie, lecz i autentyczną miłość obojga rodziców. Wychowana w patriotycznej atmosferze Pałacu Błękitnego w Warszawie, doskonale też czuła się w sentymentalnej aurze Puław, które były drugim domem rodzinnym młodych Zamoyskich. Była dzieckiem za Księstwa Warszawskiego, dziewczynką w pierwszych latach Królestwa Kongresowego, około roku 1823 zaczęła się pokazywać na przyjęciach w rodzicielskim domu i podobno przyćmiewała urodą wszystkie panny, choć na pewno nie swoją piękną matkę.

Dalej bracia do bułata

W grudniu 1825 r. wyszła za mąż za ciotecznego brata Leona Sapiehę. „Jakżeż to małżeństwo nas uszczęśliwia" – zapisała w dzienniczku pani Zamoyska. Wesele miało być w Puławach, huczne i podwójne, bo jednocześnie druga córka, Celina, wychodziła za mąż za Tytusa Działyńskiego. Niestety Leon Sapieha dostał odry i ślub został przełożony o dwa miesiące, a gdy już mógł się odbyć, huczny nie był, bo zmarł Aleksander I i nie wypadało się bawić. W 1827 r. przyszła na świat Celina, rok później Adam Stanisław. W pamiętnym roku 1830 księżna była w Paryżu z dziećmi, a jej bracia i mąż walczyli. Konstanty dostał krzyż pod Grochowem, Władysław, raniony w rękę, dosłużył się pułkownika. Leon Sapieha odznaczył się pod Kockiem.

Po klęsce powstania małżonko-

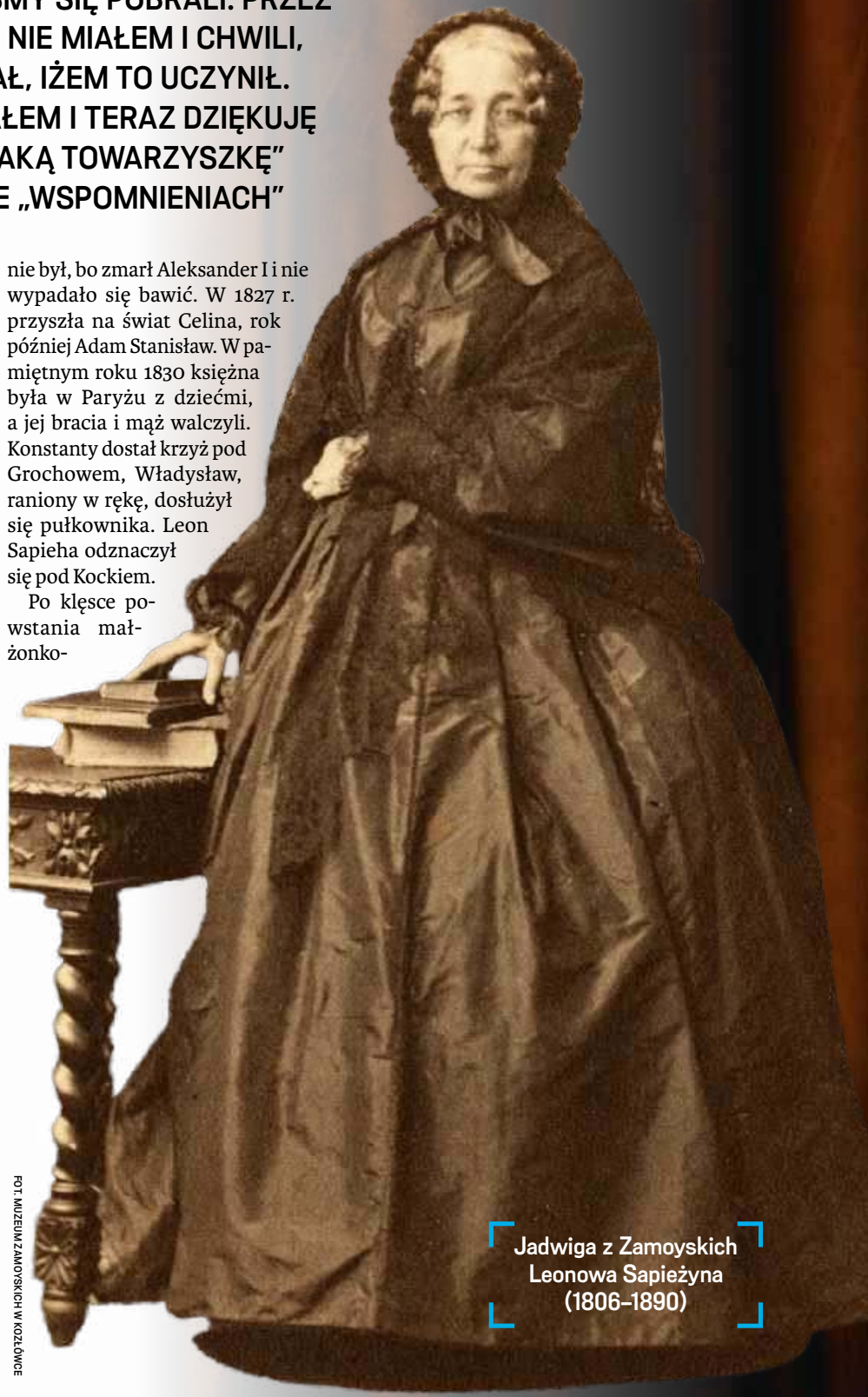

Jadwiga z Zamoyskich Leonowa Sapieżyna (1806–1890)

FOT. MUZEUM ZAMOYSKICH W KOZŁÓWCE

eprasa.pl 914682253b

wie spotkali się we Wrocławiu i spędzili czas jakiś w Krakowie. Były to trudne lata. Ogromne majątki księcia, Teofipol i Lachowicze, uległy konfiskacie. Księstwo, których dochody teraz znacznie zmalały, musieli szukać domu. Na spółkę z Działyńskim kupili Krasiczyn z myślą, żeby stał się rodzinnym gniazdem nie dla jednej małżeńskiej pary, ale dla całego rodzeństwa. Prowadząc z konieczności skromne gospodarstwo, oboje nabrali umiejętności oszczędzania i ograniczania własnych potrzeb. Ten nawyk pozostał im także później, gdy już odrobili materialne straty. Księżna długo nosiła koszule ze zgrzebnego płótna, a koleją jeździła w trzeciej klasie.

Los nie szczędził cierpienia

W ciągu kilku bolesnych lat księstwo tracili kolejne dzieci. Jedno zmarło w drodze do domu na kolanach u matki, a gdy nieszczęsna dojechała na miejsce, zastała na katafalku drugie, o którego chorobie nic nie wiedziała, przebywając poza domem. W sumie śmierć zabrała ich pięcioro, pozostało troje. Z tej trójki 16-letnia Zofia kilka lat później umarła też nagle.

Pociechę przyniosło małżeństwo syna Adama Stanisława i przyjście na świat wnucząt, ale złowrogie fatum znów dało o sobie znać. Księżniczka Teresa, dorosła już panna, uważana zawsze za wątłą i słabego zdrowia, zachorowała ciężko, a jej matka w tym czasie dostała tyfusu. Księżna wróciła do zdrowia, księżniczka nie. W grobowej kaplicy stanęła siódma trumna. Został jeden syn i Jadwiga drżała o niego.

In omnibus caritas

Pobożna i wrażliwa na ludzką niedolę Jadwiga Sapieżyna prowadziła szeroko zakrojoną działalność charytatywną i trzeba przyznać, że była świetną organizatorką. Stała na czele Towarzystwa Dobroczynności św. Wincentego à Paulo we Lwowie i w najtrudniejszych czasach organizowała dla biedaków rozdawnictwo tzw. zupy rumfordzkiej, pożywnej, a przy tym przyrządzanej z najtańszych składników (nazwa pochodziła od Benjamina Thompsona hr. Rumford, amerykańskiego działacza społecznego).

Księżna założyła również instytucje opiekujące się ofiarami rabacji 1846 r., m.in. „cerownię" dla dziewcząt i „małą bursę" dla chłopców. Dzięki niej powstały Zakład św. Teresy i szpital dziecięcy św. Zofii (były to patronki jej zmarłych córek), a także przytułek dla żebraków i dla upadłych dziewcząt ze szwalnią i z warsztatami (stolarskim, szewskim i krawieckim). Uważała, że od dawania jałmużny lepsza jest pomoc w zdobyciu praktycznego fachu zapewniającego utrzymanie. Tam, gdzie mogła, uczyła sama. Uzdolniona manualnie, rysowała wzory, wymyślała nowe rodzaje ręcznych robótek. Rękodzieło w wykonaniu jej podopiecznych miało często wartość artystyczną. Wspomagała też katolickie Stowarzyszenie Rękodzielnicze „Skała", a w Przemyślu założyła Towarzystwo Dobroczynności i ochronkę. Ciągle organizowała we Lwowie kwesty, loterie fantowe, koncerty, festyny, wenty i bazary. Nawet sama wystąpiła w amatorskim przedstawieniu komedii „Odwet, czyli Barbara Zapolska" Ludwika Adama Dmuszewskiego, granym na cel dobroczynny.

Grypsy i koncerty

W czasie zrywu styczniowego urządziła w Krasiczynie szpital dla rannych powstańców. Opiekowała się także szpitalami we Lwowie i w Cieszanowie, a po powstaniu sprowadziła do Krasiczyna siostry służebniczki, które zajęły się pracą wśród najuboższych.

Jej syn Adam stał na czele Komitetu Obywatelskiego Galicji Wschodniej, był też naczelnikiem obwodów przemyskiego i sanockiego. Gdy został aresztowany i siedział w więzieniu we Lwowie, matka pośpieszyła z pomocą. Wprawdzie w zaborze austriackim nie groziły mu Sybir ani szubienica, ale i tak drżała o niego i robiła, co mogła, żeby mu ułatwić więzienne życie, z czego korzystali także jego współtowarzysze niedoli. Codziennie przysyłała do więzienia kosze z obiadami, książki i gazety. Przekazywała wiadomości od rodzin, nosiła grypsy. Nawet organizowała koncerty przy otwartych oknach w domu naprzeciwko więzienia, uważając, że muzyka jest nieodzowna dla pokrzepienia ducha i leczy smutek. Bywało, że sama dyrygowała chórem lub improwizowaną orkiestrą, a przygotowanie muzyczne miała, bo uczył ją w dzieciństwie Franciszek Lessel, który był uczniem samego Haydna.

W lutym 1864 r. dopomogła synowi w ucieczce. Adam Sapieha zbiegł za granicę i objął funkcję Komisarza Rządu Narodowego na Francję i Anglię.

W sejmie i w pałacu

Książę Leon był poważnie zaangażowany w politykę i działalność społeczną, m.in. załatwiał w Wiedniu sprawy związane z pierwszą koleją w Galicji. Został marszałkiem sejmu galicyjskiego i gdy w 1865 r. sejm wznowił obrady, księżna była na niemal wszystkich sesjach. Siedziała w marszałkowskiej loży, słuchając uważnie, zawsze z nieodłączną robótką „na biednych" w ręku. Któreś z pism humorystycznych napisało nawet, że jest to jedyna praca, jaka w sejmie postępuje. Wzruszała się, gdy uchwalano coś dobrego, gniewała, kiedy działo się niedobrze. Żartowała czasem: „Gdybym ja była marszałkiem i miała tę laskę, tobym was zaraz nauczyła porządku".

W swoim lwowskim pałacu prowadziła dom otwarty, zwłaszcza odkąd mąż został marszałkiem. Przestrzegała polskiego charakteru swego salonu, niechętnie odnosiła się do francuszczyzny. Przyjmowała gości z wielką uprzejmością i wdziękiem. Profesor Stanisław Tarnowski napisał, że niejedna królowa mogłaby się od niej uczyć. Ubierała się bardzo starannie, ale skromnie, tak że mogła nawet uchodzić za jedną z tych osób, którym materialnie pomagała. Stroje nosiła ciemne, zawsze bardzo proste.

Nie miała łatwo. Musiała znosić często niesprawiedliwe zarzuty w prasie wobec swego męża i plotkarskie złośliwości wymierzone w nią samą. Ludzie gadali, że choć bogata, wspomaga biednych nie z własnych funduszy, ale z cudzego grosza. Doszukiwano się w księżnej podobieństwa do Zupy Rumfordzkiej – noszącej takie miano kobiecej postaci z powieści „Parafiańszczyzna" Leszka Borkowskiego, ironicznie opisującej wyższe sfery Galicji. Pomawiano ją także, że stosuje towarzyski ostracyzm wobec politycznych przeciwników swego rodu. Przyjmowała krytykę z godnością i nie reagowała, choć czasem dało się wyczuć gorycz w jej głosie.

Kiedy mąż zapadł na zdrowiu, towarzyszyła mu w kuracjach. Książę wydobrzał, a wtedy zachorował ich jedyny żyjący syn. Nie stracili go, jednak rodzicielski niepokój ostatecznie podkopał zdrowie ojca. Po jego śmierci wdowa wycofywała się stopniowo z publicznej działalności, przekazując synowej Jadwidze z Sanguszków opiekę nad instytucjami dobroczynnymi. Zmarła 29 marca 1890 r. w Krasiczynie i tam została pochowana. Cztery lata wcześniej jej oddanie dla bliźnich uczczono pamiątkowym medalem. Napis na nim głosił: „Księżnej Jadwidze z Zamoyskich Sapieżynie wdzięczny Lwów".

eprasa.pl 914682253b

KRZYSZTOF ŻARYN

OCULUS VITAE SAPIENTIA

„ILE TO JUŻ RAZY POWTARZAŁEM PRZECIEŻ, ŻE WASZ PODSTAWOWY BŁĄD POLEGA NA TYM, IŻ NIE DOCENIACIE ZNACZENIA OCZU CZŁOWIEKA. ZROZUMCIE, ŻE JĘZYK MOŻE UKRYĆ PRAWDĘ, ALE OCZY – NIGDY!" (MICHAIŁ BUŁHAKOW, „MISTRZ I MAŁGORZATA")

Mimo że żyjemy na tym samym świecie, w tym samym środowisku czy nawet na tej samej ulicy, każdy z nas inaczej widzi to, co go otacza. Za postrzeganie odpowiedzialne są zmysły: smak, węch, wzrok, słuch, dotyk. To one dostarczają nam bodźców, z których układamy sobie w głowie informacje na dany temat. Każdy z nas jednak na co innego zwróci uwagę, co innego nakłoni go do refleksji, co innego spowoduje, że podejmie konkretną decyzję. Dotyczy to również wyborów kulinarnych. Na wszelakich wydarzeniach, którym towarzyszy możliwość korzystania ze szwedzkiego stołu, uczestnicy inaczej dobierają dania, a jest to wynikiem odmiennej percepcji i różnych gustów. Tutaj w dużej mierze wygrywają walory smakowe. Jednak i wzrok ma ogromny wpływ na to, które potrawy bardziej do nas przemówią. Nie da się ukryć, że jest to zmysł, który u człowieka ma pierwszeństwo w procesie poznania i jest podstawowym aparatem postrzegania rzeczywistości. Nie bez przyczyny większość z nas określa się mianem „wzrokowców". A jak rozwijała się dziedzina medycyny związana właśnie ze wzrokiem?

Katarakty nie na Nilu

Pierwsze wzmianki o zainteresowaniu człowieka medycyną oka pojawiły się oczywiście w starożytności. W Kodeksie Hammurabiego istniał zapis, który świadczy o tym, że już wtedy odbywały się operacje usuwania ropni worka łzowego, co było dolegliwością wynikającą z nieprawidłowego funkcjonowania dróg łzowych. Inną, dość dobrze poznaną jak na tamte czasy przypadłością, którą często leczono zabiegowo, była zaćma. W starożytnym Egipcie rozpoznawano tę dolegliwość i określano mianem katarakty. Zaćma to zmętnienie soczewki oka, które prowadzi do ślepoty. Wierzono, że zmętnienie to wynika ze spływania z mózgu nieznanej substancji, która zalewa gałkę oczną. Miało to przypominać działanie wodospadu, stąd egipska nazwa tej dolegliwości. Zabieg poprawy wzroku polegał na wbiciu nożyka z boku głowy na wysokości oka i zerwaniu wiązadeł soczewki, co powodowało opadnięcie jej na dół i pozwalało na prawidłowy dopływ promieni widzialnych. Inną metodą było przesuwanie soczewki na tył gałki ocznej igłą. Metody te niestety miały tylko krótkotrwały efekt, a nierzadko kończyły się również wdaniem się zakażenia i całkowitą utratą wzroku. Mimo to lekarze okuliści cieszyli się dużym uznaniem w cywilizacji egipskiej. Dowodem na to może być okazały grobowiec jednego z pierwszych znanych z imienia – Pepi-Ankh-Or-Iri – okulistów, który znajduje się w Gizie.

W starożytnej Grecji narastało zainteresowanie prawidłowościami funkcjonowania narządu wzroku. Powstawały teorie, jakoby proces widzenia polegał na wysyłaniu przez oko promieni, które odbijały się od poznawanego obiektu i wracały z informacją w postaci obrazu. Jednym z większych badaczy tego zagadnienia był Hipokrates z Kos, grecki lekarz żyjący na przełomie V i VI w. przed narodzeniem Chrystusa. Poznawał on budowę anatomiczną gałki ocznej, opisywał metody operacji na kataraktę oraz inne dolegliwości. Proces widzenia określał w następujący sposób: „Do oka idą żyłki cieniuchne, przeznaczone dla widzenia. Biegną one z mózgu i odżywiają narząd wzroku najczystszą cieczą mózgową. W cieczy tej w oczach odbijają się przedmioty oglądane. Kiedy żyłki te schorzeją – wzrok gaśnie...".

eprasa.pl 914682253b

Szkło i kamienie szlachetne

Nieco odrębną dziedziną, ale mogącą skutecznie wpływać na funkcjonowanie narządu wzroku, było badanie wpływu różnych przedmiotów na poprawę jakości widzenia. Starożytni Grecy zauważyli, że szkło, które wyrabiali z piasku, mogło wpływać na to, jak patrzymy i co widzimy. W wyniku tych badań zaczęły powstawać narzędzia przypominające dzisiejsze lupy. Robiono je z wklęsłych luster. Innym rodzajem szkła powiększającego były kuliste naczynia wypełniane wodą, które również dawały efekt powiększający. W starożytnym Rzymie wykorzystywano zaś kamienie szlachetne. Kryształy powodowały, że wzrok stawał się lepszy i wyraźniejszy. Motyw ten możemy odnaleźć w powieści Henryka Sienkiewicza „Quo Vadis", gdzie Neron oglądał walki gladiatorów przez szlifowany szmaragd. Można uznać, że były to pierwsze odmiany okularów na terenach europejskich. Niektórzy naukowcy uważają, że okulary w dziś znanej formie przywędrowały do nas za sprawą Marco Polo z Chin, gdzie miały być używane już w V w. po narodzeniu Chrystusa. Wydaje się to jednak nieprawdziwą teorią. Najstarsze znane azjatyckie projekty okularów datowane są na XV w., podczas gdy w Europie zachowały się rysunki z XIII w. Co ciekawe, najstarszy model okularów pochodzi z XV w., a odnaleziony został w Elblągu. Polska ma bardzo ciekawą historię okulistyki. Opisana ona została m.in. w książce Adama Bednarskiego „Historya okulistyki w Polsce w wieku XIII–XVIII", której chciałem poświęcić oddzielny artykuł.

Dalszy rozwój wiedzy na temat oka i jego funkcjonowania to dokładny opis anatomiczny tego organu, dokonany przez Leonarda da Vinci w latach 1508–1509 i przedstawiony w Manuskrypcie paryskim D. Zawarte są tam teorie oraz tezy na temat procesu widzenia, które dały podwaliny do opisu do dziś uznanego za obowiązujący. Opis ten sporządzony został przez Fabrycego z Aquapendente w 1606 r. Da Vinci oprócz rozpoznania budowy i funkcji oka zaproponował również zastosowanie soczewki nakładanej bezpośrednio na powierzchnię oka w celu korekty wad wzroku.

NAJSTARSZY MODEL OKULARÓW POCHODZI Z XV w., A ODNALEZIONY ZOSTAŁ W ELBLĄGU

W rękach chirurga

Późniejsze przełomowe zdarzenia i odkrycia szły już dużo szybciej. Gdy poznano dobrze budowę gałki ocznej i sposób, w jaki przebiega proces widzenia, łatwiej było usprawniać poszczególne procesy leczenia. W 1583 r. dokonano pierwszej operacji całkowitego usunięcia gałki ocznej z powodu nowotworu tego narządu. Dokonał tego niemiecki lekarz Georg Bartisch.

Usprawniły się metody leczenia zaćmy. Pierwsza operacja usunięcia zmętniałej soczewki odbyła się w 1747 r. za sprawą Francuza Jacquesa Daviela. Ok. 100 lat później Friedrich Anton Müller wykonał soczewkę, którą wszczepiono na stałe pacjentowi choremu na zaćmę, a która wspomogła jego widzenie do końca życia. Potem zmieniały się już tylko rodzaje wprowadzanych soczewek. Ciekawa historia wiąże się z wprowadzeniem akrylu jako surowca do wyrobu soczewki. Brytyjski okulista Harold Ridley zauważył pewną zależność. Ci z jego pacjentów, którzy byli pilotami i czasie awarii doznali urazu – w oczach utknęły im kawałki szyby – nie cierpieli na zapalenie narządu wzroku. Szyby samolotowe były robione z pleksi, doktor więc wykorzystał surowiec i zaproponował soczewki wykonywane z akrylu jako alternatywę leczenia zaćmy. Pierwszą operację wszczepienia sztucznej soczewki wewnątrzgałkowej przeprowadził w 1949 r. Później technologia rozwinęła się jeszcze mocniej. Teraz mamy możliwość stosowania soczewek kontaktowych, a przede wszystkim wprowadzono metodę laserową. Postała ona w latach 50. ub.w. i do dziś jest najlepszym sposobem usuwania zaćmy.

W rękach optyków

Poza operacyjną usprawniała się również dziedzina nieinwazyjnej okulistyki korekcyjnej. Były to okulary i soczewki kontaktowe. Ze spuścizny Leonarda skorzystał inny słynny naukowiec i filozof – Kartezjusz. W 1632 r. opisał on teoretyczną budowę soczewki. Na tym dziele z kolei oparł się w 1801 r. angielski lekarz Thomas Young przy konstrukcji pierwszego fizycznego modelu. Była to szklana rurka z wodą, którą przykładało się do oka. Taki mocno gabarytowy prototyp dzisiejszych soczewek. Proces poprawy jakości okularów rozpoczął natomiast znany wynalazca i polityk zza oceanu – Benjamin Franklin. W 1784 r. skonstruował on okulary dwuogniskowe.

Choć wzrok może płatać nam figle i czasem nie dostrzegamy najważniejszych rzeczy, to nadal jest on jednym z podstawowych narzędzi percepcji. Dlatego trzeba dbać o niego należycie. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy znaczną część życia spędzamy przed monitorem komputera lub telewizora. Zaleca się profilaktyczne stosowanie kropli nawilżających, które usprawniają funkcjonowanie gałki ocznej. Pamiętać należy również o kontroli ciśnienia, chociażby poprzez utrzymywanie prawidłowej masy ciała, ponieważ podwyższone ciśnienie może wpływać na pogorszenie stanu narządu wzroku. Ważnym składnikiem wpływającym na widzenie jest witamina A. Należy spożywać zdrowe tłuszcze typu orzechy, ryby morskie, awokado oraz produkty bogate w karoten: marchew, żółta i czerwona papryka. Im dłużej prawidłowo funkcjonuje nasz wzrok, tym dłużej możemy poznawać nasz świat.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 914682253b

Tablica Tchorka w ogrodzie Saskim na tyłach Pałacu Błękitnego, 1969 r.

FOT. ARCHIWUM GRAŻYNY RUTOWSKIEJ, NAC

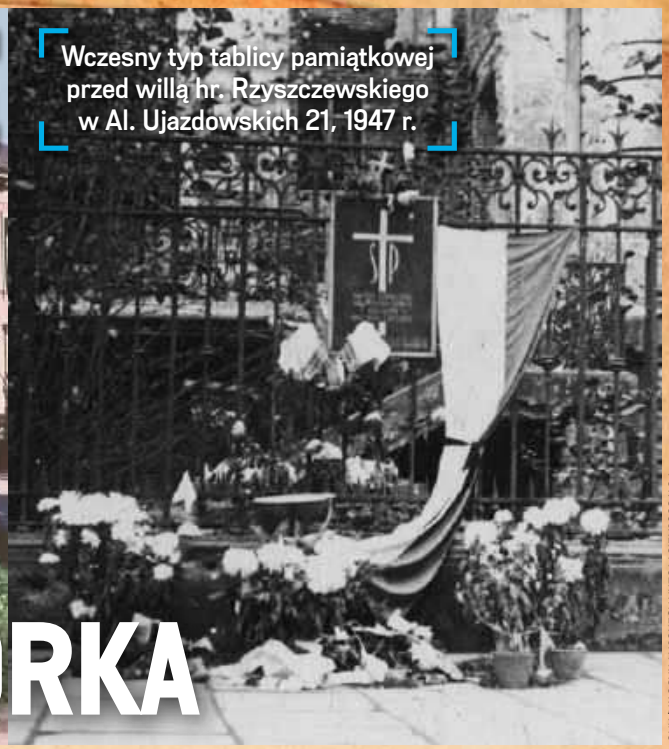

Wczesny typ tablicy pamiątkowej przed willą hr. Rzyszczewskiego w Al. Ujazdowskich 21, 1947 r.

FOT. SOCJALISTYCZNA AGENCJA PRASOWA, NAC

TABLICE TCHORKA

Terror Niemców na okupowanych ziemiach polskich objawiał się m.in. w formie ulicznych egzekucji mających zastraszyć Polaków i skłonić ich do zaprzestania oporu. Była to odpowiedź na akcje zbrojne polskiego podziemia, które skutecznie dezorganizowały pracę aparatu okupacyjnego i utrudniały zaopatrywanie frontu wschodniego.

Szczególne ich nasilenie miało miejsce w Warszawie, niepokornej stolicy, zdegradowanej do roli siedziby dystryktu. Odwetem Niemców były egzekucje zakładników przeprowadzane na ulicach miasta, zarówno jawnie, jak i potajemnie, w ruinach getta. Ich szczególne wzmożenie przypadło na rządy dowódcy SS i policji gen. Franza Kutschery (wrzesień 1943–luty 1944). Dopiero jego śmierć w zamachu zorganizowanym przez AK dała miastu kilka miesięcy wytchnienia.

Egzekucje powróciły jednak w dniach powstania warszawskiego, i to z niespotykaną dotychczas siłą. Niemcy i sprzymierzone z nimi formacje kolaboracyjne mordowali wszystkich mieszkańców zastanych w zajmowanych domach. Zwłoki palono na miejscu, a liczba ofiar szła w setki i tysiące, szczególnie na początku powstania. Wyjątkowo krwawe były masakry na Woli i Ochocie, ale również na Starym Mieście czy Czerniakowie. Nie oszczędzano rannych ani chorych, samo podejrzenie o udział w powstaniu kończyło się niechybną śmiercią. Dokładna liczba ofiar jest trudna do ustalenia, ale szacuje się ją na ok. 200 tys. osób.

Pierwszych upamiętnień pomordowanych dokonywano jeszcze podczas okupacji. Na miejscach straceń spontanicznie stawiano znicze, kładziono kwiaty i odmawiano modlitwy, choć groziło to aresztowaniem lub nawet zastrzeleniem. Po zakończeniu wojny konieczne stało się oficjalne uhonorowanie tych miejsc pamięci. Zadanie to powierzono Obywatelskiemu Komitetowi Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa przy Radzie Narodowej m.st. Warszawy. Początkowo stawiano proste tablice z oprawionej w drewno prostokątnej czarnej blachy. W centrum znajdowały się białe litery „Ś.P." rozdzielone krzyżem, którego pionową belkę przedzielał malowany od szablonu napis „Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków walczących o wolność". Tablice były sygnowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a dodatkowy napis zabraniał naruszania obecnego stanu miejsca pamięci. Było to jednak rozwiązanie tymczasowe – tablice były nietrwałe i niewystarczająco monumentalne.

W 1948 r. Stowarzyszenie Architektów Polskich rozpisało konkurs na formułę upamiętnienia miejsc walki i męczeństwa, który w następnym roku wygrał rzeźbiarz Karol Tchorek (1904–1985). Tablice jego projektu były wykonane z piaskowca, a główny motyw stanowił krzyż maltański z umieszczoną pośrodku tarczą z napisem „Miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny". Opis upamiętnienia znajdował się w dolnej części tablicy, gdzie podawano okoliczności, datę i liczbę ofiar. Istniały też tablice z innymi wariantami inskrypcji, a także wersja bez krzyża maltańskiego i z uproszczonym napisem „Cześć ich pamięci", przeznaczona dla miejsc martyrologii ludności żydowskiej i jeńców sowieckich.

Tablice były wmurowywane w ściany budynków lub stawiane w formie wolnostojącej. Niekiedy umieszczano je w zachowanych fragmentach przedwojennych murów. Ich zasięg terytorialny ograniczał się do terenu Warszawy i kilku pobliskich miejscowości, takich jak Falenty. Niektóre tablice zawierały błędy ortograficzne lub merytoryczne, pomijające przykładowo przynależność ofiar do AK, a nawet upamiętniały wydarzenia, które w rzeczywistości nie miały miejsca. Opisy były dość lakoniczne, jak na prezentowanej na fotografii tablicy w ogrodzie Saskim: „Teren bohaterskich walk obrońców Warszawy 1939 r. i masowych egzekucji w latach 1939–1944". Znamienne jest również powszechne użycie w inskrypcjach określenia „hitlerowcy" zamiast „Niemcy" – wszak nie można było drażnić „bratniej" NRD.

Łączna liczba umieszczonych w przestrzeni Warszawy tablic jest trudna do ustalenia, gdyż często ulegały one zniszczeniu podczas rozbiórek budynków czy poszerzania ulic. Z całkowitej liczby 448 tablic, które miały powstać do 1979 r., w 2009 r. zachowało się 165, zgodnie z inwentaryzacją wykonaną przez Urząd m.st. Warszawy. Niektóre tablice zastąpiono wraz z upływem czasu bardziej współczesnymi monumentami.

Łukasz Karolewski

eprasa.pl 914682253b

PECHOWY KSIĄŻĘ

CZYLI PANCERNIK HMS PRINCE OF WALES

PRINCE OF WALES PIERWSZE USZKODZENIA ODNIÓSŁ JESZCZE PRZED WEJŚCIEM DO SŁUŻBY

KACPER GROCHOCKI

Wielka Brytania zakończyła I wojnę światową po zwycięskiej stronie. Dysponowała wtedy najpotężniejszą marynarką wojenną na świecie, obejmującą 33 nowoczesne pancerniki (dreadnought), 12 krążowników liniowych, lotniskowiec, 146 krążowników, 31 pre-drednotów i setki mniejszych jednostek. Jednak utrzymywanie tak okazałej armady było ogromnym obciążeniem dla wyczerpanego wojną kraju. Dlatego Brytyjczycy przystali na warunki traktatu waszyngtońskiego z lutego 1922 r., który zobowiązywał jego sygnatariuszy – oprócz Wielkiej Brytanii były to USA, Japonia, Włochy i Francja – do redukcji posiadanych flot, nakładał również ograniczenia tonażu oraz uzbrojenia na nowo powstające pancerniki i krążowniki liniowe. Traktat ten, wraz ze swoim przedłużeniem z Londynu w kwietniu 1930 r., w pewnym zakresie przyniósł oczekiwane skutki, lecz narastające napięcia międzynarodowe w połowie lat 30. spowodowały wykruszanie się z paktu kolejnych państw.

W Wielkiej Brytanii powstało wrażenie pozostania w tyle za morskimi rywalami. Aby zatem nie tracić czasu na projektowanie nowych okrętów liniowych od podstaw, admiralicja zdecydowała się na wykorzystanie oraz modernizację planów powstałych jeszcze w okresie obowiązywania traktatów rozbrojeniowych. Efektem tych prac było pięć pancerników typu King George V: King George V, Prince of Wales, Duke of York, Howe oraz Anson. Cztery z nich przetrwały II wojnę światową, a pechowcem okazał się HMS Prince of Wales.

Jednostki typu King George V miały wyporność standardową ok. 38 tys. ton, pełną ok. 42 tys. t. Uzbrojenie główne stanowiło 10 dział kal. 356 mm rozmieszczonych w trzech wieżach – dwie w części dziobowej (w układzie 1x4 działa i 1x2 działa) oraz jedna w części rufowej (1x4 działa). Artylerią średnią były uniwersalne armaty kal. 133 mm – 16 szt. w ośmiu wieżach (1x2 działa) w części środkowej pokładu, po cztery na każdą burtę. Uzbrojenie przeciwlotnicze stanowiło 48 działek kal. 40 mm oraz 16 nkm-ów kal. 12,7 mm. Opancerzenie w systemie „wszystko albo nic" osiągało na burtach grubość 381 mm, na pokładzie do 152 mm, a na wieżach artylerii głównej do 330 mm. Osiem kotłów olejowych oraz cztery zespoły turbin parowych zapewniały moc 110 tys. KM i pozwalały na osiągnięcie prędkości maksymalnej ok. 29 węzłów (niespełna 54 km/h). Przy prędkości ekonomicznej 10 węzłów zasięg miał wynosić 14 tys. mil morskich. Załogę mogło stanowić od 1,4 tys. marynarzy i oficerów do ponad 1,6 tys. ludzi.

Budowę wszystkich pancerników tego typu rozpoczęto w 1937 r., a do służby wchodziły od końca roku 1940 (King George V) do drugiej połowy 1942 r. (Howe).

HMS Prince of Wales powstawał od stycznia 1937 r., a do służby w Royal Navy wszedł ostatniego dnia marca 1941 r., przez opóźnienia spowodowane m.in. uszkodzeniami po bombardowaniu w sierpniu 1940 r. W maju 1941 r. okręt brał udział w obławie na niemiecki pancernik Bismarck, mimo że na pokładzie nadal znajdowali się stoczniowcy i nie wszystkie systemy jednostki były w pełni gotowe do działań. Prince of Wales otrzymał siedem trafień (4 x kal. 380 mm z Bismarcka i 3 x kal. 203 mm z ciężkiego krążownika Prinz Eugen), samemu trafiając Bismarcka trzykrotnie, w tym w dziobowe zbiorniki paliwa. Z powodu uszkodzeń oraz zacięć wież artyleryjskich okręt brytyjski musiał przerwać walkę, a los Bismarcka przypieczętowały kilka dni później inne brytyjskie pancerniki.

Po remoncie i modernizacji Prince of Wales w sierpniu 1941 r. przewiózł do Nowej Fundlandii premiera Winstona Churchilla na spotkanie z prezydentem USA Franklinem D. Rooseveltem. Następnie, pod koniec września, brał udział w konwoju zaopatrzeniowym dla Malty, by miesiąc później zostać wysłanym do Singapuru. Na Dalekim Wschodzie, w rejonie Kuantanu, 10 grudnia 1941 r. dopełnił się los tego okrętu. Wraz z krążownikiem liniowym Repulse został zatopiony przez japońskie lotnictwo: dostał sześć trafień torpedami oraz dwa bezpośrednie uderzenia bombami. Pociągnął na dno prawie 330 ludzi z załogi, w tym swego dowódcę.

FOT. IWM

Na planie zdjęciowym minus 5 stopni Celsjusza

Proces denazyfikacji Niemiec nie powinien być tematem książek historycznych, lecz periodyków fantastyczno-naukowych, ponieważ się nie odbył. Liczbę bezpośrednich sprawców zbrodni na 13 mln ludzi (nie licząc ofiar działań wojennych) szacuje się na 200 tys. osób, z czego tylko 7 tys. zostało w ogóle skazanych. W książce „Hunting Evil" dziennikarz i pisarz Guy Walters dowodzi, że ponad 30 tys. niemieckich przestępców wojennych, w tym kolekcjoner ludzkich gałek ocznych dr Joseph Mengele, uniknęło kary dzięki „cichej pomocy niemieckich służb granicznych, ambasad, przedstawicielstw handlowych i organizacji pozarządowych". Z kolei operacja wywiadu amerykańskiego pod kryptonimem Spinacz ułatwiła przerzucenie do USA 1,6 tys. czołowych uczonych III Rzeszy, którzy wsparli prace w dziedzinie zbrojeń, chemii i podboju kosmosu. Gwoździem do trumny denazyfikacji była amnestia ogłoszona w 1949 r., tuż po utworzeniu Republiki Federalnej Niemiec. A to wszystko w celu zasilenia Bundeswehry kadrą doświadczonych oficerów. Jednym z takich ludzi, którzy po wojnie nad Renem wiedli spokojne życie, był Eilert Dieken.

Ten policjant z Essen, szanowany przez mieszkańców miasteczka, lubiany przez kolegów z komisariatu, no i kochany przez swoje córki, w 1944 r. był szefem żandarmerii w Łańcucie. To Dieken rozkazał w Markowej rozstrzelać rodzinę Ulmów (w tym sześcioro dzieci) oraz ukrywane przez nich dwie żydowskie rodziny. Choć wieść o tej strasznej zbrodni rozeszła się szeroko, do końca wojny w Markowej inni Polacy dalej ukrywali rodziny Riesenbach, Weltz, Lorbenfeld, Segal i Einhorn. W sumie 20 osób, które po 1945 r. rozjechały się po świecie.

Okładka najnowszego numeru „wSieci Historii" symbolicznie porusza temat rodziny Ulmów, a zarazem wszystkich naszych rodaków, którzy za pomoc Żydom zapłacili najwyższą cenę. Mimo mroźnej pogody, dzięki zaangażowaniu odtwórców ról zarówno ofiar, jak i oprawców, udało się przedstawić okrucieństwo niemieckiej machiny opresji. W rolę Żydówki wcieliła się znakomita aktorka Teatru Żydowskiego – Sylwia Najah. Za nią stoi Piotr Konatowski ze Stowarzyszenia Pasjonatów Historii Warszawy 1939–1945. Oficerem SS celującym w główkę dziecka jest Michał Barszczewski z GRH Grenadiere. Na całe zajście surowym wzrokiem patrzy Dariusz Serhiej. Atmosferę na planie podgrzewała żywiołowa Vega, owczarek niemiecki, którą prowadził Rafał Mączka, prywatnie kaskader, zawodowy kierowca i strażak. Ofiary zagrali młoda aktorka i piosenkarka Andżelika Buza oraz wszechstronny Edward Szambelan.

MICHAŁ KORSUN

FOT. JOANNA KLAYBOR, MARIAN RYNKIEWICZ, ANDRZEJ WIKTOR

Kopanie dołu. Od lewej: Michał Korsun, „koparkowy" Sławek Wolski oraz brygadzista Krzysztof Paszkowski

Aktorka Andżelika Buza. W tle Piotr Konatowski

prasa.pl 146822535

Michał Barszczewski z GRH Grenadiere

Sylwia Najah – aktorka Teatru Żydowskiego

Anioł sesji – Joanna Klaybor

Piotr Klaybor – także kustosz miniwystawy

Edward Szambelan – świetny rekonstruktor i stolarz

Klaudyna Pabudzińska-Kossek oraz Rafał Mączka

Od prawej: Dariusz Serhiej ubrany przez Agencję Retro-Pasje oraz Jan Nałęcz

Wspólne zdjęcie z gwiazdą Vegą

eprasa.pl 9146122536

„KRZYŻACKI" ZAMEK LIW

Wieża bramna liwskiego zamku i odbudowany barokowy dwór. W dworze mieści się muzeum z bogatą kolekcją broni z XV–XX w., obrazów batalistycznych oraz kolekcją reprezentacyjnego portretu sarmackiego

Wielu turystów kajakarzy docenia leniwie wijącą się po płaszczyznach wschodniego Mazowsza rzekę Liwiec. Jej meandry wiodą przez sielankowo spokojne pola i łąki ziemi węgrowskiej, leżącej na średniowiecznym szlaku prowadzącym do Wilna. Przed inkorporacją Mazowsza do Korony (1526 r.) Liwiec wyznaczał granicę pomiędzy Księstwem Mazowieckim a Litwą.

Współcześnie wieś Liw w niczym nie przypomina miasteczka położonego na dzikiej rubieży państwa, jakim była przed pięcioma stuleciami. Wyraźnie widocznym, również z pokładu płynących Liwcem kajaków, śladem po świetności i znaczeniu tej krainy są ruiny tamtejszego zamku. Został on wzniesiony jako strażnica graniczna z polecenia księcia mazowieckiego Janusza I, który fortyfikował całe swoje księstwo, murując zamki m.in. w Czersku i Ciechanowie.

Budowa rozpoczęła się na początku wieku XV. Budowniczowie, by podnieść walory obronne warowni, wznieśli ją na sztucznej wyspie pośród bagien Liwca. Książę Janusz nie doczekał zakończenia prac, zmarł w 1429 r. W formie mocno zredukowanej ukończył je jego wnuk i następca Bolesław IV.

Późniejsze losy liwskiego zamku są niemal bliźniaczo podobne do historii czerskiej fortyfikacji. Po rozbudowach przeprowadzonych przez księżnę Annę Mazowiecką (1526–1536) i królową Bonę (1549–1570) nastąpił okres, kiedy budowlę zaniedbano. Graniczny kasztel zmienił się w siedzibę sądu i starostwa liwskiego, niewymagającą modernizowania ani utrzymywania murów obronnych. Potop szwedzki oraz wojna północna przyniosły warowni dwukrotne zdobycie i spalenie przez Szwedów (1656r. i 1703 r.). W 1782 r. sumptem starosty liwskiego Tadeusza Grabianki w miejscu zniszczonych zabudowań zamkowych wzniesiono barokowy dwór. Dzięki tej inwestycji urzędy do tej pory działające w ruinach znalazły nową siedzibę, a wieżę bramną przystosowano do pełnienia funkcji archiwum. Dwór spłonął w połowie XIX w. i od tamtej pory stał pusty. Miejscowa ludność traktowała ruiny jako źródło nielegalnego pozyskiwania budulca, aż w 1918 r. zostały upaństwowione. Do tego czasu przetrwały jedynie wieża, jeden z narożników murów obronnych i niewiele więcej niż dwie ściany dworu. W latach 30. XX w. podejmowano próby remontu zamku, jednak prawdziwy zwrot w jego dziejach nastąpił podczas II wojny światowej. W 1942 r. okupacyjny starosta powiatu sokołowsko-węgrowskiego Ernst Gramss rozkazał rozebrać pozostałości liwskiego zamku i przeznaczyć cegły z rozbiórki do budowy obozu zagłady w Treblince. W tym momencie w annałach zapisał się polski archeolog Otto Warpechowski. Przedstawił on Gramssowi fikcyjną wersję historii liwskiego zamku, według której miał on być wzniesiony przez Krzyżaków! Wprowadzony w błąd SS-man nie tylko zrezygnował z rozbiórki ruin, lecz także zdecydował o odbudowie zamku na koszt III Rzeszy. Przez dwa lata Warpechowski, w porozumieniu z polskimi władzami podziemnymi, nadzorował renowację. W 1944 r. musiał jednak uciekać przed Niemcami, którzy odkryli mistyfikację. Zginął w lutym 1945 r. jako żołnierz II Armii WP.

Renowację zabytku i odbudowę dworu ukończono ostatecznie w 1961 r., a dwa lata później powstało tam muzeum dawnego oręża, które działa po dziś dzień. Od 2001 r., w sezonie letnim, na zamku w Liwie odbywa się turniej z pokazami walk rycerskich, średniowiecznym jarmarkiem i warsztatami rzemiosła historycznego. O ile pozwoli na to pandemia – do zobaczenia latem w Liwie!

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. FOTOKON/SHUTTERSTOCK.COM

eprasa.pl 914682253b

RYNGRAF „ABIKA”

MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

ELEMENTY RELIGIJNE W WOJSKU NIGDY NIE BYŁY NICZYM NIEZWYKŁYM. NIE DZIWI WIĘC POPULARNOŚĆ RYNGRAFÓW. DOŚWIADCZENIA WOJENNE UNAOCZNIAŁY ZNIKOMOŚĆ ŚWIATA DOCZESNEGO, DLATEGO ZWRACANO SIĘ KU OJCZYŹNIE NIEBIESKIEJ...

Nazwa pochodzi z języka niemieckiego, gdzie „ringkragen” oznacza kołnierz będący „pierścieniem” (zakładany dookoła szyi). W staropolszczyźnie odpowiadało to słowu „kaplerz”, czyli części zbroi przy szyi. Ryngraf wywodzi się z obojczyka, który w pełnej zbroi płytowej stanowił dolną część hełmu basinetu bądź armetu połączoną nitami z nakarczkiem. Ochraniał górną część tułowia. Od połowy XV stulecia zaczął funkcjonować jako część zbroi niełączona już z hełmami. Popularne stały się wówczas hełmy typu łebka bądź kapaliny, które nie zasłaniały całej głowy, tylko górną jej część. Od XVI w. obojczyka często nie noszono ze zbroją. W polsko-litewskim państwie w epoce wczesnonowożytnej nakładano go w jeździe autoramentu narodowego (husaria, jazda pancerna, jazda lekka). Z biegiem czasu przekształcał się w ryngraf ozdabiany wizerunkami religijnymi, głównie Najświętszej Maryi Panny. Ryngrafy nosili konfederaci barscy. W XIX w. służyły w armiach jako oznaka oficerska. Były cenną pamiątką.

W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się wiele tych szczególnych pamiątek. Jedną z nich jest ryngraf Tadeusza Drabika „Abika” (1921–2015). W 1942 r. lub w 1943 r. otrzymał go od znajomych z Kępna. Ryngraf o wymiarach 6,5 x 8,5 cm przedstawia NMP Częstochowską z Jezusem. Matka „Abika”, Leontyna z Sokołowskich, przyszyła go synowi pod spodem marynarki, mówiąc: „Ryngraf będzie cię bronił [...], żołnierz potrafił przeżyć dzięki opiece Pana Boga”. „Abik”, mając świadomość cudownego ocalenia z największych opresji, stwierdził 60 lat po wojnie: „Ryngraf jest dla mnie wielką pamiątką”.

Tadeusz Drabik przeżył wiele niebezpieczeństw. Dzieciństwo miał jednak szczęśliwe. W 1929 r. jako uczeń Szkoły Powszechnej nr 4 w Warszawie przy ul. Starej wstąpił do zastępu „Żubrów” w 40. Mazowieckiej Drużynie Harcerskiej.

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Później była szkoła średnia, gdzie jednym z obowiązkowych języków był niemiecki, którego znajomość niedługo miała się przydać. W konspiracji zaczął działać w 1940 r. Zatrudniony na kolei jako pracownik fizyczny przewoził prasę konspiracyjną i dokumenty między Kutnem a Siedlcami. Jego praca polegała na sprzątaniu wagonów. W stroju roboczym z wiadrem, ścierkami i środkami do czyszczenia wsiadał na Dworcu Głównym, tam gdzie dziś znajduje się dworzec Warszawa-Śródmieście. W międzyczasie kolega wsiadający do pociągu przekazywał mu pakunek ukrywany pod ścierkami. W Kutnie bądź w Siedlcach „Abik” zostawiał wiadro w umówionym miejscu, które zabierali kolejarze konspiratorzy. Swoją działalnością jednak wzbudził podejrzenia i w 1942 r. został aresztowany przez Policję Kolejową (Bahnpolizei). Przetrzymywany przez ok. cztery dni w Kolejowym Urzędzie Śledczym przy ul. Chałubińskiego 4 w Warszawie był bity i przesłuchiwany. Następnie został przewieziony na kilka tygodni do więzienia mokotowskiego. Po wyjściu, aby uniknąć wywózki na przymusowe roboty do Rzeszy, wyjechał do Zamościa, gdzie mieszkał w klasztorze oo. redemptorystów i pracował jako pomocnik urzędnika w biurze ds. żywności (Ernährungsamt). W ramach pracy konspiracyjnej zajął się wywiadem gospodarczym. Pozyskane informacje przekazywał AK. Do Warszawy przybył kilka dni przed wybuchem powstania. Drogę bojową rozpoczął na Nowym Świecie. Następnie brał udział w krwawych zmaganiach na Czerniakowie. Został ranny 19 września 1944 r. przy ul. Solec. Po klęsce wyszedł z cywilami do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd trafił do szpitala w Milanówku. Po wojnie osiadł w Pułtusku, wrócił do harcerstwa. W 1947 r. został aresztowany przez bezpiekę. W Centralnym Więzieniu we Wronkach odebrano mu trzy lata z życia. Przetrwał i tu.

Autopromocja

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

Zamów prenumeratę
Z PREZENTEM!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + W SIECI HISTORII

40% TANIEJ
+ PREZENT

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

eprasa.pl 914682253b